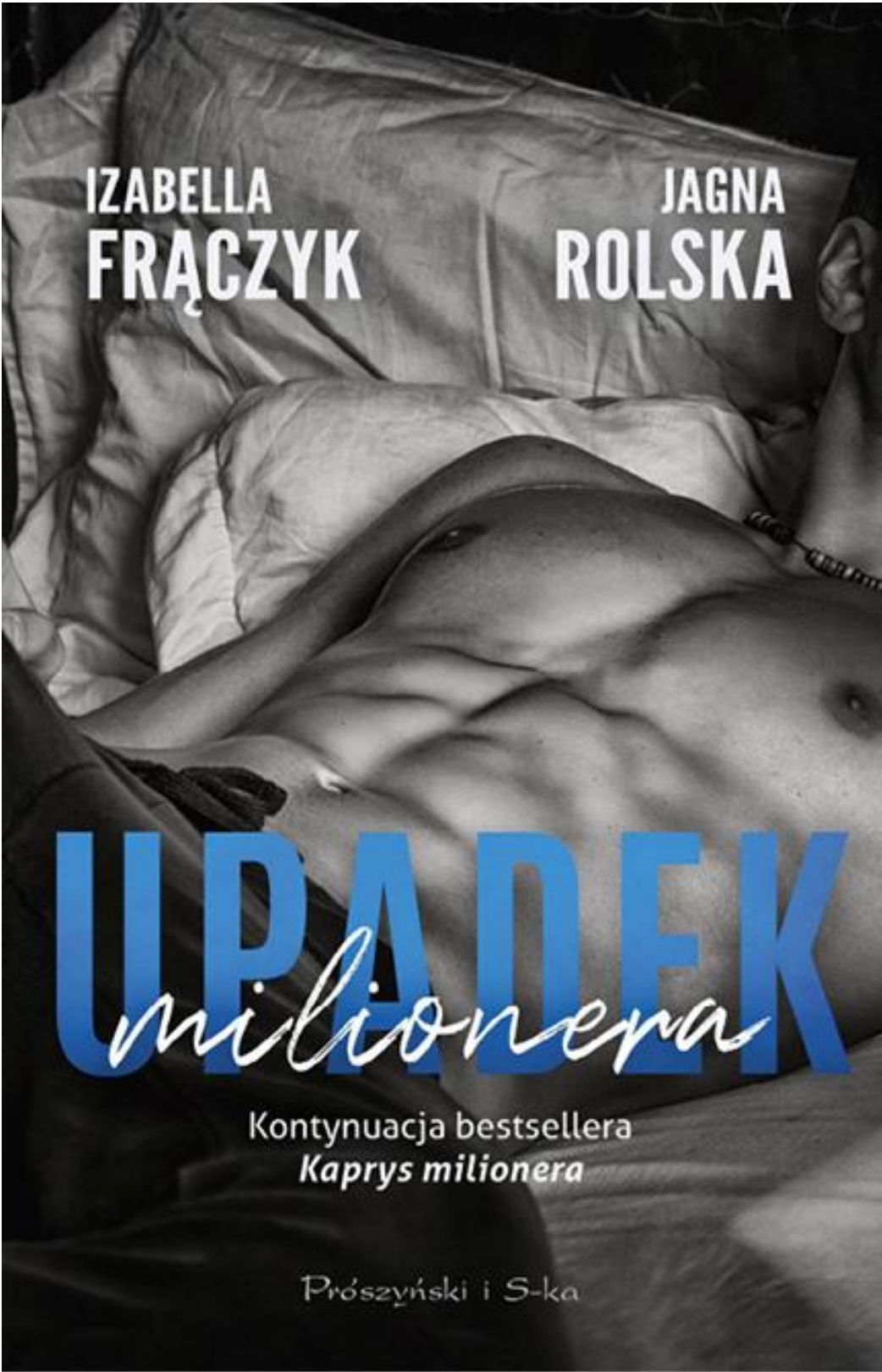




IZABELLA
FRĄCZYK

JAGNA
ROLSKA

UPADEK *milionera*

Kontynuacja bestsellera
Kaprys milionera

Prószyński i S-ka

IZABELLA
FRĄCZYK

JAGNA
ROLSKA

UPADEK *milionera*

Prószyński i S-ka

Copyright © Izabella Frączyk i Jagna Rolska, 2021

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce

© ArtOfPhotos/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Ewa Charitonow

Korekta

Maciej Korbański

ISBN 978-83-8234-685-5

Warszawa 2021

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Rozdział 1

O kurczę, ale tu brzydko! – wyrwało się Dance.

– To przez kontrast i wyjątkowo niesprzyjające warunki pogodowe – roześmiał się Marek.

W pierwszym tygodniu stycznia zabłocona Warszawa nie wyglądała zbyt zachęcająco. Na trawnikach walały się osmalone resztki sylwestrowych petard, a w bezwietrznym, wilgotnym powietrzu unosił się gryzący smog. Jeszcze przedwczoraj oboje podziwiali ośnieżone Alpy w austriackim Kaprun, teraz stali przed szarym blokiem na Bródnie.

– Pewnie masz rację – odparła. – Co nie zmienia faktu, że chcę wynieść się stąd jak najszybciej.

Po cichu marzyła, żeby wyprowadzić się z Warszawy na dobre. Najchętniej na Mazury. Pokochała spokojne okolice Sarnowa i wspominała spędzone tam chwile jako najpiękniejsze momenty w życiu. I najbardziej intensywne. To właśnie tam udało się jej zrzucić ponad czterdzieści kilogramów i przeistoczyć z brzydkiego kaczątka w smukłego, pewnego siebie łabędzia. Mierząca sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu Danką obecnie ważyła niespełna sześćdziesiąt kilogramów i choć twierdziła, że do ideału trochę jej brakuje, wyglądała naprawdę świetnie. Lekko kręcone jasne włosy układały się lśniącymi pasmami wokół twarzy, która po zrzuceniu nadwagi zyskała ładnie zarysowane kości policzkowe, wyraziste duże oczy i usta kryjące idealnie proste białe zęby. Te ostatnie zawdzięczały swą urodę licówkom zasponsorowanym przez Emila.

Wprawdzie dzięki jego kaprysowi przeszła kompletną odmianę, ale i tak myśl o tym człowieku wywoływała w niej wściekłość. Nawet nie chodziło o to, że potraktował ją bezdusznie, jak projekt. Złość buzowała na wspomnienie balu sylwestrowego, gdy Emil wszystkim zaproszonym gościom wyświetlił na projektorze zdjęcie Danki sprzed przemiany. Otyłej, w koszmarnym, nieco przymałym kostiumie kąpielowym.

Tego nie zamierzała mu wybaczyć nigdy.

Między innymi dlatego dosłownie kilka dni po balu spakowali się z Markiem i nie oglądając na Emila, opuścili gościnne Kaprun. W tej sprawie byli zgodni: nie mieli zamiaru dłużej tkwić na łasce rozkapryszonego bogacza. I chcieli zacząć nowe życie. Razem.

– Wejdźmy, bo znów zaczyna kropić. – Danką spróbowała tchnąć w swój głos odrobinę entuzjazmu, choć powrót na stare śmieci wyjątkowo ją przygnębiał.

Obok nich, na chodniku stały cztery ogromne walizy pełne luksusowych ubrań i butów. Na mocy umowy z Emilem należały do Danki, a ona skrupulatnie zgarnęła je wszystkie. Trzeba się było liczyć z tym, że przez jakiś czas pieniądze z ich sprzedaży będą stanowić jedyne źródło dochodu jej i Marka. Do Bonusa nie zamierzała wracać, w żadnym charakterze. Oddzieliła przeszłość grubą kreską. Zresztą sieć niedawno ogłosiła upadłość, a jej szef, Wątorski, zapewne będzie gnął w więzieniu przez długie lata. Lista stawianych mu zarzutów wydłużała się z każdym dniem, o czym Danką, jako poszkodowana i zarazem świadek w sprawie, była informowana na bieżąco przez prawnika Emila Kastnera.

– Mam nadzieję, że jest winda? – zapytał Marek, zerkając na walizki.

– Jest. Ale i tak wchodzimy tylko na parter – uspokoiła go Danką.

W mieszkaniu panował zaduch. Choć jego właścicielka była tu zaledwie kilka tygodni wcześniej, gdy po porwaniu przez Wątorskiego przyjechała na chwilę do Warszawy, miała wrażenie, że minęły lata.

– Nic wielkiego – bąknęła speszona, widząc, że Marek lustruje staromodną boazerię w przedpokoju.

Lokum składało się z dwóch pokoi, niewielkiej kuchni i jeszcze mniejszej łazienki. Danka od dawna dzieliła je z kolejnymi lokatorami, więc w zasadzie nigdy nie istniał tu podział na sypialnię i salon. Za życia babci większy pokój należał do niej, po jej śmierci zajęła go wnuczka, a mniejszy zaczęła wynajmować.

– Najważniejsze, że masz własny kąpiel – pocieszył, kładąc jej dłonie na ramionach. – Spójrz na mnie. Ja zostałem z niczym – dodał z goryczą.

– Co moje, to i twoje – odparła poważnie Danka. – Najważniejsze, że mamy siebie. Z resztą jakoś sobie poradzimy.

Marek przytulił ją mocno i pocałował w usta.

Ich trwający od sylwestra romans przebiegał bardzo gwałtownie. Nie mogli bez siebie wytrzymać nawet kilku minut, a pożądanie ogarniało ich co chwila. Jak para nastolatków – wciąż szukali zacisznych kątów. Nie byli w stanie powstrzymać się nawet na pokładzie samolotu rejsowego z Wiednia do Warszawy. Gdy Danka poszła do toalety, Marek podążył za nią. Zamknęli drzwi, starając się nie zwracać uwagi na pełne dezaprobaty spojrzenia stewardes.

– Nie mamy nic do jedzenia – odparła nieswoim głosem Danka, do której z mocą dotarło, że trwający od pół roku podniebny lot właśnie kończy się twardym lądowaniem. A jej życie powraca na, przez jakiś czas zapomniany, całkiem przyziemny pułap.

– A kto by się tym przejmował? – wyszeptał jej do ucha.

Przytuliła się do niego i po raz kolejny zdziwiła, że dłonie kochanka nie natrafiają na wałki tłuszczu. Mózg czasami płał jej takie figle. Danka traciła wówczas pewność siebie, a pielęgnowane latami kompleksy wypełzały ze wszystkich zakamarków. Drgnęła mimowolnie.

– Stało się coś? – zapytał Marek, jak zwykle wyczulony na zmiany nastroju.

– Nie, nic – odparła. – Dziwnie się tutaj czuję – wyznała. – Jakbym się obudziła z pięknego snu.

– Jutro zaczynamy szukać nowego mieszkania – powiedział stanowczo.

– Jasne! – prychnęła. – Ciekawe, gdzie znajdę cokolwiek w podobnej cenie.

– A co z Mazurami?

– Marzenie ściętej głowy. Skoro mam się zająć foto-grafią, raczej nie powinnam opuszczać Warszawy.

– To prawda – zasępił się. – Ale zamiana mieszkania nie jest przecież sprawą beznadziejną. Pomogę ci ze wszystkim, nie martw się.

– Ach, będziemy się tym martwić jutro – oświadczyła. – Teraz jest coś znacznie ważniejszego.

– Seks? – Błysnął zębami w uśmiechu.

– Chodziło mi o prysznic i rozpakowanie walizek, ale w sumie i jedno, i drugie może poczekać – roześmiała się gardłowo Danka. Chwyciła Marka za rękę i pociągnęła go do większego pokoju.

Nie tracąc czasu na rozkładanie wersalki, popchnęła go na nią i rozpięła mu spodnie. Jak zwykłe próbował się podnieść i przejąć inicjatywę, ale nie pozwoliła. Stłumiła chichot, bo wyobraziła sobie jego leżącą jak kłoda małżonkę. Ten obsesyjny przymus, żeby przede wszystkim wykazać się przed partnerką, raczej nie wziął się znikąd.

Odsunęła próbując ją złapać dłonie i zsunęła Markowi spodnie z bioder. Ujęła jego męskość ustami. Zamruczał z rozkoszy.

– To nie potrwa długo – ostrzegł.

Uniosła głowę i kontynuowała dzieło, patrząc mu wyzywająco w oczy.

– Danka! – jęknął Marek i wypchnął biodra do przodu.

– Odwdzięczysz się później – roześmiała się.

Zsunęła się z wersalki i poszła do łazienki.

Może życie z Markiem w tym mieszkaniu nie będzie takie złe?, pomyślała. I może znów przywyknę, a duch Elwiry zniknie stąd na dobre?

W trakcie poprzedniej wizyty skrupulatnie spakowała wszystkie rzeczy zamordowanej lokatorki. Większość z nich od razu sprezentowała dozorczyńni, teraz należało jeszcze pozbyć się reszty. Nie pozostało tego wiele, zatem wyniesienie wszystkiego do stojącego przed blokiem specjalnego pojemnika na odzież wydawało się najlepszym pomysłem.

Stojąc w wannie i polewając się wodą z prysznica, Danka stwierdziła, że po półrocznym urlopie od życia musi twardo stanąć na ziemi i zawalczyć o przetrwanie.

Jak pokazał następny dzień, rzecz okazała się prostsza, niż sądziła. Nie dowierzając własnemu szczęściu, obracała w dłoniach urzędowe pismo.

Właśnie kończyli śniadanie, gdy do drzwi zapukała dozorczyńni. Spróbowała zapuścić do środka klasycznego żurawia i wręczyła Dance plik korespondencji. Z pewną niechęcią oddała także klucz od skrzynki.

– A bo to jest sens? – zniechęcała. – Znowu gdzieś wyjedziesz, to kto ci listy będzie wyjmował?

– Już nigdzie nie wyjeżdżam, więc dziękuję za dotychczasową pomoc, ale nie będę pani głowy tym zawracać – odparła stanowczo.

Kopert było kilka. Oferty reklamowe odrzuciła na bok. Szukała przede wszystkim rachunków, ale ich nie znalazła. Dopiero po chwili do Danki dotarło, że przecież Emil zlecił przekierowanie jej korespondencji do swojego biura księgowego. Kolejna rzecz, którą nie musiała zaprzętać sobie głowy ostatnimi czasy. Z postanowieniem, że zajmie się przywróceniem adresu korespondencyjnego w poniedziałek, zaczęła przeglądać pozostałe listy. Trzy z nich nadano z urzędu gminy w Bolkowie, więc przez chwilę myślała intensywnie, skąd zna tę nazwę. W końcu skojarzyła, że musi chodzić o niewielkie miasteczko opodal wsi, w której mieszkał jej ojciec. Zdziwiła się.

– Czego może ode mnie chcieć gmina? – mruknęła pod nosem. – Kolejne podatki za te cholerne nieużytki?

– Jakie nieużytki? – zainteresował się Marek, oderwawszy od mycia talerzy.

– Uważaj, bo ten zlew się zapycha – ostrzegła go Danka. – Miałam ci wcześniej powiedzieć, ale zapomniałam. A nieużytki to po ojcu. Próbowалам kiedyś je sprzedać, ale nikt nie chciał kupić. Nie dość, że najgorsza klasa ziemi, to w części teren zalewowy.

– Spoko, udrożniłem, gdy tylko wstałem. Zlew, nie nieużytki, ma się rozumieć – roześmiał się. – No, otwórz te nieszczęsne koperty, przecież cię nie pogryzą. Nawet jeśli to podatek, to przecież za tak bezużyteczne grunty nie może być duży. Ile tego masz?

– Nie pamiętam dokładnie, ale kilka hektarów na pewno – odparła i rozerwała pierwszą kopertę. Uważnie wczytała się w pismo. – Jak to wywłaszczyć? To można tak?! – zapytała poirytowana. – Co to za bezprawie?!

– Co? Pokaż! Niemożliwe.

Danka rozłożyła kolejne pismo i przebiegła po nim wzrokiem. W tym czasie Marek w skupieniu studiował poprzednie.

– Z drugiego wynika, że mam się stawić w gminie, by podpisać papiery dotyczące sprzedaży – powiedziała zdumiona Danką.

– Czekaj, czekaj, wszystko jest w porządku. Wywłaszczają cię pod budowę autostrady. Zdaje się, że miałaś nieziemski fart, bo na twojej ziemi zaprojektowano węzeł i stację

benzynową. I dlatego odkupują wszystko, a nie tylko fragment pod budowę jezdni. Danką, to jest fantastyczna wiadomość!

– Niech mnie ktoś uszczypnie – wyszeptała, mrugając z niedowierzaniem. Drżącą ręką podała Markowi trzeci list.

– O cholera! Trzysta tysięcy? Danką, masz kupę kasy!

– Tu piszą, że gdy zgłoszę się do gminy, zostaną przelane na moje konto w ciągu siedmiu dni. Nie wierzę! Po prostu nie wierzę! Spłacę do końca kredyt ojca i zostanie mi jeszcze od groma pieniędzy!

– No nieźle. – Marek z przyjemnością patrzył na podekscytowaną Dankę. – Zatem co teraz?

– To chyba jasne. Zmienię mieszkanie! I dzielnicę. Muszę zacząć nowe życie w nowym miejscu. Odłożę trochę na czarną godzinę, a część zainwestuję w stronę internetową i reklamę mojego atelier. Przy odrobinie szczęścia rozkręcę firmę – opowiadała z entuzjazmem.

– A nie potrzebujesz przypadkiem pracownika? – zapytał.

W tej samej chwili Danką zdała sobie sprawę, że tak bardzo skupiła się na sobie, że zabrakło jej troski o sprawy Marka. Oczywiście mieszkanie to jedno, ale przecież pozostawała jeszcze kwestia pracy; aby pomagać w metamorfozie, wziął roczny urlop w szkole, a uposażenie wypłacał mu Emil. Danką nie miała pojęcia, czy wciąż to robi, ale znała już Marka wystarczająco, by podejrzewać, że nie przyjmie pieniędzy od przyjaciela za nic. A może raczej od byłego przyjaciela?, przemknęło jej przez głowę i ze wstydem przyznała, że nie zainteresowała się nawet tą kwestią. Jak właściwie układała się dzisiaj ich relacja? W końcu byli sobie bliscy od dziecka. Czy Marek przekreślił te wszystkie lata właśnie przez nią?

Poczuła się głupio.

– Oczywiście, że potrzebuję. Doświadczenie mile widziane – oświadczyła z promiennym uśmiechem. – Wchodzisz w to?

– Jak najbardziej!

– Wspaniale! – Z piskiem rzuciła się Markowi na szyję.

– Ale wiesz, że to zmieni wszystko? – mruknął jej wprost do ucha.

– Niby co? – zapytała zdezorientowana i odsunęła się o krok.

– Przecież gdy zaczniemy razem pracować, będę musiał trzymać łapy przy sobie. Inaczej będziesz mogła oskarżyć mnie o molestowanie! – Parsknął śmiechem.

– No trudno – odparła z udawaną powagą. – W takim razie musimy zmienić naszą relację na wyłącznie zawodową.

– Po moim trupie! – oświadczył teatralnie i chwycił ją w objęcia.

– Ratunku! Molestują! – zawołała Danką, po czym wywinęła się zwinnie i pobiegła do pokoju.

– Dopiero mogą zacząć! Szykuj się!

Kolejne dni były pasmem załatwiania niekończących się spraw urzędowych.

Ku niekłamanemu zdumieniu Danki po wizycie w urzędzie gminy i podpisaniu stosownych dokumentów na jej konto faktycznie wpłynęły pieniądze. Oszołomiona, raz po raz sprawdzała saldo. Jeszcze nigdy w życiu nie dysponowała taką kwotą. Na dodatek, pracując u Emila, zarobiła przeszło siedemdziesiąt tysięcy, których jak dotąd nie miała nawet sposobności uszczknąć. Nie licząc mikołajkowych prezentów dla dzieci Marka, nie wydała przez ostatnie pół roku ani złotówki. Emil zapewniał jej absolutnie wszystko. Do tego doszło trzysta tysięcy ze sprzedaży gruntów. Łącznie stanowiło to kwotę przyprawiającą Dankę o zawrót głowy.

Marek stanął na wysokości zadania. Wspierał ją, jak tylko mógł, i nie odstępował na krok. Gdy musiała udać się do urzędu gminy znajdującego się prawie sto kilometrów od Warszawy, towarzyszył jej dzielnie w trakcie jazdy autobusem na dworzec i później, nieco rozklekotany i zatłoczonym pekaesem, do Bolkowa.

– Gdybym miał samochód, zawiózłbym cię tam w znacznie bardziej komfortowym stylu – utyskiwał, gdy wracali do miasta przepełnionym autobusem. – Niestety żona zabrała... – zamilkł raptownie.

– Nic nie szkodzi. Przecież wszystko jest w porządku – pośpieszyła z pomocą Danką. – Wiesz? Mam taki pomysł, żeby kupić jakiś mały używany samochodzik i zapisać się na prawko. Nigdy wcześniej o tym nawet nie myślałam – dodała zawstydzona. – Sam kurs mało nie kosztuje, a poza tym gdy pracowałam w Bonusie, i tak nie było mnie stać na własną brykę.

– Mógłbym cię poduczyć – zapalił się do pomysłu Marek.

– Naprawdę? – ucieszyła się. – To będzie pracowity czas. – Zamyśliła się. – Zmiana mieszkania, prawo jazdy, założenie firmy. Zaczniemy nowe życie, zobaczysz! – dodała z entuzjazmem.

– Muszę się najpierw uporać z kilkoma sprawami – odparł cicho Marek. – Zobacz, już Dworzec Wileński! W końcu – zmienił temat.

Na Bródno dotarli solidnie zmęczeni, ale Danką czuła się, jakby fruwała. Niespodziewane bogactwo oszałamiało i napędzało do działania. Jeszcze tego samego dnia wystawiła mieszkanie na sprzedaż i zapisała się na badania lekarskie dla kierowców. Wieczorem, racząc się nieśpiesznie czerwonym winem, usiedli z Markiem przed laptopem i zaczęli przeglądać oferty deweloperów. Od przeróżnych inwestycji rozrzuconych po mapie Warszawy i okolic aż kręciło się w głowie. Danką z rozmysłem omijała wszystkie zlokalizowane na Bródnie.

– Przecież to nie jest brzydka dzielnica. Nawet jeśli nie chcesz mieszkać w tym konkretnym mieszkaniu, możesz przecież zamienić na inne. Nie rozważałaś takiego wariantu? Zobacz, tu już ceny poszły mocno w górę, a niebawem oddadzą stację metra, więc będzie wszędzie blisko. Może sprzedaż właśnie teraz nie jest najlepszym pomysłem? Przecież niedługo mieszkanie będzie więcej warte – zasugerował Marek.

– Nie. Potrzebuję zmian – odparła stanowczo. – Wyprowadzam się z tej części miasta. Dam wyższą cenę i się zobaczy.

Wydarzenia posypały się w lawinowym tempie. Jeszcze w tym samym tygodniu zgłosił się chętny i oświadczył mrugającej z niedowierzania Danki, że kupuje od ręki i za gotówkę. Nawet niespecjalnie się targował. Nalegał jedynie, żeby dotychczasowa właścicielka wyprowadziła się jak najszybciej.

Danką bała się zniechęcić dobrego kupca, więc przez chwilę pojawiło się przed nią widmo bezdomności. Nie tracąc czasu, zaczęli wraz z Markiem jeździć i oglądać mieszkania. Z oczywistych przyczyn wykluczyli inwestycje dopiero powstające. Szukali gotowego lokum z możliwością natychmiastowej przeprowadzki.

– To beznadziejne – marudziła Danką. – Obejrzelismy dzisiaj pięć, nóg już nie czuję od łożenia, i wszystko na nic. Drogie albo okolica nieciekawa.

– Teraz już za późno, żeby się poddawać. Podpisałaś umowę sprzedaży i masz miesiąc na wyprowadzkę – mruknął Marek znad patelni. Wprawnie zamieszał jajecznicę na pomidorach, po czym dorzucił garść startego żółtego sera. W kuchni ponownie zapachniało jak w domu.

– Jak będziesz mi tak dogadzał, to za chwilę zacznę tyć – ostrzegła.

Zjadła jednak wszystko bez protestu, gdy tylko postawił przed nią talerz. Sam usiadł przy niewielkim stole naprzeciwko niej i spojrzał jej w oczy. Przez chwilę myślał o czymś intensywnie, a potem klepnął się w czoło.

– Ależ ja jestem głupi! Że też od razu mi to nie przyszło do głowy – zaczął sobie wyrzucać.

– Ale co? Co ty kombinujesz?

– Przecież ja mam znajomego, takiego Leszka! Dawno się nie widzieliśmy, a gość działa w budowlance. Konkretnie w biurze sprzedaży mieszkań z rynku pierwotnego. Już do niego piszę, może znajdzie coś ciekawego od ręki? – ekscytował się Marek.

– Szczerze wątpię. Ciekawe schodzą na pniu. Albo płacisz mniej i czekasz kilka miesięcy na odbiór, albo kupujesz z marszu, ale wtedy za zdecydowanie większą kasę – studziła jego zapał Danka.

– Jak się nie zapytamy, to się nie dowiemy.

Znajomy Marka odpisał jeszcze tego samego wieczoru. Wieści były więcej niż pomyślne. Miał do sprzedania gotowe mieszkanie na nowo powstałym osiedlu na Bemowie. W bardzo korzystnej cenie.

– A gdzie haczyk? – zapytała Danka.

– Nie ma żadnego! – roześmiał się Marek. – To ostatnie, parterowe i dość duże. Ma trzy pokoje i spory ogródek. A zostało im dlatego, że deweloper miał w nim biuro sprzedaży. Dosłownie jutro ma być zwolnione do sprzedaży. Jeśli zarezerwujemy je dzisiaj, a jutro dopełnisz formalności, ogłoszenie wcale się nie ukáže.

– Jest za duże. Nie będzie mnie stać – zmartwiła się Danka.

– No właśnie będzie. Za cenę sprzedaży obecnego będziesz miała tam większe, w nowym budownic-twie i jeszcze z własnym ogródkiem.

– To mnie akurat za bardzo nie cieszy – mruknęła.

– Co? Że ma ogródek?

– To, że jest na parterze. To jedna z przyczyn sprzedaży obecnego. Zbyt dobrze pamiętam dzień, w którym ktoś próbował mi wyważyć drzwi, a ja musiałam uciekać przez balkon.

– Dziwnie rozumujesz.

– Dziwnie? – Spojrzała urażona.

– No pewnie. Przecież dobijał się do drzwi. Co mu była za różnica na parterze czy na piątym piętrze? Natomiast ty z piątego raczej byś nie zwała, prawda? Można powiedzieć, że tylko dlatego, że mieszkasz na parterze, udało ci się uciec, a nam się poznać. I jesteśmy tu teraz razem – podsumował uroczyście Marek.

– Jasne. Zaraz do tego dorobisz efekt motyla – droczyła się Danka, choć w duchu przyznała, że ma wiele racji. – No dobrze. Przekonałeś mnie. Bierzemy.

– Będziesz mogła posadzić własne kwiaty, kupić meble ogrodowe – rozmarzył się.

– Ja i kwiatki? To raczej ty sobie będziesz je sadzić, mój ty botaniku.

– Najpiękniejsze róże dla najpiękniejszej dziewczyny!

Następnego dnia pojechali obejrzeć mieszkanie. Danka zakochała się w nim natychmiast. Dwie sypialnie były niewielkie, ale za to spora garderoba robiła wrażenie. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak mieszczą się w niej wszystkie kosztowne buty i ubrania. Kolejny atut stanowił przestronny i jasny salon połączony z kuchnią.

– Zawsze marzyłam o wyspie kuchennej – oświadczyła, rozglądając się wokół.

– Tu z pewnością wystarczy na nią miejsca – stwierdził oprowadzający ich znajomy Marka. – Chcecie zobaczyć ogródek?

Danka przytaknęła i podeszła do szerokich tarasowych drzwi. Jej przyszyły kawałek ziemi miał kształt prostokąta i był dyskretnie oddzielony wysokim drewnianym płotem od sąsiednich. Może nie należał do największych, ale stanowił kwintesencję marzeń.

– Kupuję! – oświadczyła z mocą i wycelowała w Marka palcem wskazującym. – Mogę

od razu podpisać papiery. Ale trawę ty będziesz kosić!

Rozdział 2

Nagi Emil Kastner nachylił się nad stołem i za pomocą złotej rurki wciągnął do nosa kreskę białego proszku.

– Uwielbiam, gdy wciągasz koks – zamruczała Hilda, przeciągając się jak kotka.

Leżała na ogromnym łóżku w swoim apartamencie. Niedawno kazała wymienić standardowe hotelowe na potężny, robiony na zamówienie kwadratowy mebel szeroki na trzy metry. Zmiana nie wynikała oczywiście z tego, że nie mieścili się w poprzednim z Emilem podczas częstych igraszek, ale z tego, że mieściło się na nim teraz znacznie więcej osób. Hilda była wniebowzięta, bo udało się jej namówić kochanka na bardziej pikantne eksperymenty. Jak dotąd Emil, choć zawsze prowadził bujne życie erotyczne, preferował tradycyjny układ. Zdarzyło mu się figlować jednocześnie z dwiema kobietami, ale niekoniecznie mu się to podobało. Oczywiście jak wszystko, co nowe, także i trójkącik wywołał w nim dreszcz podniecenia, ale praktyka pozwoliła zrozumieć, że zadowolenie dwóch kobiet naraz nie jest sprawą łatwą. Dlatego pozwalał sobie na takie numery wyłącznie z dziewczynami. Ich satysfakcją seksualną nie musiał się przejmować.

Choć Hilda była jego bliską współpracownicą, zaspokajanie jej potrzeb traktował ambicjonalnie. Miała nieposkromiony apetyt, niezwykłą fantazję, właściwie żadnych zahamowań, za to ogromne wymagania. A jednocześnie dawała z siebie wszystko.

– No chodź tu już! – zażądała, widząc, że Emil ociera nos wierzchem dłoni.

Pod wpływem narkotyku jego penis urósł do imponujących rozmiarów.

To właśnie przez Hildę zaczął wspomagać się kokainą. Zwykle źle się po niej czuł, ale teraz zamierzał dotrzymać kochance kroku w realizowaniu dzikich fantazji. A ponieważ ostatnio często pił, głównie dlatego, żeby zapomnieć o sprawie z Danką, jego sprawność nieco zmalała.

– Czekam – zamruczała Hilda.

Odwróciła się na brzuch, odrzuciła na plecy jasne włosy i wypięła się prowokująco.

Emil, nie czekając na ponowne zaproszenie, wstał z krzesła i podszedł nieśpiesznie. Przez chwilę droczył się z kochanką, wodząc męskością po jej pośladkach, ale nie wytrzymał zbyt długo i wszedł między nie gwałtownie. Prochy naprawdę dawały mu niezłego kopa.

Te maratony we dwoje trwały od jakiegoś czasu i zawsze kończyły się tak samo: Emil budził się z kacem, niekiedy także moralnym, i żeby jakkolwiek funkcjonować, sięgał po kokainę. W należącym do niego górskim hotelu trwała pełnia sezonu narciarskiego, zatem pracy było mnóstwo. Zwyk-le się tym faktem nie przejmował, od zarządzania inwestycją miał ludzi, przede wszystkim pełniącą obowiązki dyrektora Hildę, ale w Austrii właśnie zaczęły się ferie i w resorcie zagościło wielu miejscowych VIP-ów. A to wiązało się z licznymi spotkaniami, mniej lub bardziej oficjalnymi. Gospodarz powinien wyglądać jak człowiek, czarować panie, ścisnąć dłonie panów i w zaciszu przytulnych hotelowych kanap załatwiać przeróżne interesy.

Ciężko było pogodzić obowiązki z niekończącymi się nocnymi libacjami. Emil po raz pierwszy w życiu pomyślał, że chyba się starzeje. Dotychczas podobne szaleństwa uchodziły mu na sucho, chociaż, co musiał uczciwie przyznać, aż do teraz raczej stronił od narkotyków i obsesyjnie o sobie dbał. Tyle, że zorientował się, że niewielkie porcje zażywane rano skutecznie stawiają go na nogi. Nie dopuszczał jednak do siebie myśli, że to błędne koło i jeśli pójdzie tak dalej, stoczy się na samo dno.

Wszystko zaczęło się w dniu wyjazdu Danki i Marka. Wściekły Emil nie potrafił przyznać się sam przed sobą, że na własne życzenie za jednym zamachem stracił i przyjaciela,

i dziewczynę, na której, co tu dużo mówić, zaczęło mu w pewien sposób zależeć.

On, wiecznie zblazowany bogacz, którego nie cieszyło w życiu już prawie nic, zdał sobie sprawę, że ostatnimi czasy jedynie Danką go kręci. Wmawiał sobie jednak, że chodziło wyłącznie o projekt przemiany w księżniczkę, skutecznie wyparłszy sylwestrowe plany podboju. Do tego nie przywykł do sytuacji, w której nie otrzymywał, czego chce. Urażona ambicja bolała, podobnie jak postępek Marka.

To, że serdeczny kumpel sprzątnął mu dziewczynę sprzed nosa, Emil uznał za zdradę. Zresztą obydwójce wykazali się nielojalnością i nie chciał ich więcej znać. A jednak fakt, że wyjechali, przygłębił go do tego stopnia, że wściekły postanowił sprzedać hotel.

Dalszy ciąg irracjonalnego postępowania był taki, że poszedł do Hildy, by jej to oznajmić. Sam się temu dziwił, ale tłumaczył sobie, że to skutek zadania mu przez tamtych dwoje ciosu w plecy. Zwyk-le działał roztropnie i nie poddawał się impulsom, zwłaszcza w sprawach zawodowych. Ale teraz, nie myśląc wiele, załomotał do drzwi. Właśnie otwierał usta, by ogłosić kochance swoją decyzję, gdy zorientował się, że w progu stoi goła kobieta, która zdecydowanie nie jest Hildą.

– Przepraszam – wykrztusił. – Musiałem pomylić drzwi.

– To ty, Emilu? – rozległo się z głębi apartamentu. – Wpuść go, Andrea – poleciła po niemiecku Hilda.

Dziewczyna, zupełnie niezbita z tropu, zrobiła krok w prawo i wystudiowanym gestem wsparła się o framugę. Z miejsca, w którym stał, Emil dostrzegał profil jej niewielkich piersi, pomiędzy którymi spływał prawie do pępka czarny warkocz. Jeszcze sekundę wcześniej miał zamiar odwrócić się na pięcie i odejść, gdy nagle wyobraził sobie, że odwraca ślicznotkę tyłem do siebie, a jej warkocz owija sobie wokół nadgarstka.

– Wchodzisz? – zapytała zmysłowo brunetka. – Jak widzisz, trochę mi zimno – dodała, opuszczając wymownie wzrok na swój pokryty gęsią skórą biust, zwieńczony stwardniałymi sutkami.

Emil doskonale wiedział, że to nie objawy zimna. Bez słowa wszedł do pokoju. Andrea nie odsunęła się, więc otarł się o jej nagie ciało lewym przedramieniem. To wystarczyło, by nabrał ochoty na podwójne damskie towarzystwo.

– Jak miło, że postanowiłeś się do nas dołączyć. – Hilda zmysłowo zniżyła głos.

Dopiero teraz Emil zauważył, że w apartamencie jest ktoś jeszcze.

Za plecami leżącej na boku pani dyrektor uwijał się jakiś facet. Uniesiona i zgięta w kolanie noga Hildy zapewniała doskonałą widoczność i nie pozostawiała wątpliwości co do tego, jak się obydwójce zabawiają. Nieco zde gustowany Emil chciał się wycofać; był samcem alfa i nie uznawał na swoim terytorium żadnego innego. Poza tym jako mężczyzna całkowicie heteroseksualny nawet sobie nie wyobrażał, że mógłby znieść widok gotowego do działania obcego faceta. Zrobił krok do tyłu i wtedy poczuł tuż za sobą obecność Andrei.

Przytuliła się do jego pleców i położyła mu dłonie na piersiach. Powolutku rozpięła guziki jego koszuli.

– Mmm... Jaki sześciopak – wymruczała i przeszła do suwaka od spodni.

Tego już było zbyt wiele. Emil nie życzył sobie sceny, w której jego gacie spadają do kostek, a on sam stoi z idiotyczną miną na wprost kopulującego z Hildą obcego faceta. Wywinął się z objęć dziewczyny i odwrócił. Z dwojga złego lepiej niech tamten ogląda gołe pośladki.

Dziewczyna przylgnęła do niego. Musiał się nieco nachylić, żeby odnaleźć chętne, miękkie usta. I tak jak to sobie wyobraził wcześniej, oplótł czarny warkocz wokół nadgarstka i lekko pociągnął.

Zrozumiała od razu. Uklękła i z zapalem wzięła w usta jego przyrodzenie.

Przymknął oczy z lubością. Dziewczyna знаła się na rzeczy. Czując, że zaraz może być po wszystkim, Emil chwycił ją za ramiona, pomógł jej wstać i pociągnął ku stojącej opodal wielkiej sofie.

Hilda tymczasem zmieniła pozycję i obecnie siedziała na partnerze okrakiem.

– Nie, tam nie – zaprotestowała dziewczyna. – Chodźmy do nich. – Położyła się przy kopulującej parze.

Emil, niewiele myśląc, rozsunął jej nogi. Przez chwilę rozkoszował się widokiem idealnie wygolonego łona. Przejechał po nim od niechcenia palcem wskazującym. Andrea zadrżała. Podłożył dłonie pod kształtne pośladki, po czym zaczął językiem kreślić kółka na rozgrzanej skórze.

– Weź mnie! Nie chcę już dłużej czekać – wyszeptała zmysłowo dziewczyna.

Przyciągnął ją do brzegu wysokiego łóżka i natarł penisem.

– A w ogóle to poznaj mojego męża, Horsta.

Emil drgnął, po czym zamarł. Zaskoczony spojrzał na mężczyznę. Ten skinął mu głową i puścił oko, co Emilowi wydało się nieco groteskowe. Zwłaszcza że na facecie nadal widać było z wypiętymi w łuk plecami Hilda.

Chwilę później Emil zatracił się w przypadkowej kochance i stwierdził, że obecność innych ludzi zupełnie mu nie przeszkadza. A właściwie fakt, że uprawia seks na oczach męża Andrei, dostarcza mu dodatkowej podniety.

Dziwna to była relacja, ale połączyła całą czwórkę na długie zimowe wieczory. Hilda miała niespożyte siły i wyobraźnię. Wymyślała coraz to nowe zabawy, z odtwarzaniem scenariuszy włącznie. Emil z początku uważał, że to idiotyczne, ale o dziwo za każdym razem te pomysły go porywały. Nie potrafił zdecydować, która z dziewczyn podoba mu się bardziej. Różniły się jak ogień i woda: Andrea, spokojna i delikatna, oddawała mu się z radością, Hilda, energetyczna ponad miarę, dyrygowała zarówno nim, jak i Horstem. I trzeba przyznać – potrafiła podkręcać atmosferę do niewiarygodnego poziomu.

Horst, podobnie jak Emil, nie wykazywał zainteresowania własną płcią, ale polubili się i szybko znaleźli odpowiedni rytm. Wspólne kolacje z najlepszymi owocami morza i szampanem, rzecz jasna sponsorowane przez gospodarza, umilały im noc. Podobnie szkocka whisky i najczystsza kokaina z Kolumbii. Emil z dnia na dzień zatracił się w tym nieskrępowanym szaleństwie, a podstępny rozum podsuwał mu kolejne rozgrzeszenia.

Najszybciej uporał się z wiadomością, że Andrea i Horst są małżeństwem. Obydwójgu obserwowanie partnera w trakcie kochania się z kimś innym sprawiało przyjemność i nakręcało do działania. Emilowi nie do końca mieściło się to w głowie – w jego odczuciu małżeństwo stanowiło deklarację wierności. Właśnie dlatego nigdy nawet nie pomyślał o ożenku. Zrozumiał, że ma dość staroświeckie poglądy, gdy podchmielony Horst go poprosił, żeby wspólnie zajęli się Andrea. Hilda przyklasnęła pomysłowi z radością i dołączyła im szampana do kieliszków.

Emilowi nie umknęło, że Andrea zaczerwieniła się i spojrzała na Hildę, jakby szukała u niej ratunku.

– Spokojnie, kochanie – szepnęła ta uspokajająco. – Znasz ich obojgu.

Horst oderwał się od przekąsek, jednym haustem wypił szampana i podszedł do żony.

– Zaczynamy? – rzucił w powietrze.

Emil wstał pośpiesznie. Rzecz go kręciła, choć jeszcze kilka dni wcześniej zapewne skrzywiłby się i odszedł z niesmakiem. Ale to było w czasach, gdy w hotelu mieszkała Danka. Teraz nie obowiązywały go żadne standardy ogólnie pojętej przyzwoitości.

Podszedł do małżonków.

– Wolisz z góry czy z dołu? – zapytał po niemiecku Horst.

– A jak ty chcesz?

Horst położył się na wznak i pociągnął na siebie Andreę. Odwrócił ją do siebie plecami i zaczął pieścić jej odbyt. Po chwili naparł na niego penisem. Dziewczyna jęknęła; nie wyglądała na zadowoloną. Emil, który oszacował, że wtargnięcie odbyło się zbyt gwałtownie, uznał, że Andrea potrzebuje czegoś ekstra: pochylił się nad nią, po czym zaczął lizać i naprzemiennie kasać jej piersi, jednocześnie masując dłonią łechtaczkę. Jęknęła i chyba w końcu zaczęła odczuwać rozkosz.

– Emil! – wychrypiała.

– Zaczekaj, kochanie, zaraz się tobą zajmę jak trzeba – wymamrotał.

Napędzany kokainą i bardziej niż widocznym podnieceniem Horsta odnalazł drogę.

Wbił się w Andreę jednym stanowczym ruchem i zdziwił się, jak ciasne jest jej wnętrze. Po chwili zrozumiał jednak, że to wskutek wypełniającego ją od tyłu przyrodzenia Horsta. Dzielili ich zaledwie milimetry. Obydwaj poruszali się w dziewczynie, starając się jednocześnie nawzajem nie dotykać, i obydwoj czerpali z tego przyjemność.

Emil wpił się w usta Andrei. Jego dłonie rytmicznie ścisnęły niewielkie piersi. W tym samym czasie Hilda położyła mu na plecach dłonie i rozpoczęła masaż mięśni karku. Poczuł obezwładniające ciepło. Próbował się skupić na Andrei i przedziwnym sąsiedztwie Horsta, ale Hilda, jak zwykle, musiała dominować. Nad wszystkimi.

Emil poczuł, że dobiera się do jego pośladków. Potrząsnął głową i wysunął się z Andrei, żeby przywołać Hildę do porządku.

– Wracaj, przyjacielu – sapnął Horst.

W tym czasie naparła Hilda. Emil skapitulował.

– Kiedyś marzyłeś o pasie z dildem – wydyszała mu do ucha.

Uczucie było obezwładniające. Z jednej strony Emil czuł Andreę i tuż obok jej męża. Nad nimi dominował. A jednocześnie kapitulował przed nieposkromioną Hildą.

Orgazm, który nim wkrótce wstrząsnął, był najbardziej niesamowitym doznaniem w jego życiu. A libacja alkoholowa, jaką zaliczył później, skończyła się tak, że następnego dnia po przebudzeniu nie wiedział, gdzie się znajduje. Zwykle wracał do siebie, ale po tej imprezie urwał mu się film.

Emil rozejrzał się wokół. Hildy nie było, obok spali Horst i Andrea. Skrzywił się. Nie znosił takich poranków. Cokolwiek działo się w nocy, nie miało prawa trwać następnego dnia.

Przez całe życie bardzo skrupulatnie przestrzegał tej zasady. Aż do teraz.

Usiadł na łóżku i opuścił nogi na ziemię. Podniósł z szafki nocnej telefon, żeby sprawdzić, która godzina. Zaklął cicho pod nosem, gdy zorientował się, że minęło południe. A później spojrzał uważniej – trzymał w dłoni komórkę Horsta. Speszony, że dotyka cudzej rzeczy, Emil chciał odłożyć ją dyskretnie na miejsce, ale niechący musnął kciukiem ekran. Telefon nie miał blokady, więc włączył się i domyślnie przywrócił ostatnio wykonywane zadanie.

Emil z niedowierzaniem skonstatował, że Horst nakręcił z ukrycia film, na którym on uprawia seks z Hildą i Andreą.

– A niech cię szlag! – syknął, gotując się ze złości, i skasował film. Korzystając ze sposobności, przejrzał całą zawartość telefonicznej galerii. Znalazł sporo zdjęć ze sobą w roli głównej i także usunął je wszystkie. Cisnął komórkę na stolik i zaczął się pośpiesznie ubierać. W kieszeni spodni namierzył własny smartfon i wyszedł na korytarz. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, wybrał numer.

– Horst i Andrea mają w ciągu godziny zniknąć z mojego hotelu – wycedził przez zęby do Hildy. – W przeciwnym wypadku możesz pakować się ty.

Nie skomentowała polecenia. Nawet nie próbowała pytać, co tak rozsierzdziło jej szefa, słusznie uznawszy, że na wyjaśnienia przyjdzie czas. Oznajmiła jedynie, że się tym zajmie, i przerwała połączenie.

Wściekły Emil poszedł do siebie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wygarnąć Horstowi, jednak ostatecznie odpuścił. Niczego by tym nie osiągnął. A jeżeli przegapił i nie wykasował jakiegoś filmu lub zdjęcia, to ryzykował odwet w postaci szantażu albo rozpowszechnienia materiału w mediach. Nie miał pojęcia, w jakim celu mężczyzna udokumentował dzikie harce w apartamencie Hildy. Miał nadzieję, że wyłącznie dla własnej podniety, co było najprostszym wyjaśnieniem, niemniej fakt był mocno wkurzający. W mniemaniu Emila takich rzeczy się po prostu nie robiło.

Długo stał pod prysznicem we własnej łazience, spłukując z siebie zapach obcych ciał. Wyszedł z kabiny i całkowicie nagi stanął przed lustrem. Sylwetkę miał wciąż nienaganną, choć dawno niećwiczone mięśnie wyraźnie zwiotczały. Pił dużo alkoholu i jadał od przypadku do przypadku, ale nie utył. To zapewne zawdzięczał kokainie.

W milczeniu obserwował odbicie własnej twarzy. Pod oczami widniały ciemne cienie, w kącikach ust zarysowały się zmarszczki. Niewielkie, właściwie ledwie widoczne, ale jednak. Odnotowawszy w pamięci, że musi się zgłosić do hotelowej kosmetyczki, wklepał pod oczy krem z placentą. Zarzucił na siebie szlafrok i zamówił do pokoju obiad oraz butelkę zmrożonego szampana. Jedząc beznamietnie argentyński stek, sięgnął po telefon. Niezupełnie rozumiał dlaczego, ale wszystko kojarzyło mu się z Danką. Wyszukał jej numer, jednak w ostatniej chwili opanował pokusę.

– I co ja bym jej, kurwa, powiedział? – mruknął do siebie, odkładając telefon na stół. – Zapomnij, to już zamknięty rozdział. Zajmij się lepiej interesami i sprzedaj ten hotel. A Hildę gdzieś wyślij, najlepiej na księżyc. – Umoczył usta w kieliszku z szampanem.

Nie miał pojęcia, po co zamówił akurat ten alkohol. Nigdy za nim nie przepadał, uznawał za zdradliwy i niespecjalnie smaczny. Mimo to postanowił go wypić.

– Pieprzony sylwester! – wymamrotał pod nosem i wlał do gardła całą zawartość lampki. – Nie tak miało być! Chciałem... – zamilkł, nie potrafiąc sformułować sensownej myśli.

Odstawił kieliszek na tacę i wstał. Podeszedł do panoramicznego okna ukazującego w pełnej krasie ośnieżone Alpy. Widok zapierał dech, ale Emil nawet nie zwracał nań uwagi. Objął się ramionami, pomyślał o Dance i Marku. Nie potrafił zrozumieć, co sprawiło, że odwrócili się od niego obydwójce.

W trzech krokach dopadł telefonu z zamiarem napisania do przyjaciela. W głowie układał treść wiadomości. Takiej, która z pewnością wywoła reakcję. Usiadł na popielatej kanapie i zaczął z namaszczeniem wstukiwać tekst. Nie szło mu najlepiej. Zaczynał zdanie, by po chwili je skasować. Żadne słowa nie wydawały mu się ważne i jednocześnie nonszalanckie. Emil doskonale wiedział, że przesadził, ale w żadnym razie nie zamierzał się do tego przyznać.

A może zaprosić tutaj Marka z dziećmi? Tak po prostu?, przyszło mu do głowy.

W tej samej chwili usłyszał dźwięk nadchodzącej wiadomości. Serce załomotało mu mocniej. Marek? Albo Danka?

Westchnął ciężko, gdy zobaczył, że to tylko Hilda.

Zwykle dzwoniła, więc wiadomość tekstowa była czymś absolutnie nowym.

Emil, choć niekoniecznie biegły w mediach społecznościowych, nieustająco dziwił się temu, że jego pani dyrektor nie miała oficjalnego konta właściwie nigdzie. A jednak musiała się komunikować z ludźmi całkiem nieźle. Jak inaczej znalazłaby Andreę i Horsta?

Wyświetlił wiadomość. Była lakoniczna.

U mnie. Za godzinę. Od tego zależy wszystko.

Nie bardzo wiedząc, o co może chodzić Hildzie, postanowił do niej pójść. Życie nauczyło go już dawno, że nie należy nikogo lekceważyć. Zwłaszcza osoby, z którą odbyło się niejedną libację i która, mimo wszystko, pozostaje sojusznikiem. Właśnie dlatego zebrał się w sobie i w bawełnianej koszulce oraz spodniach od piżamy przemknął przez hotel, po raz kolejny ignorując połączenia telefoniczne od przebywających w hotelu bardzo ważnych gości. Pomyślał, że wygarnie Hildzie wszystko, a potem ją zwolni. Gdzieś z tyłu głowy kołatała mu co prawda niepokojąca myśl, że pozbycie się kochanki nie będzie łatwe, ale mimo to zapukał do jej drzwi.

– *Mein geliebter* Herr Kastner, cudownie, że już jesteś! – zawołała, zrzucając z ramion przezroczys-ty peniuar. – Tym razem wymyśliłam coś absolutnie zajebistego! – roześmiała się głośno.

– Nie przyszedłem się tutaj bawić – odparł chłodno Emil. – Właściwie miałem zamiar porozmawiać o...

– To później! – ucięła stanowczo Hilda. – Nie po to się natrudziłam nad niespodzianką, żebyś miał ją teraz zniszczyć. Zwłaszcza że kosztowała mnie sporo zachodu – dodała z szelmowskim uśmiechem.

Wbrew wcześniejszym deklaracjom, że ma serdecznie dosyć jej dewiacji, Emil poczuł podniecenie i pozwolił wprowadzić się do apartamentu. Ku jego zdziwieniu w środku nie było nikogo, lecz wewnątrz przeszło pewną metamorfozę. Na ogromnym łożu pojawiła się dziewczęca jasna pościel w różowe kwiatki, a wokół ktoś porozstawiał białe parawany i płonące świece.

– Romantycznie, prawda? – zapytała Hilda. – Usiądź sobie na łóżku i chwilę zaczekaj.

– Co ty znów kombinujesz? – zniecierpliwził się.

– Nie pożałujesz, przysięgam!

Spojrzał badawczo i zrozumiał, że jego kochanka się boi, a sposób, w jaki się do niego odnosi, jest niemal służalczy. Nawet nie zapytała, dlaczego kazał jej pozbyć się Horsta i Andrei. Czy to oznaczało, że doskonale wie o filmach i zdjęciach?

– Już żałuję! – odwarknął, ale ciekawość zwyciężyła.

Usiadł we wskazanym miejscu.

Hilda zastukała łyżeczką o szkło, a zza parawanu wyszła bardzo młoda jasnowłosa dziewczyna.

Zdaniem Emila nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat. Ubrana w przezroczystą króciutką sukienkę na ramiączkach, która nie osłaniała absolutnie niczego, stanęła naprzeciwko niego w niewielkiej odległości. W pełnej krasie, począwszy od niewielkich piersi, przez płaski brzuch, po szczupłe uda. Nie miała majtek, choćby najmniejszych, koronkowych, ale stała z opuszczonymi wzdłuż tułowia rękami, nawet nie próbując osłaniać intymnych miejsc.

– Kto to jest? – rzucił do Hildy, nie odwracając wzroku od nastolatki.

– Twój dzisiejszy kwiatuszek. Który możesz zerwać w taki sposób, w jaki zechcesz – zagruchała kochanka przymilnie.

Sens jej słów nie od razu dotarł do Emila. Dziewczyna była piękna i w sposób oczywisty rozpraszała jego myśli.

– Jesteś tu z własnej woli? – zapytał ją po niemiecku.

– Nie rozumie – pośpieszyła z odpowiedzią Hilda. – To Rosjanka.

Emil powtórzył pytanie po polsku, powoli wymawiając słowa. Zrozumiała i skinęła potakująco.

– Jesteś dziewicą? – spróbował się upewnić.

– *Da*.

– Skąd ją wytrzasnąłeś? – zwrócił się do Hildy.

– Sama się ogłosiła w sieci, że sprzedaje cnotę. – Ta lekceważąco wzruszyła ramionami. –

Sporo zażądała, ale czego się nie robi dla serdecznego przyjaciela.

– I pewnie zamierzałaś filmować mnie z ukrycia, jak Horst? – prychnął Emil.

– Za kogo mnie masz? – obruszyła się.

Zadane zbyt pośpiesznie pytanie na odległość trąciło fałszem.

Młoda Rosjanka, niczego nie rozumiejąc, stała zakłopotana. Przeszłowała z nogi na nogę, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić.

– Nie bój się, skarbie – uspokoił ją Emil łagodnie. – Z mojej strony nic ci nie grozi.

– Ale ja się nie boję – odparła. – A już na pewno nie pana. I zgadzam się na wszystko!

– Masz chłopaka? – zapytał cicho.

– Mam, ale on nie wie, że tu jestem – zapewniła gorliwie.

– Ile jej zapłaciłaś? – zwrócił się Emil do Hildy.

– Dziesięć tysięcy – odparła z lekkim wahaniem. Nie rozumiała, do czego zmierza kochanek, ale nie była głupia i wiedziała, że coś się w ich wzajemnych relacjach nieodwracalnie zmieniło. – Nie podoba ci się? – zaryzykowała pytanie.

– Podoba. Tylko ślepcowi by się nie spodobała – odparł spokojnie, choć gotował się z tłumionej złości.

Hilda niespodziewanie skojarzyła mu się ze starą rajfurą. Miał wrażenie, że patrzy na Czarną Ewę, bezwzględną burdelmamę – wykorzystującą dzieci i szantażującą klientów. Pogarda, jaką w tej chwili poczuł, sprawiła, że niewiele się zastanawiając, podszedł do młodej Rosjanki i delikatnie pogłaskał ją po policzku.

– Pieniądze są twoje – powiedział. – Ale nie próbuj się ogłaszać ponownie, bo znajdę cię i odbiorę wszystkie, co do grosza. Wracaj do chłopaka i nie pozwól, żeby ten zgniły świat cię zniszczył.

Dziewczyna nie była pewna, czy Emil mówi poważnie, ale on chwycił ją za ramiona, okręcił w miejscu i stanowczo skierował w stronę białego parawanu.

Hilda patrzyła nic nierozumiejącym spojrzeniem.

– Doliczę dziesięć tysięcy euro do twojej odpłaty. Jesteś zwolniona – oświadczył jej Emil i opuścił apartament.

Rozdział 3

Wydarzenia potoczyły się lawinowo. Ponieważ nowy właściciel mieszkania na Bródnie nalegał na jak najszybszą wyprowadzkę, Danka stawiała na głowie, żeby zorganizować lokum zastępcze. Nie było to łatwe. Nikt nie chciał wynająć mieszkania za rozsądną cenę na miesiąc. Tak krótki najem nikomu się nie opłacał.

– Co jest nie tak z tym miastem? – biadoliła, trąc marchewki na surówkę. – Przecież jeśli mieszkanie stoi puste, dla właściciela to czysty interes, żeby wynająć.

– I tak, i nie – odparł Marek. – Czasem lepiej przeczekać i znaleźć kogoś solidnego. Poza tym prawo lokatorskie niespecjalnie chroni właścicieli. Wynajęcie lokalu było komu wiąże się z ryzykiem zainstalowania kłopotliwego dzikiego lokatora.

– No to co zrobimy? – zapytała. – Za kilkanaście dni musimy oddać Bródno, a ja nawet nie wiem, jak pozbyć się tych gratów. – Objęła gestem stare fotele i regały. – Przecież to wszystko pamięta lata sześćdziesiąte.

– Sprzedamy. Są grupy entuzjastów takich mebli. Uwierz, rozejdą się na pniu i za przyzwoite pieniądze.

Marek miał rację. Po opublikowaniu zdjęć w grupach tematycznych większość sprzedała się od ręki.

– Nie miałam nawet pojęcia, że te fotele jakoś się nazywają. A wychodzi na to, że to poszukiwane „hałasy” – dziwiła się Danka. – Parę osób to licytuje i już teraz mamy z tego sensowne pieniądze.

– A nie mówiłem? – wyszczerzył się Marek i zaczął obfotografowywać regał opróżniony ze starych szkolnych podręczników.

– Ten nie! – zaprotestowała dziewczyna. – To pamiątka i jedzie z nami. Tak samo ruski samowar.

– Całkiem sensowny i ponownie modny regalik. Można go nieco odświeżyć i przemaalować mu nogi na czarno. Może gałki wymienić? – zastanawiał się głośno Marek, z przekrzywioną głową przyglądając się meblowi. – Jeśli chcesz, zajmę się tym jeszcze przed przeprowadzką.

– Najpierw zajmijmy się tym, dokąd się z nim chwilowo wyprowadzimy. – Osadziła go i natychmiast się zawstydziła. – Wybacz. Stresuje mnie ta sytuacja. To mieszkanie przez lata było dla mnie wszystkim. Teraz, gdy je sprzedałam, czuję się jednocześnie tak, jakbym straciła jedną nogę i pozbyła się ciężaru. Zwariować można od tej huśtawki emocjonalnej. – Pociągnęła nosem, blis-ka płaczu.

Marek podszedł i delikatnie wyjął jej z dłoni marchewkę. Odwrócił dziewczynę do siebie i pogłaskał ją po twarzy.

– Hej! Przecież będzie dobrze! – wyszeptał. – Jestem tu i z pewnością zrobię wszystko, żeby włos ci z głowy nie spadł.

Danka pomyślała przelotnie, że jak na razie radzi sobie całkiem, całkiem i w sumie to Marek bardziej potrzebuje jej wsparcia. Choćby finansowego, nie mówiąc o mieszkaniowym. Jednak po chwili podstępne myśli uciekły, bo ukochany wpił się w jej wargi i zaczął wymownie wodzić dłońmi po pośladkach.

Po kolejnej nieudanej rozmowie telefonicznej z niezbyt przyjemnym wynajmującym Danka poddała się wreszcie i stwierdziła, że przeprowadzi się bezpośrednio do niewykończonego, nowo nabytego mieszkania z ogródkiem. Jakimś cudem udało jej się szybko

znaleźć fachowca od płytek i parkietów. Rozpoczął robotę bezzwłocznie, ale w zamian oczekiwał, że będzie mógł pomieszkać w miejscu pracy. Naprędce wyposażyła łazienkę w namiastkę kabiny prysznicowej, więc dało się funkcjonować. A gdy nadeszła pora ostatecznego rozstania się z mieszkaniem na Bródnie, uroniła kilka łez, zabrała ostatnią walizkę i otoczona opiekuńczym ramieniem Marka powędrowała do Ubera. Czuła przede wszystkim ulgę. Ten rozdział życia zatrzasnął się bezpowrotnie.

Kolejne dni nie były łatwe. Majster Krzysiek zajął mniejszy pokój, a para zakochanych koczowała w drugim. Miała do dyspozycji rozłożone na betonie karimaty, materac, śpiwory i gazową butlę turystyczną w miejscu, które za jakiś czas miało stać się kuchnią połączoną z salonem. I tymczasowy kibelek.

– Zwariuję tu! – oświadczył niebawem Marek, zatykając uszy. – Ma cały dzień do dyspozycji, naprawdę musi zaczynać o siódmej? Mam tego dość!

– Niedługo wszystko się skończy – podtrzymywała go na duchu Danka. – Przynajmniej mamy dach nad głową. A poza tym dzisiaj jest ważny dzień.

– Podłączą nam internet? – zapytał z nadzieją.

– Chodzi mi o to, że dokładnie dwa miesiące temu zostaliśmy parą. – Danka spąsowiała, przypomniawszy sobie ich pierwszy sylwestrowy seks. Była nieco zawiedziona, że Marek zapomniał, ale w końcu oboje sporo przeszli przez ostatnie tygodnie. – Jutro przywożą płytki do łazienki – dodała.

– I dobrze – odparł, ziewając. – Wracamy do łóżka. Czy raczej na materac.

– To bez sensu, już nie uśniemy. Przynajmniej nie ja – odparła z nieco skwaszoną miną, rozczarowana, że zignorował tak ważną informację.

– Nie musimy przecież od razu spać – podsunął.

Danka wywróciła oczami. Nie była w stanie kochać się z Markiem ze świadomością, że tuż pod drzwiami kręci się fachowiec od wykończeniówki.

– Skoczę po zakupy – ucieła. – Spróbuję coś upichcić na tej naszej butli, a później lecę na kurs.

Już od blisko miesiąca uczęszczała na zajęcia w szkole jazdy. Traktowała je poważnie, ze świadomością, że oto pojawiła się przed nią możliwość zdobycia niezależności.

– Jak sobie chcesz – wymamrotał Marek. – Ja jeszcze poleżę.

Dała mu całusa i przeszła do salonu. A raczej pomieszczenia, które kiedyś miało nim być, a obecnie pełniło funkcję składu budowlanego, królestwa pana Krzysia oraz magazynu pudeł z dobytkiem Danki. Już dawno pogodziła się z tym, że kompletnie nie wie, gdzie co ma, i ze zdumieniem odkryła, że doskonale obywa się bez większości posiadanych przedmiotów.

Jej świat ponownie stanął na głowie. Od rana do nocy zajęta swoimi sprawami, wieczorem padała na materac, nie mając siły na nic. A w szczególności na seks. Marek nieco się na nią boczył z tego powodu, ale Danka była zbyt zaprzątnięta kursem, wykańczaniem lokum i świeżo założoną firmą. Wypożyczonowanie strony w sieci kosztowało ją sporo czasu i pieniędzy, ale dzięki temu nareszcie zaczęły spływać pierwsze plenerowe zlecenia.

W mniejszej sypialni zamierzała w przyszłości urządzić studio, jednak na razie w grę wchodziła wyłącznie praca na wyjeździe. Czasem bardzo przyjemna, jak udokumentowanie złotego wesela pary uroczych staruszków, czasem smutna, jak relacja z pogrzebu młodej kobiety. Ze względów finansowych Danka przyjęła zlecenie, ale wspominała je fatalnie. Nie bardzo wiedziała, jak się zachować, żeby niczym nie urazić żałobników. Na weselach na fotografa nikt nie zwraca uwagi. Panuje wesoły rozgardiasz, można z łatwością wtopić się w tłum. Tutaj trzeba było wykazać się większym taktem.

Wchodząc do kościoła Świętego Boromeusza przy cmentarzu Powązkowskim, Danką

czuła się bardzo nieswojo. Zadbła oczywiście o ciemny płaszcz, ale wiszący na jej szyi aparat fotograficzny był w jej opinii bardzo nie na miejscu. Zdaniem wielu spoglądających na nią ukradkiem żałobników prawdopodobnie także.

Nie rozumiała, dlaczego ludzie chcą aż tak dobrze pamiętać dzień pogrzebu bliskiej osoby. Czy nie lepiej ją było wspominać, przeglądając zdjęcia ślubne albo te ze wspólnie spędzonych wakacji? Danka nie mogła obecnie wybrzydzać, ale obiecała sobie, że gdy tylko pozyska więcej klientów, całkowicie zrezygnuje z fotografii funeralnej.

Zwłaszcza że wkrótce pan Krzysio sprawnie wykończył mieszkanie i wyprowadził się do kolejnego zleceniodawcy, a Danka ze zdwojoną energią przystąpiła do urządzania studia. Plenerowe zlecenia siłą rzeczy zeszły na dalszy plan. Wyposażenie pomieszczenia do sesji było jej priorytetem, choć Marek dość sugestywnie podsuwał jej pod nos kolejne katalogi z kuchniami i meblami do salonu. To akurat mogło poczekać, machnęła ręką.

Na stronie internetowej Danki znalazły się oczywiście pamiętne zdjęcia Pakpao; subtelne piękno Tajki przykuwało spojrzenia do czarno-białych kadrów. Podobnie rzecz się miała z portretami Marka, na których wyglądał jak rasowy model z pierwszych stron czasopism. Nie dziwiło zatem, że już od jakiegoś czasu potencjalni klienci pytali o sesję. Gdy w końcu Danka dorobiła się studia, ustawiła się kolejka chętnych. Zwłaszcza że w ramach promocji nęciły niewygórowane ceny.

W połowie marca, kiedy monterzy z Ikei składali nową kuchnię, pani fotograf akurat dwoiła się i troiła, żeby uwiecznić nad wyraz ruchliwą trzylatkę. Praca z dziećmi, o czym zdążyła się już przekonać, nie była łatwa, ale dostarczała mnóstwa satysfakcji. Tyle że niekoniecznie w dniu, w którym całe mieszkanie dudniło od nieustannego warkotu wkrętarek oraz pokrzykiwań ekipy. Widok wkurzonego do granic Marka także nie pomagał. Danka odepchnęła od siebie niemiłe myśli na temat ukochanego i uśmiechnęła się promiennie do dziecka. Postanowiła, że muszą poważnie porozmawiać. Mężczyznę ewidentnie coś gryzło. Być może zgnuśniał, nie mając nic konkretnego do roboty? Złożył, oczywiście, CV do kilku szkół i czekał na odpowiedź, ale Danka miała wrażenie, że zrobił to z przymusu, zupełnie bez entuzjazmu. I chyba jedynie z poczucia obowiązku pomagał jej w prowadzeniu studia, a przecież nie taka była umowa.

Nie potrafiła pojąć tej niepokojącej przemiany. Marek był zdrowy, dobrze im się układało. W grę nie wchodziła tęsknota za dziećmi, z którymi po powrocie do Warszawy spotykał się regularnie. Na Bemowo ich nie przywoził, bo na razie nie było ku temu warunków, ale Danka wielokrotnie podkreślała, że będą mile widziane, gdy wykończeniowe pandemonium wreszcie dobiegnie końca. Nękały ją co prawda drobne wyrzuty sumienia, że nie podtrzymuje więzi ojca z bliźniakami, ale jej napięty grafik pękał w szwach.

Teraz, gdy żegnała małą modelkę i jej matkę, uśmiechała się uprzejmie, ale marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej zamknąć za nimi drzwi. Jak na złość milcząca przez całą sesję młoda kobieta rozgadała się w przedpokoju na całego. Była bardzo sympatyczna, lecz Danka odetchnęła z ulgą, gdy w końcu sobie poszła.

– Muszę lecieć! – zawołała do Marka i pośpiesznie narzuciła płaszcz.

– Trzymam kciuki – odparł, wychodząc z sypialni. – Nie dziękuj – dodał szybko.

– Nie dziękuję! I tak pewnie się nie uda – odparła. Cmoknęła go przelotnie.

– Doskonale ci idzie, zdasz na pewno – zdążył jeszcze wyartykułować, zanim znikła.

Miał rację. Danka nie wierzyła własnemu szczęściu, ale udało się jej zdać egzamin praktyczny za pierwszym podejściem. Wszystkie manewry na placu wykonała bezbłędnie, a jazda z egzaminatorem po mieście też wypadła bez zarzutu. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że miała nieziemski fart, ale i tak do domu wróciła jak na skrzydłach. Po drodze kupiła czerwone wino, żeby uczcić sukces i przy okazji wybadać Marka.

Nie zastała go w mieszkaniu, co było o tyle dziwne, że nie wspominał o żadnym spotkaniu na mieście. Nie zostawił też żadnej kartki. Dwukrotnie sprawdziła, czy przysłał jakąś wiadomość, ale nie. Telefon też milczał jak zakłęty.

Zdumiała się i posmutniała jednocześnie. Przecież dobrze wiedział, ile dla niej znaczy ten egzamin. Właściwie nawet już zadatkowała czerwoną corse. A on tak po prostu gdzieś sobie poszedł bez słowa.

Powiesiła na wieszaku płaszcz i przeszła do salonu. Ekipa od montażu kuchni już poszła. Na pierwszy rzut oka spisała się nieźle: jasnoszare szafki stały w szeregu, drewniany blat błyszczał nowością. Danka aż westchnęła z zachwytu na widok swojej pierwszej w życiu wymarzonej kuchni. Umebłowanie poprzedniej, w starym mieszkaniu bródnowskim, pochodziło z lat osiemdziesiątych, a ona nigdy nie miała pieniędzy, żeby je wymienić.

Pogładziła dłonią blat, otworzyła pustą lodówkę i schowała do niej wino. Nie miała chęci pić go w samotności. Westchnęła ciężko i pomyślała, że chyba dramatyzuje. Marek był ciepłym i troskliwym człowiekiem. Musiało istnieć sensowne wytłumaczenie, dlaczego ot tak, bez uprzedzenia znikł z domu.

Wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer.

Odebrał po trzecim sygnale.

– Gdzie jesteś? – zapytała i natychmiast przemknęło jej przez głowę, że zachowuje się jak stara zrzędliva żona. – Nie mówiłeś, że wychodzisz. Wróciłam i zaczęłam się martwić...

– Jestem w szpitalu z Alutką – odparł nieswoim głosem. – Złamała rączkę, biedulka.

– Och, jak mi przykro – wyszeptała Danka. – Potrzebujesz pomocy?

– Wszystko jest pod kontrolą – zapewnił. – Monika została z Pawełkiem w domu.

– Jestem pod telefonem, więc dzwoń. Przyjadę w każdej chwili. A teraz nie przeszkadzam.

– Do potem – pożegnał się krótko.

W pierwszej chwili Dance zaświtała myśl, że nie zapytał o jej egzamin, ale natychmiast zganiła się w myślach. Miał znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

– Biedna mała – mruknęła pod nosem.

Marek wrócił bardzo późno. Danka leżała już w łóżku i zdążyła jedynie zarejestrować, że poszedł pod prysznic. Ocknęła się na moment, gdy parę chwil później po cichu wślizgnął się do łóżka.

– Jak Alutka? – wymamrotała półprzytomnie.

– Wszystko w porządku, nie martw się. Śpij.

Dance opadły powieki. Zanim usnęła kamiennym snem, przeszło jej przez myśl, że nadal nie zapytał o egzamin.

– Wciąż nie wierzę, że mamy samochód! – ekscytowała się, moszcząc na siedzeniu pasażera.

– Właściwie to ty masz – roześmiał się Marek. – Więc powinnaś go prowadzić osobiście.

– Jeszcze nie mam do siebie zaufania.

– Świetnie to rozumiem. – Spoważniał. – Nie martw się. Kilka jazd doszkalających pod moim okiem i możesz startować w Formule 1. – Puścił oko.

Poszło jej całkiem nieźle. Kilka godzin ćwiczeń na spokojniejszych ulicach przedmieścia wystarczyło, żeby poczuła się pewnie za kółkiem własnego opla. Jeszcze w tym samym tygodniu odważyła się na samotną jazdę do pobliskiego Lidla i bardzo z siebie dumna wróciła z zakupami do domu.

Marek krzątał się w kuchni. Gotował makaron.

– Dla mnie tylko trochę – zastrzegła od progu. – Muszę uważać na węglowodany. Ostatnio nie biegam tyle, ile bym chciała, i boję się, żeby nie przytyć. Zapomniałam już, jak wygląda siłownia.

– Daj spokój, wyglądasz świetnie. Poza tym biegałaś dwa razy w tym tygodniu, więc nie prze-sadzaj.

– Powinnam przynajmniej trzy. W każdym razie kupiłam wszystko na sałatkę. Zjem ją. A makaronu tylko odrobinę spróbuję. Może być?

– Nie wiesz, co tracisz. Będzie pysznie – kusił.

Oderwał się od garnka i podszedł. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Danka niepotrzebnie się wcześniej martwiła. Po kilku dniach dziwnego zachowania Marek znów zachowywał się tak jak na początku ich romansu. Przytuliła się do niego, a potem stanęła na palcach i lekko ugryzła go w ucho.

– Jak rączka Alutki? – zapytała.

– Jaka rączka? – zdziwił się. – A! Rączka! Wszystko dobrze – odparł po chwili.

– Może zaprosisz bliźniaki na weekend? – zaproponowała.

– Chyba innym razem. Ali wkrótce zdejmują gips.

Chciała zapytać, co to ma właściwie za znaczenie, ale w tej samej chwili zadzwonił jej telefon. Na wyświetlaczu pojawił się obcy numer.

– Pewnie klient – mruknęła.

Marek wrócił do szykowania kolacji, a Danka wyszła do drugiego pokoju, żeby szum okapu nie zakłócał rozmowy.

– Studio fotograficzne, słucham? – powiedziała.

– Mam dla pani zlecenie. Dobrze zapłacę. – Kobiety głos po drugiej stronie był chłodny i rzeczowy. Rozmówczyni nie traciła czasu i od razu przeszła do sedna. – Mieszkam w okolicach Wyszkowa, proponuję sesję u mnie w posiadłości. Płacę za dojazd i trzy tysiące za każdy dzień. Myślę, że zajmie nam to około tygodnia. Pasuje?

– Yyy... A na czym miałyby polegać ta sesja? – wyjąkała przytłoczona natłokiem konkretów Danka.

– Chodzi o akty. Moje. Chcę mieć miłą pamiątkę, gdy już będę pomarszczona i całkiem do niczego – odparła poważnie kobieta.

– A mogę wiedzieć, dlaczego wybrała pani akurat mnie? Za te pieniądze mogłaby pani z pewnością mieć wielu wziętych fotografów.

– Och, niechże pani nie będzie taka skromna! Widziałam portrety na pani stronie internetowej. Więc jak? – dodała, ewidentnie tracąc cierpliwość.

– Tak, oczywiście. Zgadza się.

– Świetnie. Oczekuję pani jutro, zdecydowanie po południu. Nie lubię wstawać zbyt wcześnie. Adres wyślę zaraz esemesem.

Kobieta przerwała połączenie, pozostawiając Dankę z głupio rozdziawionymi ustami. Nie dała jej szansy choćby ustosunkowania się do terminu.

Niespodziewanie dla samej siebie Danka zaczęła chichotać. A gdy po chwili usłyszała piknięcie nadesłanej wiadomości, wybuchła głośnym śmiechem. I nie mogła się uspokoić przez dłuższą chwilę.

Pierwsza samodzielna podróż samochodem, i to na dystans osiemdziesięciu kilometrów od domu, bardzo stresowała, ale jednocześnie cieszyła Dankę. Początkowo planowała jechać

bocznymi drogami, obawiając się trasy szybkiego ruchu.

– No coś ty! – perswadował Marek. – To pros-ta, bezpieczna droga. Nie musisz przecież pędzić. Będą cię wyprzedzać? I co z tego? Przynajmniej odpadnie ci myślenie o tym, czy nie zgubisz drogi i czy nawigacja nie wyprowadza cię w pole. Pojechałbym z tobą, ale...

– Wiem, kochany, ale ona wyraźnie nie życzyła sobie obecności osób postronnych. W środku nocy wysłała wiadomość i na wszelki wypadek opatrzyła ją kilkoma wykrzyknikami – roześmiała się Danka.

– Dziwne to wszystko. Może nie jedź?

– Nic mi nie będzie. Jeśli uznam, że coś nie gra, natychmiast się wycofam.

– I natychmiast do mnie dzwonicz.

– Jasne, papciu.

Rada Marka pozwoliła jej w miarę gładko dotrzeć do zjazdu z trasy. Dopiero za nim, po przejechaniu ponad siedemdziesięciu kilometrów, zaparkowała przy wąskiej polnej drodze i zdjęła spocone dłonie z kierownicy. Wysiadła z samochodu na drżących nogach, zrobiła kilka głębokich oddechów i rozejrzała się wokół. Po zieleniejącej się łące spacerowała para bocianów, w tle srebrzył się Bug. Od pobytu w mazurskim Sarnowie nie widziała nic równie pięknego.

– Wiosna przyszła! – ogłosiła radośnie okolicznym, jeszcze pozbawionym liści chaszczom.

Słońce grzało całkiem mocno, bezchmurne błękitne niebo odbijało się w leniwie płynącej wodzie. Jeden z bocianów poderwał się do lotu z głośnym trzepotem skrzydeł.

Wbrew sobie Danka poczuła podniecenie przed czekającą ją wizytą w posiadłości tajemniczej klientki. Kobieta, nie licząc adresu, nie podała żadnych innych informacji o sobie. Natomiast wysłała wiadomość, że znalazła na stronie numer firmowego konta i że właśnie wpłaciła sześć tysięcy za dojazd oraz za pierwszy dzień pracy.

Danka pod wpływem impulsu zrobiła sobie zdjęcie i wrzuciła je na swoje profile na Facebooku i Instagramie. Nigdy tego nie robiła, media społecznościowe służyły jej jako galeria autorska, ale teraz uznała, że kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Wsiadła z powrotem do samochodu, sprawdziła trasę i całkiem pewnie ruszyła przed siebie.

Rozdział 4

Alkoholowy ciąg trwał już czwarty dzień i nic nie zapowiadało rychłego końca.

Emil nie opuszczał swojego apartamentu i systematycznie opróżniał barek. Nieogolony i nieumyty wciąż wyglądał nieźle, choć dużo mu brakowało do dawnej świetności. Szczególną uwagę zwracały podkrążone, pozbawione blasku oczy. Niegdyś bystro patrzyły na świat, obecnie przygasły i zubożały. Emil czekał na zapadnięcie zmroku, choć słońce wciąż stało wysoko na niebie. Wieczór oznaczał dla niego mniejsze wyrzuty sumienia, że pije, bo picie w nocy nie jest niczym niezwykłym. Głupie, ale podobno wielu pijaków rozgrzesza się w ten sposób.

Hilda wielokrotnie próbowała skontaktować się z nim telefonicznie. Wysłała też mnóstwo wiadomości, ale nie odpowiedział na żadną. Napędzana desperacją, dwukrotnie dobijała się do jego drzwi, lecz Emil nie otworzył. Nie miał ochoty na konfrontację. Zlecił działowi HR spółki, która zatrudniała dotychczasową panią dyrektor, żeby wręczyć jej wypowiedzenie. Zgodnie z obietnicą dopilnował, by otrzymała wyższą odprawę niż zagwarantowana w umowie. Według jego najlepszej wiedzy tego ranka wyprowadziła się z hotelu na dobre. Jeśli jednak wcześniej sądził, że pozbycie się Hildy pozwoli mu powrócić do równowagi i skończyć z używkami, teraz rozumiał, jak naiwne było to myślenie.

Kostki lodu zagrzechotały w szklance z wódką.

– Twoje zdrowie, Hilda! – wybełkotał. Uniósł szkło w stronę zamkniętych drzwi, po czym wypił zawartość jednym haustem.

Wziął do ręki telefon i tępo popatrzył na długi spis nieodebranych połączeń i nieodczytanych wiadomości od najbliższych pracowników. Wzruszył ramionami, zignorował sprawy zawodowe i wszedł na Facebooka. Jak zwykle wyświetlił profil Danki. Zazwyczaj nie dzieliła się niczym poza zdjęciami z sesji, nawet na zdjęciu profilowym był bury kot, nie ona. Jakiś czas temu założyła także konto firmowe do promowania swojego studia, ale i na nim próżno było szukać jej twarzy. Wyłącznie bardzo dobre zdjęcia obcych, nieznanych Emilowi osób, kilka fotek Marka i czarno-biała sesja z Pakpao z czasów pobytu ich wszystkich w rezydencji na Mazurach. Ten materiał wyjaśniał jedynie, że dziewczyna jakoś sobie w życiu radzi. Czy nadal była z Markiem? Czy mieszkała w tej swojej klitce na Bródnie? Na to odpowiedzi nie znalazł.

Zamroczony wyświetlił jej profil prywatny i aż zabiło mu serce. Kilka godzin temu Danką po raz pierwszy, odkąd założyła konto, dodała swoje własne zdjęcie. Stała na tle czerwonego samochodu, za jej plecami dało się dostrzec jakąś wodę. Roześmiana, z rozpuszczonymi włosami, wyglądała pięknie. Emil poczuł mimowolne ukłucie dumy. Niezależnie od tego, jak fatalnie skończyła się ta znajomość, to nie kto inny, a właśnie on był odpowiedzialny za spektakularną przemianę Danki.

– Istny ze mnie Michał Anioł diety, kurwa mać – skomentował szyderczo.

Oderwał się od fotki i przeczytał opis. „W drodze do pracy!”. Wyglądało na to, że Danką ma się dobrze i realizuje marzenia. Niewiele myśląc, napisał pod zdjęciem: „Brawo! Pozdrowienia!”.

– No to wymyśliłem tekst na podryw stulecia – parsknął śmiechem i nalał sobie kolejną solidną porcję wódki.

Nie zdążył upić nawet łyku, gdy usłyszał piknięcie powiadomienia – Danką przesłała mu serduszko. Wyszczrzył się do telefonu, po czym odłożył go na stolik. Odstawił szklankę i z mocnym postanowieniem, że od jutra bierze się za siebie, usnął, tak jak siedział, na kanapie,

mimo że dochodziła dopiero siedemnasta.

Następnego dnia po raz pierwszy od bardzo dawna obudził się bez tępego łupania w głowie. Pił wczoraj, ale nieporównanie mniej niż ostatnio. Nie wciągał też kokainy, a do tego przespał całe popołudnie i noc. Jednak nie to sprawiło, że usiadł na kanapie i poczuł chęć życia. Nie od razu pojął, na czym polega różnica.

Wstał i poszedł do łazienki. Spojrzał w lustro i skrzywił się z niesmakiem. Jego włosy wręcz błagały o fryzjera, ale nie to osadziło go przed odbiciem. Wreszcie był w stanie wytrzymać ciężar własnego spojrzenia.

– Nie mam moralniaka po seksie – oświadczył z mocą w stronę tafli szkła i uśmiechnął się szeroko.

To banalne stwierdzenie sprawiło, że Emil doznał niewyobrażalnej ulgi, że nie jest uzależniony od narkotyków. Ani nawet od alkoholu. Miał nienormalny stosunek do seksu i ciężko było temu zaprzeczyć. Wziął szybki prysznic, ignorując poranny wzwód. Włożył dres, jasnoniebieską nieprzemakalną kurtkę i po raz pierwszy od dawna wyszedł z hotelu. Odetchnął pełną piersią. Zapowiadał się słoneczny i ciepły dzień.

Emila zdziwiło, że od pamiętnego sylwestra praktycznie nie korzystał z uroków okolicy. Nie żeby go nie cieszyły, ale po prostu ich nie dostrzegał. Właśnie do niego dotarło, że pozbycie się Hildy to wprawdzie niewielki, ale zdecydowanie dobry krok w stronę normalnego życia. Powinien był to zrobić już wcześniej.

Z tą myślą powędrował wąską uliczką w stronę pobliskiego stoku.

W Kaprun jeszcze nie rozpoczęła się prawdziwa wiosna. Drzewa w dolinie ledwie puszczały pąki, a wyżej zalegał śnieg. Na lodowcu Kitzsteinhorn zima trwała w najlepsze.

Emil przypomniał sobie zdjęcie z Facebooka. W Polsce wiosna trwała na całego. Opuścił główny deptak, skręcił w boczną uliczkę. Pomąłu zaczął się wspinać na pobliskie wzniesienie. Pragnął się zmęczyć, jakoś pozbierać myśli, tymczasem w głowie miał kompletny chaos. Myśli przebiegały z prędkością światła, jedna gorsza od poprzedniej. Mózg ledwie zarejestrował siedzących przy stole piknikowym turystów.

Brak kondycji sprawił, że Emil szybko się spocił i dostał zadyszki, więc po kilkunastu minutach zatrzymał się na odpoczynek. Usiadł na głazie tuż obok huczącego strumienia i bezmyślnie zagapił się na imponującą panoramę Alp.

Właśnie sobie uświadomił, jak bezsensownie trwoni czas. W życiu osiągnął już wiele, ale też wiele miał jeszcze do zrobienia. Za to od kilku miesięcy, otępiały i zamroczony używkami, dryfował po życiowej płyciźnie jak dziurawa łódka. Czuł, że się stacza jak rasowy degenerat. A przecież powinien wciąż mieć ochotę na nowe osiągnięcia i sukcesy. W końcu jeśli nie on, to kto?

Otrząsnął się, jakby chciał zrzucić z siebie obciążające go robactwo. Uśmiechnął się w stronę umykającej do lasu sarny.

– Będzie dobrze. Kurwa, będzie! – wyszeptał, odklejając od piersi przeupoconą bluzę. – Przecież musi istnieć jakiś sens życia! – powiedział głośniejszym głosem i rozpostarł ramiona w melodramatycznym geście.

A potem poczuł łupnięcie w głowę i bezgłośnie osunął się na ziemię. Ostatnim, co zapamiętał, był potworny ból oraz wszechogarniająca niemoc.

Dzień wcześniej

Brama posesji przywodziła na myśl siedlisko rodziny Addamsów. Grube czarne pręty kutego ogrodzenia oddzielały żwirową drogę od podjazdu z brukowej kostki.

Danka poczuła się nieswojo. Siedziała w aucie i bębniła paznokciami w kierownicę, nie do końca wiedząc, co ze sobą począć. W amerykańskich filmach w takich miejscach przeważnie znajdowała się budka strażnika, który obowiązkowo świdrował intruza podejrzliwym wzrokiem, a potem, niespecjalnie zadowolony, otwierał przed nim wrota Edenu.

Tutaj nic takiego się nie wydarzyło.

Danka wysiadła z samochodu z telefonem w dłoni i odszukała numer tajemniczej klientki. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Czekam na panią! – oświadczyła zamiast powitania, z wyraźną pretensją w głosie.

– Stoję tuż przed bramą, ale nie bardzo wiem, jak mam się dostać do środka – odparła Danka, starając się zachować neutralny ton.

W tej samej chwili żelazna brama drgnęła i zaczęła cicho odsuwać się na bok.

– Pewnie ten wałkoń ochroniarz znów zasnął, zamiast obserwować kamery – skwitowała kobieta. – Niech pani zaparkuje na końcu podjazdu.

– Dziękuję, brama już się otwiera – Danka przerwała połączenie, nieuważnie patrząc w telefon. – Kuźwa! Znów się zawiesił – jęknęła i przez chwilę stuknęła palcem w ekran. Znienacka pojawiło się okno Facebooka. Kliknęła w nie niechętnie, ale nie wiedziała w co, bo zawartość była prawie niewidoczna w ostrym słońcu. Usłyszała piknięcie powiadomienia. – No masz! – zirytowała się. – Znów coś polubiłam, tylko nie wiem co. – Odwróciła się od słońca, osłaniając ekran dłonią, gdy ciche stuknięcie kazało jej podnieść głowę.

Brama wjazdowa już zdążyła otworzyć się na pełną szerokość i właśnie zaczynała się powolutku zamykać.

– Szlag! Tylko nie to! – Spanikowana zapomniała o telefonie i błyskawicznie uruchomiła samochód. – No, dalej!

Wjechała za bramę w ostatniej chwili i odetchnęła z ulgą. Droga dojazdowa wiodła przez las i kojarzyła się z tą, która prowadziła do Sarnowa. Myśli Danki natychmiast powędrowały ku Emilowi.

– Sukinsyn! – mruknęła pod nosem, jak za każdym razem, gdy sobie o nim przypominała. – Rozkapryszony bufon!

Porzuciła ponure myśli i skupiła się na jeździe. Po dobrych pięciu minutach las zaczął rzednąć. Gdy corsa znalazła się na otwartej przestrzeni, Danka ujrzała potężną rezydencję, przy której mazurski dom Emila wyglądał jak szopa.

– O ja piernicę... – powiedziała zdumiona.

Budynek bez wątpienia mógł imponować. Przywodził na myśl angielskie zamczysko i zapewne miał zbliżony metraż. Od frontu szumiały fontanny wkomponowane w zadbane rabaty kwiatowe.

Pod kolumnadą przy wejściu stał wyprostowany jak struna starszy mężczyzna w liberii. Gdy Danka zaparkowała, podszedł z godnością i otworzył drzwi od strony kierowcy.

– Pani oczekuje – oznajmił i skłonił się lekko.

– Dziękuję – wykrztusiła Danka, nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby powiedzieć w tej sytuacji.

Kimkolwiek była jej tajemnicza klientka, Emil prawdopodobnie mógł wiązać jej buty.

Dziwiąc się w duchu swojemu niespodziewanemu awansowi społecznemu, Danka weszła za lokajem po schodkach prowadzących do środka. Wnętrze także zapierało dech w piersiach i nasuwało skojarzenie z Tarą ze słynnego *Przeminęło z wiatrem*.

– Jest pani wreszcie! – dobiegł ją głos z samej góry reprezentacyjnych białych schodów. – Serdecznie witam w moim domu! Mamy trochę pracy, więc od razu przejdźmy do gabinetu.

Danka w milczeniu obserwowała szczupłą postać owiniętą zwojem białej tkaniny.

Wizerunku dopełniał biały turban. Gospodyni wyglądała jak zjawą; to wrażenie potęgował fakt, że z parteru jej twarz pozostawała niewidoczna.

Wygłosiwszy swoją kwestię, tajemnicza dama oderwała upięszczone dłonie od balustrady i znik-ła z zasięgu wzroku.

– Zapraszam. Proszę za mną – powiedział lokaj. Sztywno wkroczył na marmurowe stopnie.

Idąc za nim na piętro, Danka dyskretnie obserwowała wnętrze. Ściany obwieszone obrazami przywodziły na myśl muzeum malarstwa, a za równowartość jednego kryształowego żyrandola pewnie mogłaby opłacić czynsz na cały rok do przodu. Spędziwszy pół roku z Emilem, widziała wiele bogactw, ale to przewyższało wszystko.

Lokaj poprowadził ją do otwartych na oścież drzwi w głębi korytarza. Weszła do środka, rozglądając się z ciekawością. Chwilę później spojrzała na gospodynię i z wrażenia zapomniała języka w gębie. Koło biurka stała, wspierając się wdzięcznie o blat, jedna z największych gwiazd kina, Krystyna Świderska. Żona bajecznie bogatego biznesmena i producenta filmowego. Nawet niespecjalnie interesująca się takimi sprawami Danką od razu wiedziała, z kim ma do czynienia.

– Cieszę się, że w końcu pani dotarła. – Świderska ponownie dała odczuć, że czekanie na gościa jej się dłużyło.

– Dziękuję za zaproszenie – odparła wymijająco Danką, choć miała ochotę przypomnieć, że przecież aktorka nie wyznaczyła konkretnej godziny spotkania, a jedynie wspomniała, że nie lubi wstawać rano i oczekuje jej po południu. Dochodziła siedemnasta, więc zleceńodawczyni nie powinna mieć pretensji. Jednak ogarnęło ją zbyt duże onieśmienie, by dyskutować z klientką.

Świderska miała około sześćdziesiątki, legendą ekranu była, odkąd Danką sięgała pamięcią. Spotkanie z nią na żywo, i to w tak niespodziewanych okolicznościach, sprawiło, że dziewczyna poczuła się, jakby przeniknęła do jakiegoś nierealnego świata.

– Inaczej sobie panią wyobrażałam. – Aktorka, kompletnie się z tym nie kryjąc, otaksowała gościa.

– Lepiej? – palnęła Danką bez zastanowienia.

– Moje dziecko, więcej wiary w siebie – kobieta roześmiała się gardłowo, przytrzymując biały zawój na głowie. – Masz interesującą filmową urodę. Kamera kocha takie jak ty.

Danka zastanowiła się w duchu, czy gdyby Świderska spotkała ją w zeszłym roku na kasie w Bonusie, też miałyby podobne spostrzeżenia. Właściwie trochę ją to rozbawiło, ale nie chciała ciągnąć tego bezsensownego wątku.

– Proszę mi powiedzieć, czy ma pani jakieś konkretne wyobrażenie albo życzenia dotyczące sesji? – zapytała. – Chętnie dowiedziałabym się wszystkiego i obejrzała ewentualne plany zdjęciowe, jeśli ma pani jakieś na myśli. Mogłabym wówczas pojechać do hotelu, a jutro przedstawić konkretną propozycję.

– Do hotelu? Jakiego hotelu? – zdumiała się aktorka. – Nie ma mowy o żadnym hotelu. Zostaniesz tutaj. Witold zaraz wskaże pokój gościnny. Nie będziemy tracić czasu, poza tym przecież noc też jest doskonałym czasem do wykorzystania.

– Rzeczywiście – zapaliła się do pomysłu Danką. – Dużo świateł, nastrojowe światło. To nie są technicznie proste zdjęcia i wymagają od modelu sporej cierpliwości, ale mogą wyjść naprawdę pięknie.

– Zatem kwestię hotelu mamy załatwioną. – Świderska klasnęła w dłonie tak głośno, że Danką aż podskoczyła. Zdziwiło ją, że przywołany w ten sposób lokaj prawie natychmiast zmaterializował się w gabinecie.

Kolejne dwa dni spędziła w rezydencji, prawie nie rozstając się z aparatami. Posiadłość

gwarantowała fantastyczne plenery, a co najważniejsze intymność, niezbędną przy robieniu aktów. Świdorska, która już pierwszego dnia przy śniadaniu zażądała, aby Danka mówiła jej po imieniu, nie miała w tej kwestii żadnych oporów, za to cechowało ją profesjonalne podejście. Wymagała dużo, również od siebie, a lata spędzone przed kamerą wyrobiły w niej żelazną dyscyplinę pracy. Niektóre ujęcia powtarzały w nieskończoność, dopóki Krystyna nie uznała, że zrobiły ich dostatecznie wiele.

– Jestem bardzo zadowolona ze zdjęć przy basenie – oświadczyła, gdy siedziały przy kolacji w ogrodzie. – I nie mogę się doczekać kolejnej nocnej sesji.

– Wieczór jest bezwietrzny, więc wszystko powinno udać się doskonale. – Danka dziobnęła widelcem kawałek pieczonej dorady.

– Zatem jedzmy! Witold w tym czasie pozapala świece w ogrodzie. – Krystyna uniosła kieliszek z szampanem. – A później musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć, moja droga. Czuję, żenosisz w sobie niejedną tajemnicę. A ja uwielbiam słuchać ciekawych opowieści.

– Niewiele mam do powiedzenia – nieprzekonująco bąknęła Danka, lecz aktorka roześmiała się z niedowierzaniem.

– Mnie nie oszukasz.

Krystyna bardzo zyskiwała przy bliższym poznaniu. Choć pełna poczucia własnej wartości, pozostawała fascynującym kompanem. Potrafiła pięknie opowiadać, ale i uważnie słuchać. Danka z zapartym tchem przyswajała pikantne plotki ze świata celebrytów. Trzeba przyznać, że Świdorska nigdy nie wymieniała nazwisk obgadywanych. Była dyskretna, choć pewnie ktoś złośliwy powiedziałby, że po prostu ostrożna.

Chcąc nie chcąc Danka opowiedziała jej swoją historię.

– To fascynujące! – podsumowała Krystyna z błyskiem w oku. – Jeden z najlepszych numerów, o jakich kiedykolwiek słyszałam. Nawiasem mówiąc, byłam pewna, że wybierzesz tego milionera – dodała ze śmiechem.

– Dlaczego? – zdziwiła się Danka.

– To przecież oczywiste! Gdy o nim opowiadasz, aż ci oczy błyszczą, a policzki rumienia. Potępiasz go, ale w twoim głosie jest mnóstwo uczucia. A poza tym takich jak on nie da się nie kochać.

– Nic podobnego! To samolubny skurczybyk, a Marek jest ciepłym i cudownym człowiekiem – zaperzyła się.

– Zapewne słusznie wybrałaś – przyznała Krystyna dla świętego spokoju. – No dobrze, świece pewnie już się do połowy wypaliły, więc chyba czas brać się do roboty – dodała i energicznie poderwała się z krzesła.

Dla wygody miała na sobie wyłącznie biały peniuar. Wystarczyło go zrzucić, aby całkowicie naga mogła zacząć pozować na trawie pośród prawie setki płomyków kremowych świec.

Danka zerknęła na wyświetlacz aparatu i aż westchnęła z zachwytem. Zgrabne, choć przecież nie najmłodsze ciało aktorki prezentowało się zjawiskowo. Intuicja podpowiadała, że te fotografie to materiał na wygrane w dowolnych światowych konkursach.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – szepnęła do Krystyny. – Jest genialnie.

Godzinę później, gdy z wypiekami na twarzy sprawdzała w pokoju efekty wieczornej sesji, usłyszała pukanie do drzwi. Odwróciła głowę od ekranu. W progu stała Świdorska.

– Nie potrafiłam się powstrzymać, wybaczone – przepraszyła Krystyna. – Ale jestem tak ciekawa, jak wyszło, że postanowiłam naruszyć zasady gościnności – dodała z rozbrajającą szczerością.

– Nic nie szkodzi. – Danka uśmiechnęła się, podrywając się jednocześnie, żeby przysunąć

do biurka drugie krzesło. – Obejrzyjmy zdjęcia razem. Zwykle tego nie praktykuję, klient dostaje kilka najlepszych ujęć, ale tu mam ich z pięćdziesiąt i każde lepsze od poprzedniego. Chyba nie jestem w stanie wybrać sama – oznajmiła z entuzjazmem.

Krystyna usiadła obok i w milczeniu obserwowała pracę Danki. Nie odezwała się aż do chwili, gdy obejrzały ostatnią fotografię.

– Nic nie mówisz – zauważyła w końcu Danka. – Nie podobają ci się? – zapytała spłoszona.

– Są świetne. Lepszych w życiu nie widziałam. A widziałam już wiele... Jesteś niezwykłą dziewczyną – wyszeptała Świdorska nabrzmiałym ze wzruszenia głosem.

– Dziękuję. Już się przestraszyłam, że coś jest nie tak.

– Wszystko jest świetnie. I ty jesteś cudowna – odparła Krystyna i położyła Dancę dłoni na kolanie. – I nie ukrywam, że bardzo mi się podobasz.

Danka zastygła. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Nie straciła dłoni kobiety, ale za to wstała i odeszła od biurka. Zrobiła krok w stronę łóżka, żeby usiąść poza zasięgiem Świdorskiej, ale natychmiast dotarło do niej, że ta mogłaby to odczytać jako nieme zaproszenie, więc zamiast tego podeszła do drzwi balkonowych i splótła ramiona.

– Doceniam to – powiedziała w końcu drżącym głosem. – Ale jestem w związku i nie interesuje mnie nikt inny.

Podstępny mózg natychmiast podsunął jej obraz gorących chwil w ramionach namiętnej Pakpao. Danka w panice potrząsnęła głową, ale wspomnienie nie chciało zniknąć.

– Podwoję dzienną stawkę – powiedziała Krys-tyna.

Danka odwróciła się gwałtownie i poczuła się tak, jakby uderzono ją w twarz.

– Nie jestem taka! – wycodziła przez zęby i rzuciła się do pakowania swoich rzeczy.

Świdorska zerwała się z krzesła, nagle przeraźliwie blada i poważna.

– Nie chciałam powiedzieć nic złego. Naprawdę! W ogóle nie chciałam tego powiedzieć. Nie wiem, co mi odbiło, wybacz mi, proszę!

– Może i nie chciałaś, ale przyszło ci to do głowy! A ja nie jestem na sprzedaż. I na tym kończę zlecenie – warknęła Danka, dopinając walizkę.

– Posłuchaj, udajmy, że nie było tej, hm..., propozycji, i wróćmy do pracy. Zdjęcia są świetne. Nie mówiłam ci, po co są mi potrzebne, ale pora na szczerą. Choć miałaś się dowiedzieć dopiero po skończonej pracy.

– Niestety to już przestało mnie interesować – odparła zimno Danka.

– Posłuchaj, piszę autobiografię. Usłyszysz o niej każdy, przeczyta ją wielu – perswadowała Krystyna. – Znajdzie się w niej twoje nazwisko! Będziesz rozpoznawalna, zrobisz oszałamiającą karierę – kusila. – Masz szansę się wybić!

– Wychodzę. – Danka położyła dłoń na klamce.

– Przemyśl to! Możesz tu wrócić w każdej chwili. Pamiętaj o tym.

– Dobranoc – odparła zdławionym głosem Danka i zarzuciwszy na ramię torbę z laptopem, wyszła z pokoju.

Wściekła jak osa wyjechała z rezydencji i skierowała się w stronę Warszawy. W tej chwili marzyła tylko o tym, żeby dojechać do domu. Bardzo bała się prowadzić w ciemnościach, bo co innego oświetlone ulice Warszawy, a co innego boczne drogi pod Wyszkiem, ale złość dodawała jej odwagi.

Pomyślała o Marku i poczuła, że gdy tylko położy się do łóżka i przytuli do jego pleców, cały niesmak minie jak zły sen.

Rozdział 5

O tak późnej porze na trasie panował niewielki ruch, zatem drogę do domu pokonała całkiem sprawnie. Z chwilą zgaszenia silnika na parkingu pod domem wybiła druga. Podczas jazdy wzburzenie nieco opadło, Danką uznała zatem, że robi Markowi niespodziankę. Nie mogła się wprost doczekać, kiedy jej rozespany mężczyzna z cichym pomrukiem otoczy ją ramieniem i zamknie w mocnym uścisku. Śpieszyła się, więc darowała sobie wyciąganie bagaży, zabrała tylko laptop i aparaty. Reszta mogła poczekać do rana.

Nie zapalając światła, na paluszkach poszła do łazienki, po czym całkiem naga wślizgnęła się do sypialni i przystanęła zdumiona.

Zawsze wieczorem zasuwali okienne rolety, lecz teraz do pokoju sączyło się światło ulicznej latarni.

Spojrzała na łóżko. Było puste.

– Marek? – zapytała cicho. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podniosła głos. – Marek! Jesteś tutaj?

Pośpiesznie sprawdziła wszystkie kąty, lecz nigdzie nie było śladu ukochanego. Jednak jego rzeczy osobiste znajdowały się tam gdzie zwykle. Wszystko wyglądało tak, jakby przed chwilą wyszedł.

– Matko święta... – Dankę ogarnęło prze-rażenie.

A jeśli coś mu się stało?, myślała w popłochu. Może miał wypadek i leży w szpitalu? Albo jeszcze coś gorszego?

Drżącymi palcami z trudem wybrała numer. Po chwili rozległ się wolny sygnał, ale nikt nie odebrał.

– Och, nie.

Senność i zmęczenie wyparowały natychmiast. Danką postanowiła działać.

Szybko wskoczyła w dres i zainstalowała się z laptopem przy kuchennym stole. W lodówce poniewierał się tylko kawałek zeschniętego camemberta, ale w tej chwili było jej wszystko jedno. Miała przed sobą długą noc i musiała zjeść cokolwiek, szczególnie że wpadła jej w ręce butelka wina, którą kupiła przed wyjazdem i zapomniała ze sobą zabrać. Teraz była jak znalazł.

Obdzwoniła wszystkie szpitale, niestety wskórała niewiele. Przeważnie zasłaniały się ustawą o ochronie danych osobowych, w najlepszym razie udzielając ogólnikowej informacji, że takiego pacjenta nie przyjęto na żaden oddział.

O piątej nad ranem Danką miała dość. W butelce ujrzała dno, ale w kieliszku pozostało kilka kropli, więc wysączyła resztkę i westchnęła ciężko.

Wyglądało na to, że Marek nie uległ żadnemu wypadkowi. Ta myśl uspokoiła ją nieco, ale szybko wyparła ją kolejna, że w tajemniczy sposób zaginął. Wybrała numer na policję.

– Od kiedy dokładnie go nie ma? – usłyszała pytanie.

– Nie wiem, nie było mnie w domu.

– A kiedy zauważyła pani jego nieobecność?

– Trzy godziny temu – odparła Danką zgodnie z prawdą. Wypite wino sprawiło, że trochę plątał się jej język.

– To może być tymczasowa nieobecność, a my możemy przyjąć zgłoszenie o zaginięciu dopiero po upływie czterdziestu ośmiu godzin. – Dyżurny funkcjonariusz wykładał standardową formułkę. – Proszę się wyspać i zadzwonić później.

Danka nie miała siły się wyklócać, głównie dlatego, że daleko jej było do trzeźwości. Ale po skończonej rozmowie sprawdziła w internecie procedury dotyczące zgłoszenia zaginięcia. Policjant mówił bzdury. Miał obowiązek przyjąć zgłoszenie. Zrezygnowana wykrzesala z siebie resztkę sił, by umyć zęby, i w ubraniu padła na łóżko. W ostatnim odruchu przed snem raz jeszcze wybrała numer Marka.

– Halo? – usłyszała zaspany kobiecy głos.

– Eee... – Danka na chwilę zapomniała języka w gębie. – Kim pani jest?

– A co cię to obchodzi? – warknęła tamta.

Chyba chciała się rozłączyć, lecz najwidoczniej nie trafiła w odpowiedni przycisk, bo rozmowa trwała.

– Kto to był? – Danka usłyszała w tle zaspany męski głos. Ewidentnie należał do Marka.

– Nikt. Dzwoniła jakaś napruta laska i pytała, kim jestem. Śpij! – odparła kobieta.

Danka zerwała połączenie i oniemiała zaczęła wpatrywać się w wygaszony ekran smartfona.

Nie miała siły płakać. Gdyby była w lepszej formie, pewnie szalałaby ze złości i żalu, ale teraz nie całkiem do niej dotarło, co się właściwie stało.

Obudziła się około południa z kacem stulecia. Wcześniej śniła, że brnie przez pustynię i umiera z pragnienia. Na szczęście Marek miał zwyczaj trzymać przy łóżku wodę mineralną, więc z jękiem przetoczyła się na jego stronę i na oślep namacała butelkę. Łapczywie opróżniła jej zawartość i zamoczona usiadła na łóżku.

Wydarzenia minionego wieczoru i nocy wciąż docierały do niej w zwolnionym tempie. Danka czuła się jak widz w teatrze obserwujący z boku cudze dramaty. Nie mogła jednak wyprzeć, że naprawdę wybrała numer Marka i naprawdę telefon odebrała jakaś kobieta! A to mogło oznaczać tylko jedno.

– Jasna cholera!

Mimo bolącej głowy i mizernej percepcji Danka zwlekła się z łóżka. Wymierzając sobie pokutę w postaci lodowatego prysznica, próbowała przywrócić się do stanu używalności. Cokolwiek się stało, czekała ją trudna konfrontacja. Z Markiem zamierzała rozmówić się jak najszybciej, bo drugi, po Wołodii, zdradzający ją facet nie mieścił się na liście łajdactw, które zamierzała tolerować. Zresztą nie docierało do niej, że można chcieć zadać sobie trud, żeby zdradzać kochankę. Chociaż sama nie zaliczała się do świętych, ta sytuacja była dla niej kompletnym absurdem.

– Zdradzać kochankę z kochanką! Też coś! – mamrotała pod nosem, jednocześnie wykręcając mokre włosy. Machnęła ręką na nakładanie odżywki i zamotała na głowie ręcznik.

Jeszcze nie miała pomysłu, jak rozegrać tę sprawę i od czego zacząć. Właśnie kończyła się ubierać, gdy w zamku zazgrzytał klucz.

Drgnęła i wyprężyła się jak struna.

– Cześć, kochanie! Nie wiedziałem, że wróciłaś wcześniej. – Marek wyraźnie ucieszył się na jej widok. Podszedł, żeby ją pocałować.

Odsunęła się z odrazą.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę, jak widać, świetnie mi wyszła – powiedziała z przekąsem.

– Gdybym wiedział, że...

– ...że przyjadę, siedziałbyś grzecznie w domciu? – weszła mu w słowo. – To już szczyt wszystkiego! – nie wytrzymała. – Ledwie wylaz-łeś z łóżka jakiejś dzidzi i od razu lecis mnie

całować?

– Że co? – Marek przybrał głupi wyraz twarzy.

– A co? Może zaprzeczysz? Dzisiaj, o piątej rano, twój telefon odebrała jakaś zaspana wywłoka, a ty beczelnie palisz głupa? Masz może jakieś racjonalne wyjaśnienie? Tak na szybko? – Danka przygwoździła go wzrokiem.

– Posłuchaj... – Marek nerwowo przeczesał włosy palcami.

– Tylko z sensem poproszę. Daruj sobie wyświechtane „kochanie, to nie jest tak, jak myślisz”, bo już raz byłam z facetem, który miał kochanek na pęczki. Drugi raz nie zamierzam.

– Ale to nie kochanka. To moja żona.

– Co takiego?! – wykrztusiła zaskoczona Danka.

– Tak. Znów jesteśmy razem. Pogodziliśmy się kilka tygodni temu. Dla dobra dzieci, ale przecież my możemy...

– Że, kurwa, przepraszam, co możemy?! Nienormalny jesteś?! Masz zamiar zdradzać żonę ze mną, a mnie z żoną? Myślałam, że Emil to degenerat, ale widzę, że nie dorasta ci do pięt.

– Danka rozsierdziła się na dobre. – Wiesz co? Pakuj manatki, i to już! Idę do sklepu po coś do jedzenia. Wracam za kwadrans i jak wrócę, ma cię tu nie być! – Wściekła Danka energicznie włożyła adidas, ściągnęła z głowy ręcznik, cisnęła Markowi pod nogi i sięgnęła po kurtkę. Na mokre włosy nasadziła bejsbolową czapkę.

– Aha, i ze spółki też cię wywalam, ty kłamliwy, parszywy zasańcu! Kurwa mać!

Trzasnęła drzwiami, aż zadźwięczały szyby w oknach.

Emil powoli odzyskiwał świadomość. W pierwszej kolejności dotarło do niego miarowe pikanie aparatury medycznej. W ustach czuł suchość. Sztywny język przylgął do podniebienia, ślina zgęstniała w ustach.

Ostrożnie uchylił powieki. A właściwie jedną. Z wysiłkiem uniósł dłoń, delikatnie namacał rozległą opuchliznę i opatrunek nad zamkniętym okiem.

– Proszę nie dotykać – napomniła go po niemiecku siedząca przy łóżku pielęgniarka. – Odniosł pan poważne obrażenia głowy. Najlepiej się nie ruszać, dopóki nie obejrzy pana lekarz.

– Wody... – Emil wychrypiał z trudem.

– Ostrożnie. Dwa dni był pan nieprzytomny, więc na razie tylko trochę – powiedziała pielęgniarka i pozwoliła mu pociągnąć przez słomkę mały łyk. – Jak się pan czuje?

– Jeszcze nie wiem – Emil odparł bezradnie.

Nie miał pojęcia, co mu się stało i jakim cudem wylądował na intensywnej terapii.

Po wizycie lekarza dowiedział się, że znalazł go w lesie przypadkowy turysta i wezwał pomoc. Emil nie miał przy sobie dokumentów, ale że ordynator szpitala w Zell am See dobrze go znał, więc rozpoznał na izbie przyjęć właściciela hotelu Berg-hof. Obrażenia były poważne, a twarz pacjenta pokrywała zaschnięta krew, więc dla pewności zadzwoniono do szefa hotelowej recepcji. Szybko ustalono, że właściciel wyszedł gdzieś poprzedniego dnia i ślad po nim zaginął. Gdy ofiarę domyto, nie było już mowy o pomyłce – Emilowi zapewniono opiekę najlepszą z możliwych. Wyglądało na to, że został ogłuszony jakimś tępym narzędziem.

Teraz stęknął i spróbował się podnieść.

– Hola, hola! Zbastuj, przyjacielu! – Heinrich, ordynator szpitala, stanął w drzwiach izolatki. – Miałeś, chłopie, kupę szczęścia. Przeleżałeś w tym lesie kilkanaście godzin. Chłopcy z ekipy ratunkowej byli pewni, że już po tobie, zanim nie doszukali się słabego pulsu. Od razu przewieźli cię do nas śmigłowcem. Przeżyłeś cudem.

– Mocno oberwałem?

– Można rzec, że dość konkretnie. Na szczęście czaszka jest cała.
– No właśnie czuję, cholera. Ale co to było? – zapytał Emil, pewien, że to jakaś gruba gałąź spadła mu na głowę. Wydawało mu się, że przed uderzeniem usłyszał głośny trask.
– O tym to już pogadasz sobie z policją. Już nie mogli się doczekać, kiedy się ockniesz.
– Naprawdę nic nie wiesz?
– Nie wiem. Mnie tam nie było, więc nie będę gadał głupot. Zajmę się tym, na czym najlepiej się znam, czyli postawieniem cię na nogi. A teraz leż. Co najmniej dobie. Trzeba ci zrobić rezonans magnetyczny, ale najpierw dziewczyny przyjdą cię umyć. Na razie możesz sobie jedynie podnieść oparcie. No i zaraz wyjmemy ci cewnik, pewnie z tego najbardziej się ucieszysz – roześmiał się Heinrich. Wezwał lekarza dyżurnego i pielęgniarkę. – Na dziś kończę robotę, zajrzę do ciebie jutro – oznajmił. – Teraz już powinno być dobrze. Witaj ponownie wśród żywych i trzymaj się, stary! Do zobaczenia!

Po usunięciu dokuczliwego cewnika Emil poczuł wyraźną ulgę. Zimne okłady na twarz sprawiły, że udało mu się odrobinę uchylić opuchniętą powiekę. Miał niezłą wyobraźnię, więc na wszelki wypadek wołał nie prosić o lusterko. Z radością pomaszerowałby pod prysznic, ale ponieważ dostał zakaz wszelkiej aktywności, niechętnie przystał na prowizoryczne ablucje.

– Andrea?! – Oślupiał na widok kobiety w krótkim błękitnym kitlu. – Co ty tu robisz?
– Przyszłam cię umyć. – Uśmiechnęła się, odrzucając na plecy czarny warkocz.
– Ty?
– Chyba się mnie nie wstydzisz? – Puściła oko.

Emilowi przyszło do głowy, że nigdy nie uprawiał seksu z dziewczyną w uniformie, czy to policjantki, czy pielęgniarki. Wyobraźnia podsunęła mu obraz niedawnej orgietki z udziałem Andrei i Horsta. To wystarczyło, by jego penis za-reagował.

– No proszę, proszę... – mruknęła Andrea. – Widzę, że naprawdę wróciłeś do żywych – dodała, zanurzając w misce gąbkę. Odcisnęła ją z nadmiaru wody i sugestywnie poprowadziła po nodze w stronę uda.

Emil głęboko wciągnął powietrze. Zdradziecka męskość była już w pełnej gotowości. Gdy Andrea, myjąc, jednocześnie zaczęła ją pieścić, osłabiony pacjent nie zdołał wykrzesać z siebie choćby nikłego protestu. Dotyk i nieznane dotychczas uczucie parcia na pęcherz, związane zapewne z niedawnym cewnikowaniem, paradoksalnie potęgowały doznania.

– Mmm... Widzę, że tęskniłeś – wymruczała zadowolona Andrea, ujmując czystego już Emila swoimi gorącymi ustami.

Nie spodziewał się podobnych ekscesów na szpitalnym łóżku. Podniecony i kompletnie bezwolny niemal natychmiast doznał spełnienia, tłumiąc okrzyk. Nie protestował, gdy Andrea przysiadła obok niego i skierowała jego dłoń między swoje lekko rozchylone uda. Po chwili opuściła izolatkę.

Po rezonansie i lekkim posiłku, zważywszy na okoliczności, poczuł się zupełnie nieźle. Wciąż nie wolno mu było wstawać, ale fakt, że z pomocą oparcia łóżka mógł usiąść, a potem wysikać się do kaczki, wyraźnie poprawił mu samopoczucie. Odłączono także większość aparatury monitorującej, z wyjątkiem EKG, podpięto natomiast świeżą kroplówkę ze środkiem przeciwbólowym. Szwy na głowie goiły się prawidłowo, więc przy sprzyjających wiatrach Emil spodziewał się opuścić szpital mniej więcej za tydzień.

Odprężony i nakarmiony, wieczorem usnął jak dziecko.

Rankiem było o niebo lepiej, do tego stopnia, że przy obchodzie lekarz prowadzący wyraził zgodę na zmianę diety i przesłuchanie. O wypisie na razie nie wspomniął. Oznajmił jedynie ogólnikowo, że przy tak poważnym wstrząśnieniu mózgu im dłuższa obserwacja, tym lepiej.

– Dzień dobry, Udo Winkler, z policji – przedstawił się Emilowi łysiejący mężczyzna w średnim wieku, który właśnie wszedł do izolatki. – Naprawdę niczego pan nie pamięta, jak twierdzi lekarz? – Z marszu przystąpił do rzeczy.

– Niczego. Spokojnie szedłem sobie pod górę, w pewnym momencie zatrzymałem się, żeby odsapnąć...

– I?

– Wydaje mi się, że usłyszałem jakiś trzask, a potem oberwałem w głowę czymś ciężkim. Pewnie gałęzią. Następne, co pamiętam, to pobudka w szpitalnym łóżku.

– To wszystko? Panie Kastner, nic więcej pan nie pamięta? Czy po drodze nie spotkał pan kogoś? – Policjant nie dawał za wygraną.

– Nie, nikogo nie zauważyłem. No, może na początku wędrówki przez chwilę szedł za mną jakiś mężczyzna. Potem spotkałem parę młodych ludzi z kijkami do nordic walkingu. Siedzieli pod wiatą przy strumieniu i jedli kanapki.

– Coś jeszcze?

– Nic. Wymieniliśmy zdawkowe powitania. Tamten facet dosiadł się do nich, ja poszedłem dalej. Potem już ani żywego ducha.

– Czyli jednak coś pan pamięta – mruknął Winkler. Skrzętnie zanotował coś w notesie. – Potrafi pan opisać tych ludzi?

– Spróbuję. Ale dlaczego pan pyta?

– Bo nie oberwał pan żadną gałęzią.

– Więc co się stało? – Emil zdecydowanie zbyt gwałtownie podniósł się z zagłówka i z jękiem opadł na poduszkę.

– Ktoś pana uderzył celowo, panie Kastner. I nie było to drzewo. Teraz tylko musimy się dowiedzieć, kto to był i dlaczego to zrobił.

– Jest pan pewien?

– Opcje są dwie: albo uczynił to ktoś przypadkowy w celu rabunkowym, albo ktoś za panem szedł, by pana zabić. Tylko że nic panu nie zginęło, nawet wypasiony smartfon. Podpadł pan komuś ostatnio?

– Przy moich rozległych interesach mogłem podpaść połowie świata! Zapewne rzesza ludzi z całego serca mnie nienawidzi i gotowa jest utopić w szklance wody. Niewiele jest osób, którym ufam.

– To wiem, ale jak dotąd pan żyje. Pytam, czy ostatnio nie zdarzyło się coś szczególnego, bo...

– Zdarzyło się. – Emil wszedł policjantowi w słowo, po czym opowiedział śledczemu o incydencie z Hildą. Nie wdawał się w pikantne szczegóły, ale jednoznacznie zasugerował łączącą ich relację.

– Panie Kastner, nie ma większej furii niż puszczone kantem baba. – Policjant pokiwał głową. – Mówię to panu.

– Nie Brunhilda – zaprzeczył Emil. – Dla niej to był tylko seks i intratna posada w moim hotelu. Zero uczuć. W tym przypadku nie można mówić o zdradzie.

– Utrata pracy i urażona duma potrafią być motorem nie takich przestępstw. Niech mi pan wierzy. Na razie to wszystko, wracam do zajęć – pożegnał się Winkler. – A pan niech wraca do zdrowia.

– Co pan sugeruje? – zapytał Emil nie do końca przekonany, że afekt zwolnionej dyrektorki to dobry trop.

– Sugeruję, by przez jakiś czas nie chodzić samotnie po okolicy. Po cholerę kusić los?

Danka starała się maksymalnie przedłużyć zakupy. Na ponowne spotkanie z Markiem nie miała ochoty. Gdyby miał samochód, widziałaby, że już odjechał, tymczasem dla pewności pałętała się bez celu po pobliskim markecie. Niespecjalnie rejestrowała, co wrzuca do koszyka.

Z niemałym zaskoczeniem doszła do wniosku, że w całej tej aferze bardziej cierpi jej duma niż serce. Że Marek zranił jej godność i honor. Emil był przynajmniej uczciwy, żył według własnych zasad i nikogo nie zdradzał.

Rozżalona i smutna kupiła gotowe krokiety, a na osłodę dorzuciła do koszyka największą butlę coca-coli. Szerokim łukiem ominęła stoisko z alkoholem. Przy kasie wzięła jeszcze paczkę cebulowych chipsów i dwa napoje energetyczne. Nawet nie spojrzała na tabelkę z kaloriami i składem, w którym poza wodą próżno było szukać naturalnych składników. Miała za sobą spektakularną przemianę. Schudnąć w pół roku kilkadziesiąt kilogramów to było coś. Teraz doszła do wniosku, że parę kilo w prawo lub w lewo nie uczyni większej różnicy, i postanowiła odrobinę pogrześcić.

Po zerwaniu z Markiem wokół nie dostrzegła nikogo, komu chciałaby się podobać. Zawód byłym partnerem sprawił, że straciła impet. Jeszcze w połowie minionego roku nie miała żadnych pragnień poza pełnym żołądkiem i spłatą kredytu. To Emil i Marek tchnęli w nią marzenia i nauczyli, że z małych sukcesów można zbudować ten jeden, duży i wymarzony.

Z nową figurą i kochającym mężczyzną u boku pewnie wkroczyła w nowy rok. Marek odnalazł w niej talent i zaraził fotograficzną pasją, z której pragnęła się utrzymywać. Potrafiła już całkiem sporo, lecz jeszcze nie uważała się za profesjonalistkę. Praca w studiu nie wymagała na szczęście nie wiadomo jakich umiejętności, a trudniejsze wyzwania, jak choćby sesja dla Krystyny, były wyłącznie kwestią wyczucia i intuicji. Regularna nauka i ciężka praca przynosiły efekty, ale Danka chciała więcej. Nadal robiła całą masę błędów, nieustannie marząc o perfekcyjnych ujęciach i prestiżowych nagrodach. Droga do nich była daleka, a wymarzony kurs w Parsons, elitarnej szkole designu w Nowym Jorku, pozostawał jak na razie poza zakresem finansowych możliwości.

To właśnie na ten cel zamierzała przeznaczyć sporą kwotę zarobioną u Świderskiej. A nie tylko to jej nie wyszło. Nocne ujęcia przy świecach także przydałyby się w jej dalszej karierze, lecz nie uzyskała zawczasu zgody na ich publikację. A teraz było już za późno, by o to prosić.

Danka wepchnęła do ust czwartego krokietu i solidnie popiła mocno nagazowaną colą. Choć wyrób był świeżutki, z dobrej wytwórni i w niczym nie przypominał tych z Bonusa, a cola oryginalna, zawartość kalorii przekraczała granice zdrowego rozsądku. Jej dietetyczka chyba zemdlalaby ze zgrozy.

Zajadanie złego nastroju było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała. Gdy tydzień po aferze z Markiem nie dopięła dzinsów, stanęła przed lustrem i rozpłakała się jak dziecko. Łkając spazmatycznie, maksymalnie wciągnęła brzuch i z trudem dociągnęła suwak. Spodnie zatrzeszczały w szwach. Nad ciasnym paskiem pojawiła się wyraźna oponka.

– Dość! – oznajmiła dziewczyna swojemu odbiciu i buńczucznie wysunęła brodę. – *Finito!*

Tym razem w sklepie wybrała razowe pieczywo z pełnego przemiału, naturalny jogurt bez tłuszczu, ogórki, pomidory i kaszę bulgur. Dorzuciła jeszcze fileta z indyka, mineralną i z wysiłkiem dotaszczyła wszystko do kasy. Korzystając z tego, że poza nią w sklepie nikogo nie ma, wyłożyła zakupy na taśmę i zawróciła po wino. Miała zamiar wypić kieliszek za kolejny sukces.

Dawno zapomniany zdrowy posiłek wywołał niespodziewaną radość. Ostatnio Danka zdążyła zapomnieć, że takie jedzenie może być dużo smaczniejsze niż przesycone tłuszczem

wysokoprzetworzone paskudztwa.

Wieczorem otworzyła butelkę. Uśmiechnęła się i wzniosła symboliczny toast.

– Żadnych więcej popaprańców i zmarnowanych szans!

Chwilę później pogmerała w powiadomieniach na smartfonie. Przeleciała kciukiem po nowościach na Instagramie. Jej uwagę przykuło zdjęcie Marka z rodziną.

– Ty zakłamanym gnoju! – wysyczała i napełniła drugi kieliszek. – Ale to nic. – Uniosła go znowu. – Co nas nie zabije, to nas wzmocni!

Po alkoholu propozycja Świderskiej przestała się wydawać Dance tak obraźliwa i nie na miejscu. Podjęła decyzję w jednej sekundzie.

– Halo? – rozległ się w komórce ciepły głos. – Czy to ty, Danusiu? Co za miła niespodzianka!

– Tak, to ja. Jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałabym dokończyć nasze zlecenie – powiedziała Danka. – Mogę przyjechać choćby jutro.

– Zatem czekam z niecierpliwością – odparła Świderska.

Resztę wieczoru Danka przeznaczyła na przygotowania do wyjazdu. Spakowała się i przyszykowała sprzęt. Dopila drugi kieliszek, a resztę wina wylała do zlewu, żeby jej nie kusiło. Zdrowa dieta wykluczała alkohol, a do tego miała nazajutrz do przejechania spory kawałek drogi.

Tym razem już tak bardzo się nie bała. Pewnie pokonała kilometry dwupasmówką, kilka razy odważywszy się wyprzedzić maruderów. Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Na stacji benzynowej kupiła razową kanapkę z warzywami i spałaszowała ją z apetytem. Tęsknie zerknęła na zamrażarkę z lodami, ale dzielnie odwróciła wzrok. Zapłaciła za paliwo, po raz kolejny zapominając, by zamiast paragonu wziąć fakturę.

Czas pobytu w rozległej posiadłości Świderskiej zamierzała wykorzystać między innymi na regularne bieganie. Ostatnio nie zauważyła wprawdzie, by na miejscu znajdowała się siłownia, ale zważywszy na gabaryty rezydencji i rewelacyjną formę właścicielki, była tam na pewno. Danka postanowiła, że od razu po przyjeździe wypyta na tę okoliczność lokaja Witolda.

Po posiłku ruszyła w dalszą drogę.

Na najbliższym ślimaku zjechała na niewielkie rondo, a potem w boczną drogę powiatową do Brańszczyka. Odpaliła radio. Podśpiewując pod nosem, nie zwróciła uwagi na szybko zbliżający się wiśniowy samochód. Dopiero gdy podjechał bardzo blisko, we wstecznym lusterku zauważyła, że kierowca zachowuje się dziwnie, jakby chciał ją wyprzedzić raz z prawej, raz z lewej strony. Nauczona przez instruktora, że takich świrów należy jak najszybciej puszczać przodem, zwolniła.

Na widok jej świateł stopu tamten zatrąbił przeciągle. Dźwięk klaksonu wytrącił Dankę z równowagi. Gdyby miała możliwość, zjechałaby z drogi natychmiast, tymczasem jak na złość rozpoczął się odcinek bez jakichkolwiek zjazdów. Zdenerwowana dodała gazu i pokonała ostatni zakręt przed wyczekiwaną prostą, omal z niego nie wylatując. W panice zahaczyła przednimi kołami o nierówne żwirowe pobocze.

Kierowca wiśniowego SUV-a jakby na to czekał. Gwałtownie dodał gazu i zjechał na przeciwległy pas. Przerażona Danka kurczowo trzymała kierownicę, marząc, by świrus odjechał jak najdalej od niej, natomiast on zrównał się z corsą prawie na styk. Miała wrażenie, że zaraz ją przytrze. Choć nie uczono jej tego na kursie, Danka zachowała zimną krew, zredukowała bieg i dodała gazu. I w tej właśnie chwili z naprzeciwka nadjechał trzeci samochód.

Wiśniowy SUV wystrzelił do przodu, zahaczając tylnym zderzakiem o przedni błotnik corsy, i zepchnął autko z drogi. Niczym mały matchbox fiknęło koziołka i przetoczywszy się po zaorany polu, wylądowało na boku.

Rozdział 6

Emil siedział sztywno w białym skórzanym fotelu helikoptera i w milczeniu obserwował oddalającą się ziemię.

Koniec kwietnia w Alpach obfitował w niewiarygodne odcienie zieleni. Hale pokryte dywanami trawy miały jaśniejszy kolor od połaci świerkowych lasów. Razem z ośnieżonymi szczytami tworzyły barwną mozaikę.

Helikopter skręcił w lewo, w dole zaśniło w słońcu jezioro Zeller. Emil westchnął ciężko. Nieśpieszno mu było wyjeżdżać z tego zacisza, ale nie miał innego wyjścia.

Ze szpitala wyszedł zaledwie kilka dni temu, po ponadtygodniowym pobycie. I natychmiast wpadł w ręce inspektora Udo Winklera. Emil, wciąż jeszcze dość słaby i błady po ostatnich przeżyciach, przyjął go w prywatnym apartamencie z panoramicznym widokiem na góry. Policjant aż gwizdnął z zachwytu.

– Niezła chata, panie Kastner! – powiedział z uznaniem. – Szkoda, że przez jakiś czas postoi pusta – dodał po chwili.

– Co pan ma na myśli?

– Ustaliliśmy przebieg zdarzeń i namierzaliśmy zamachowca.

– Co takiego? – Emil poderwał się na równe nogi. – Faktycznie ktoś na mnie napadł?! To nie był wypadek?!

– Niestety.

– Jak do tego doszliście?

– Jak pan wie, od początku podejrzewałem, że ktoś celowo zadał cios. Zresztą ordynator Heinrich potwierdził moją opinię. Przede wszystkim: gdyby to gałąź spadła panu na głowę, to po pierwsze, leżałaby tuż obok, a po drugie, uderzyłaby centralnie od góry. Miejsce, w którym pana znaleziono, było jednak czyste jak lza, a z kolei ślady na pana głowie widnieją na skroni i na potylicy. Według mnie uderzenia były dwa. Pierwsze w skroń, żeby pana ogłuszyć, drugie w potylicę, żeby roztrzaskać panu czaszkę i zabić.

– Jezu – wyszeptał Emil i pobladł jeszcze bardziej. – Jakim cudem ja jeszcze żyję?

– Ponieważ sukinsyna, który to panu zrobił, wypłoszyła para turystów, którą spotkał pan wcześniej przy stole piknikowym. Przestępca uciekł, zabierając ze sobą narzędzie zbrodni – wyjaśnił inspektor.

– Jak pan zdołał to wszystko ustalić? – zapytał z mimowolnym podziwem Emil.

– Jak to najczęściej w takich przypadkach bywa, pomógł monitoring. Na szlakach oczywiście go nie ma, ale nieopodal wyciągów są kamerki dla narciarzy. Szczęśliwie jedna z nich obejmuje zasięgiem fragment szlaku, jakieś pół kilometra poniżej miejsca zdarzenia. Na nagraniu widać dość wyraźnie ludzi z kijkami, o których wcześniej wspomniałem. Parę minut potem przeszedł pan. Nie da się z niczym pomylić charakterystycznej jasnoniebieskiej kurtki, w której pana znaleziono. Co ciekawe, sprawca, zanim dosiadł się do turystów, musiał nadejść z nieco innej strony – powiedział inspektor.

– Albo chował się w zaroślach.

– To też od razu przyszło mi do głowy – potwierdził policjant. – Jednak wydało mi się w pierwszej chwili kompletnie nielogiczne, że potencjalny morderca ot tak się ujawnia. Zarówno panu, jak i przypadkowym ludziom. Dlatego prześledziłem obraz ze wszystkich możliwych kamer monitoringu i ustaliłem, że para wyszła z pensjonatu Zeller. Udałem się tam niezwłocznie, gdy moi ludzie zabezpieczali ślady na miejscu przestępstwa. I chociaż tam, gdzie pan leżał,

większość zadeptały służby ratownicze, nieco niżej, na leśnej ścieżce udało się co nieco znaleźć. Przełomem okazało się jednak przesłuchanie turystów z pensjonatu.

– Znali wcześniej tego mężczyznę? Dlatego się do nich dosiadł? – zapytał Emil.

– Takie miałem podejrzenie, ale szybko okazało się, że nic o nim nie wiedzieli. Za to całkiem sprawnie scharakteryzowali podejrzanego. Portret pamięciowy wrzucony do systemu momentalnie zgodził się z profilem.

– No dobrze, ale zanim mi pan o nim opowie, proszę wyjaśnić, dlaczego ten typ dosiadł się do ludzi na szlaku i ujawnił się także mnie?

– Zapytałem ich o to. Nie mieli pojęcia. Ale coś w jego zachowaniu ich zaniepokoiło, więc gdy ruszył za panem, odczekali parę minut, a potem poszli za wami. Dzięki temu spłoszyli napastnika i ten nie uderzył po raz kolejny. A to uratowało pańskie życie.

– Mówił pan, inspektorze, że leżałem w tym lesie nieprzytomny przez długie godziny? Jak to się ma do opowieści, że napastnika spłoszyli turyści? Przecież chyba zobaczyliby mnie od razu? – dociekał.

– To logiczne – pochwalił dedukcję Emila inspektor. – Ale gdy kobieta, pani Ewa Zimmerman, usłyszała hałas w zaroślach, nalegała, żeby cofnąć się na polanę. Przestraszyła się, że to niedźwiedź. Ze śladów wynika, że zawrócili dosłownie sto metrów od miejsca, w którym pan leżał – wyjaśnił.

– Miałem mnóstwo szczęścia – przyznał Emil. – Gdyby nie tamci turyści, byłoby po mnie.

– I tu dochodzimy do sedna, panie Kastner. Prawie złapaliśmy napastnika.

– Jak to prawie?

– To profesjonalista. A przynajmniej za takiego lubi się uważać.

– O czym pan mówi?

– To płatny zabójca, niejaki Ireneusz Obera. Mamy jego pełne dane, bo odsiedział ładnych parę lat w polskim więzieniu. Od jakiegoś czasu, odkąd wyszedł na wolność, wciąż się wymyka Interpolowi, choć jest niemal pewne, że przyjmuje kolejne zlecenia. Albo zmądrzał, albo ma potężnych zleceniodawców.

– To nie brzmi dobrze.

– W istocie. Panie Kastner, sprawa wygląda tak, że komuś się pan mocno naraził. I to nie tutaj, a w Polsce. Co więcej, choć nie jest pan poszukiwany, wydział śledczy w Warszawie bardzo się panem interesuje. Musi się pan niezwłocznie stawić w kraju na przesłuchanie. Osobiście serdecznie to doradzam.

– Tak zrobię. I bardzo dziękuję za pańskie zaangażowanie.

Inspektor skinął mu głową i wstał z fotela. Wygładził poły ortalionowej kurtki i podeszedł do drzwi.

– Panie inspektorze?

– Tak? – Winkler trzymał już dłoń na klamce.

– Jak pan sądzi, dlaczego płatny zabójca dosiadł się do turystów?

– Poświęciłem nieco czasu na analizę map satelitarnych szlaku i jego sąsiedztwa. Wokół stołu piknikowego rozciąga się polana. Z pewnością wie pan, że zimą krzyżują się tam trzy trasy narciarskie, więc dla bezpieczeństwa użytkowników stoku wycięto właściwie całą roślinność. Obera zorientował się, że na otwartej przestrzeni w żaden sposób się nie ukryje, więc postanowił postawić wszystko na jedną kartę, zapewne wiedząc, że w hotelu tak łatwo mu nie pójdzie.

– Zadziałał dość skutecznie – mruknął Emil. – Może i zaliczył wpadkę z więzieniem, ale idiotą nie jest.

– Z pewnością – zgodził się inspektor i skinąwszy krótko głową, opuścił apartament.

Emil niezwłocznie zaczął szykować się do wyjazdu. Zatrudnił nowego dyrektora – tym razem jego wybór padł na mężczyznę, który wcześniej zawiadywał rodzinnym hotelem na obrzeżach Wiednia. Po nauce z Hildą nie było co kusić losu.

Teraz, przygnębiony, patrzył z góry na oddalające się jezioro i alpejskie miasteczka.

Emil westchnął cicho i odwrócił głowę od okna. Nie licząc pilota, był jedynym pasażerem helikoptera. Powróciło wspomnienie podróży z Danką sprzed kilku miesięcy. Dziewczyna tak bardzo ekscytowała się lotem. Potrafiła zarażać entuzjazmem jak nikt. Z nią wszystko było bardziej kolorowe. Żałował, że nie nauczył się od niej tej prostej radości życia. Tego specyficznego spojrzenia na świat, jakiego on nie doświadczył nigdy. Z Danką nawet zjedzenie makaronu we włoskiej knajpce urastało do rangi wydarzenia miesiąca. Wypełniała śmiechem i naiwnymi pytaniami emocjonalną pustkę bezsensownego życia. Szkoda tylko, że zrozumiał to dopiero poniewczasie, wcześniej dostarczając jej wielu chwil upokorzenia.

Zacisnął powieki, ale było za późno. Niechciane wspomnienia zaczęły napływać falami do wciąż jeszcze obolałej i posiniaczonej głowy. Danką wybiegającą z płaczem z balu sylwestrowego, przerażona jego wściekłością po grzybobraniu w Sarnowie, patrząca na rozsypujące się po trawniku borowiki, wreszcie drżąca w szoku po znalezieniu martwej sublokatorki. Szukała pomocy, a on wykorzystał to cynicznie, podsuwając jej umowę, która pozwoliła mu przez całe miesiące traktować ją jak przedmiot.

– Szlag jasny! – zaklął pod nosem.

Danka słyszała wyłącznie wysoki, drażniący uszy dźwięk. Nie miała pojęcia, skąd dochodzi. Coś ją musiało zamroczyć, bo choć miała szeroko otwarte oczy, widziała wyłącznie ciemność. Przez dłuższą chwilę nie wiedziała, kim jest ani gdzie się znajduje. A potem przez watę otulającą jej mózg przedarło się dalekie echo czyichś słów. Z początku nie pojmowała ich znaczenia; brzmiały tak, jakby ktoś mówił w zwolnionym tempie.

Było jej niewygodnie, nie mogła się poruszyć choćby o milimetr.

– Proszę pani! – zadudnił obcy głos. – Słyszysz mnie pani? Wszystko w porządku? Już jedzie karetka! Niech się pani ocknie! Proszę do mnie mówić! – żądał natarczywie.

Chciała spać, ale nie udawało się jej zamknąć oczu. Za to pomalutku zaczęła rozróżniać kształty i kolory. Wygięta czarna kierownica, pokryta pajęczyną pęknięć zielonkawa szyba, wreszcie przykurzona czerwień otwartej maski samochodu.

– Miałam wypadek? – wyszeptała do siebie.

– Tak. Wypadek. Może się pani ruszać? – zapytał obcy głos.

– Nie wiem – odparła i zamrugła oczami.

Odzyskała względną ostrość widzenia. W miejscu po szybie od strony kierowcy widniała zatroskana twarz jakiegoś mężczyzny.

– Nie mogę otworzyć drzwi, ale z tej strony chyba nie ma większych uszkodzeń – powiedział. – Samochód dachował i zatrzymał się na boku. Może pani poruszać nogami?

– Mogę, ale nie jestem w stanie drgnąć – odparła cicho Danką. – Chyba utknęłam pod kierownicą.

– A ręce? – dopytywał. – Porusz nimi!

Wyciągnęła przed siebie drżące dłonie.

– Ten pas strasznie mnie dusi. Ledwie oddycham.

– I tak ma być! Wystrzelił napinacz, to tak działa, ale dobrze! Wytrzymaj! Za chwilę przyjedzie pomoc.

– Kim jesteś? – wykrztusiła z trudem.

– Świadkiem, jeśli będzie trzeba. Jechałem z naprzeciwka. Wiozę truskawki na targ dostawczakiem szefa. Ledwie wyhamowałem, jak ten skurwiel wyjechał mi na czołówkę, a potem zepchnął cię z drogi. Mam na imię Michał i do sądu pójde, żeby się zasrańcowi nie upiekło.

– Dziękuję. Danka jestem.

– Trzymaj się, Danko. Już słyszę syreny!

Jako pierwsza na miejsce zdarzenia dotarła straż pożarna. Strażacy dość sprawnie rozcięli blachę i wydobyli dziewczynę. Ktoś narzucił jej na ramiona koc termiczny i poprowadził w stronę karetki, która właśnie zatrzymała się na środku wąskiej jezdni. Mężczyzna w białym fartuchu ujął ją pod brodę i zaświecił latarką w oczy.

– Niech się pani położy. Tylko ostrożnie – zadysponował. – Zabieramy panią do szpitala.

Niespełna godzinę później leżała już na izbie przyjęć wyszkowskiego szpitala. Czekaając na swoją kolej, patrzyła w biały sufit. Zadumała się nad kruchością życia i nad tym, że paradoksalnie czuje się silna, a wspomnienie wypadku, choć niewątpliwie straszne, raczej nie odcisnę się na jej psychice traumą.

– Pani Danuta Popiołek? – rozległ się tuż obok niej kobiecy głos.

Podniosła głowę i ze zdziwieniem rozpoznała policyjny mundur zamiast spodziewanego lekarskiego fartucha.

– Tak? – odparła z lekkim wahaniem w głosie. – Znaczy to ja, oczywiście. Przepraszam, jeszcze jestem trochę skołowana po tym nieszczęsnym wypadku.

– Ja właśnie o wypadku chciałam chwilę porozmawiać. Oczywiście jeżeli czuje się pani na siłach.

– Tak, ze mną wszystko dobrze – zapewniła ją Danko.

– Świetnie, bardzo się cieszę – odparła policjantka i wyciągnęła w jej stronę przezroczystą foliówkę. – Teraz oddam pani torebkę i telefon – dodała. – Strażacy wydobyli więcej rzeczy, ale te będzie musiała pani pokwitować u nas na komisariacie, już po opuszczeniu szpitala. Pomyślałam, że zapewne będzie pani chciała się z kimś skontaktować, więc... – urwała, przysiadając na białym taborecie obok kozetki.

– Dziękuję – wyszeptała z wdzięcznością Danko i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie ma do kogo zadzwonić. Świdorskiej nie zamierzała niepokoić, zresztą teraz zlecenie było ostatnią z rzeczy, którymi się martwiła. A od Marka nie chciała żadnej pomocy. Na tych dwójgu kończyła się lista ludzi, z którymi miała kontakt w ostatnich miesiącach.

– Czy podejrzewa pani, kto stoi za zamachem na pani życie? – Policjantka bez ogródek przeszła do rzeczy.

– Zamachem?! – wykrztusiła zdumiona Danko. – To wyglądało raczej na akcję pirata drogowego!

– Nie da się tego, oczywiście, wykluczyć na tym etapie dochodzenia, ale zeznania świadka, Michała Mikołajczaka, pokrywają się z opinią naszych techników. Ich zdaniem wiśniowy nissan murano zepchnął pani samochód z drogi celowo. A to, jak się pani domyśla, zmienia kwalifikację czynu.

– Rozumiem.

– No nic, życzę powrotu do zdrowia i proszę zajrzeć do nas na komisariat. Mam nadzieję, że oprócz ocalałych rzeczy będziemy też mieć dla pani nowe informacje w sprawie.

Danko zamknęła oczy i pomyślała o swoim bezcennym sprzęcie fotograficznym. Aż jęknęła, gdy uświadomiła sobie, że zapewne większość uległa zniszczeniu. Dostała go kiedyś od Emila i wiedziała, że kosztował małą fortunę. Dla niego nie były to oszałamiające kwoty, ale w jej przypadku już zdecydowanie tak. Emil miał wszystko i w najlepszym gatunku.

Nagle, z jakiejś przyczyny, Dance zrobiło się go żal. Przez chwilę pomyślała, jak mu się wiedzie. Czy wciąż siedzi w Berghofie, czy świetnie się bawi w jakimś innym zakątku ziemi?

Helikopter, bez najmniejszego wstrząsu, miękko usiadł na lądowisku.

Z dachu należącego do Emila wieżowca roztaczał się imponujący widok na miasto. Za chwilę miał wybuchnąć kolorowy maj, więc nie sposób było nie zauważyć mnóstwa zieleni przeplatanej kwartałami kamienic.

Warszawa, miasto kontrastów. Miejsce wielkich pieniędzy, ale i ubogich czynszówek, historycznych parków i betonowych pustyń. Wreszcie miasto, które powstało jak Feniks z popiołów. Można je kochać, można nienawidzić, ale rzadko kto przechodzi obok niego obojętnie.

Emil się w nim urodził, najwcześniejsze wspomnienia wynosząc z ciasnych podwórek na tyłach ulicy Chmielnej. Znał ciemne i jasne strony miasta i przeważnie z ulgą je opuszczał. A jednak za każdym razem, gdy wracał, odczuwał niechcianą nostalgię.

– Proszę, żeby dostarczono moje bagaże do recepcji apartamentowca na Złotej – polecił pilotowi. – Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Nie tracąc czasu, pojechał prosto na komisariat policji. Zastanawiał się, czy postępuje właściwie, ale uznał, że nawet jeśli ktoś dybie na jego życie, z pewnością nie odważy się zaatakować tuż pod nosem funkcjonariuszy. Nadrabiał miną, bo przygoda w lesie porządnie go wystraszyła. Austriacki policjant dość obrazowo wyjaśnił mu, że od śmierci dzielił go zaledwie włos.

Budynek sprawiał fatalne wrażenie. Usytuowany w bocznej uliczce pełnej odrapanych kamienic straszył ponurą socrealistyczną bryłą. Emil nie bywał w podobnych przybytkach, ale podejrzewał, że większość wygląda tak samo. Wszedł do środka z pewnym ociąganiem, acz świadom, że właściwie nie ma innego wyjścia.

W niedoświetlonej poczekalni na drewnianych krzesłach czekało kilku petentów. Za szybą przy biurku siedział policjant i nie zwracając na nich uwagi, pisał coś w skupieniu na komputerze. Nie bardzo wiedząc, jakie na posterunku panują zwyczaje, Emil rzucił w eter „dzień dob-ry”, po czym spojrzał wyczekująco na funkcjonariusza. Ten całkowicie go zignorował i nawet nie odwrócił głowy od monitora. Emil dla odmiany przyjrzał się tkwiącym na krzesłach ludziom.

– On nikomu nie odpowiada – poinformował go scenicznym szeptem starszy pan najbliższej drzwi. – Ważny taki! – prychnął.

– Niechże pan już będzie cicho! – warknęła zażywna kobieta.

Emil nie do końca wiedział, co powinien ze sobą zrobić. Usiąść pokornie i czekać? A może podejść do kontuaru i zagadać do dyżurnego? Niezbyt mu się uśmiechało czekanie nie wiadomo na co, ale z drugiej strony chciał zachować się przyzwoicie i nie wpychać w kolejkę.

– Przepraszam, kto z państwa ostatni? – zapytał kurtuazyjnie.

Z kąta dobiegł go śmiech. Na stojącym tam krześle siedziała z szeroko rozstawionymi nogami kobieta o obfitych kształtach i zdecydowanie wyzywająco ubrana. Miała podbite lewe oko.

– Pobicie? – zapytała, patrząc na sińce na twarzy Emila.

– Nie, to tylko... – umilkł i bezwiednie dotknął policzka.

– Siadaj na dupie i czekaj, aż cię wywołają – poradziła życzliwie.

– A skąd mają wiedzieć, kogo wywołać, skoro mnie nawet nie wylegitimowali? – zdumiał się Emil.

– Przecież nas tu znają. Sami swoi, prawda? – dodał staruszek i uśmiechnął się szeroko. W ustach miał nie więcej niż pięć pojedynczych zębów.

– Siedź cicho, dziadu! – ofuknął go facet w poplamionym krwią dresie. – Widać, że paniczek nie stąd. Przefasonował mu ktoś buźkę i na skargę przyleciał – zadrwił.

Emil uznał, że dalsza wymiana zdań z kwiatem dzielnicy nie ma większego sensu. Zawrócił do kontuaru i odchrząknął wymownie. Bez efektu, policjant ani drgnął. Emil wyciągnął szyję i dojrzał, że funkcjonariusz z mozołem układa pasjansa.

– Przepraszam! Chciałem się zgłosić w charakterze świadka! – rzucił poirytowany.

– Proszę usiąść i czekać – odparł flegmatycznie policjant i oczywiście nie oderwał wzroku od monitora.

– A na co mam czekać? Aż wyjdzie panu pasjans dla półgłówków? – Emil nie wytrzymał. Natychmiast ugryzł się w język, ale było już za późno.

– Coś ty, menelu z obitym ryjem, powiedział? – Oczy policjanta zwężyły się w szparki.

– Widział pan, ilu tu ludzi czeka?

– Dowód osobisty!

– A proszę bardzo! – Emil beztrząsco rzucił na kontuar plastikową kartę.

Policjant zgarnął ją bez słowa i studiował przez chwilę. A później podrapał się po głowie i podniósł słuchawkę telefonu. Osłonił dłonią usta, więc nie było wiadomo, co i do kogo mówił. Po chwili okazało się, że to jest najmniejszy z problemów Emila. Zza przeszkłonych drzwi wypadło trzech rośłych funkcjonariuszy i bez słowa dopadło do niego. Jeden wykręcił mu do tyłu rękę, drugi wprawnym ruchem zatrzaskał na nadgarstkach kajdanki.

– Zostaje pan zatrzymany w związku z podejrzeniem mataczenia w dochodzeniu dotyczącym Wojciecha Wątorskiego – powiedział beznamiętnie trzeci. Trącił Emila w łopatkę, zmuszając do wejścia w wąski korytarzyk. – No, jazda!

– Może i nie swojak, ale jaja chłop ma – mruknął pod nosem facet w poplamionym dresie.

– Zamknij się, Wiesiek, bo cię zaraz dojadę w łeb! – ofuknęła go prostytutka z kąta.

Dalszej wymiany zdań Emil już nie usłyszał. Policjanci bez ceregieli pociągnęli go za sobą. Szklane drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem.

– Gdzie z nim? – zapytał ten najbardziej flegmatyczny.

– Jak: gdzie? Do starego!

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co tu się dzieje? – spanikował Emil. – Ja nic nie zrobiłem i dobrowolnie przyszedłem złożyć tu zeznania! Co to za cyrk?

– Zamknij się, frajerze, bo jak mnie wkurwisz, to pójdziesz na noc do celi do Kocia! – powiedział drugi z funkcjonariuszy i boleśnie wykręcił mu ramię.

– Spodoba ci się u Kocia – zarechotał trzeci. – Zamykamy go głównie dlatego, żeby syfilitycznej dupy nie podstawiał nikomu na mieście. Rozumiesz? Chronimy świat przed Kociem. Ale jeśli chcesz, to chętnie cię z nim zapoznamy. Będzie zachwycony.

– Dobra, dosyć tego – burknął flegmatyczny. – Dawajcie go do starego, zanim nam się ze strachu w gacie posra.

Emil uznał, że najrozsądniej będzie zamilknąć i się nie opierać. Posłusznie pozwolił się zawlec przed kremowe drzwi, pamiętające z pewnością poprzedni ustrój, i pokornie obserwował poczynania flegmatycznego. Ten zapukał i ostrożnie wsadził głowę w szparę.

– Szefie, można? – zagruchał łagodnie.

– Wejść!

Policjanci wprowadzili Emila do środka.

– Witam, panie Kastner! – odezwał się mężczyzna. Na jego widok Emilowi opadła

szczęka. Za lichym drewnianym biurkiem siedział inspektor Udo Winkler we własnej osobie i przemawiał do niego czystą polszczyzną.

– Nie rozumiem – wymamrotał. – Kim pan jest?

– Niechże pan siada – polecił z westchnieniem policjant. – Rysiek, ściągnij panu bransolety.

Flegmatyczny uwolnił Emila z kajdanek i popchnął lekko w stronę krzesła.

– Co tu się dzieje? – ponowił pytanie Emil.

– Zaraz wszystkiego się pan dowie – uspokoił go inspektor. – Zostawcie nas samych – polecił podwładnym, którzy bez szemrania opuścili pokój.

Przez chwilę panowała cisza. Emil rozcierał nadgarstki i nie śmiał głośniej odetchnąć. Ale po pierwszym szoku jego umysł pracował gorączkowo. Właśnie do niego dotarło, że dał się podejść jak dziecko.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie jest zwyczajnym aresztantem? – zapytał Winkler.

– Skąd się pan wziął w Kaprun? – zrewanżował się Emil pytaniem.

– Straszny syf się rozpętał.

– Z tym zamachowcem w Alpach to jakaś mis-tyfikacja?

– Nie. Wszystko, co panu tam powiedziałem, jest w stu procentach prawdą.

– Dlaczego więc nie powiedział mi pan od razu, o co chodzi?

– A pojawiliby się pan wówczas ot tak w Warszawie? – roześmiał się inspektor.

– Z pewnością nie. Może gdyby Danka... – Emil zreflektował się po czasie i zamilkł.

– Spokojnie, pani Popiołek też jest pod naszą obserwacją – oznajmił mu Winkler. – Zapewne zaciekawi pana fakt, że dosłownie dzisiaj ktoś próbował ją zabić.

– Co takiego?! – ryknął Emil i poderwał się z krzesła.

– Usiądź grzecznie, bo będę musiał wezwać tych tępych osiłków, żeby nam dotrzyмали towarzystwa – ostrzegł go policjant.

– Przepraszam – wycedził Emil i usiadł na twardym krześle.

– Musisz zrozumieć, drogi panie milionerze, że wbrew temu, co o tym myślisz, próbuję uratować twoją dupę. Pewnie przypłacę to degradacją, ale nie potrafię spokojnie patrzeć, jak naiwny dupek wykarmiony homarami ot tak stacza się na samo dno. Wiesz, że sprawa Orzechowskiego i Wątorskiego jest wciąż otwarta, a ich przyjaciele z górnej półki żądają krwi i ofiar?

– Ale co ja niby mam z tym wspólnego?

– Wszystko. Prawdziwi przestępcy mają immunitety i być może powody, żeby wysłać za tobą kolejnego płatnego zabójcę. A jeśli i temu się nie uda, co właściwie jest wątpliwe, zrobią z ciebie kozła ofiarnego i idziesz siedzieć. Do końca świata.

– Za co?

– Za polityków, przyjacielu – roześmiał się Winkler.

– Mam pieniądze! – zachnął się Emil.

– Miałeś. A właściwie czas przeszły zacznie się od chwili, w której podpiszę protokół zatrzymania.

– A musisz?

– Muszę. – Winklerowi błysnęły oczy. – Ale kto powiedział, że muszę już w tej chwili? Może i jestem ubogim policjantem, który przypadkiem pojechał w Alpy na delegację, ale nadal nikt nas tu nie podsłuchuje. A szanowny pan bogacz właśnie w tej chwili poderwie się z krzesła i coś zniszczy.

– Po co? – Emil nie rozumiał.

– Żeby moi podwładni pomyśleli, że wsadzają cię na czterdzieści osiem godzin za jakąś

bzdurę. To da nam czas na dalsze ruchy, a ciebie ochroni przed kolejnym mordercą napuszczonym przez tych skurwysynów.

– A co z Danką?

– Zajmij się sobą – poradził życzliwie Winkler. – Napisz do swoich cwanych prawników, że wyjeżdżasz. I żeby ci przywieźli pieniądze w gotówce, bo będziesz ich bardzo potrzebował. Nie jestem w stanie załatwić ci statusu świadka koronnego. Nawet nie zamierzam próbować, bo wypadnę ze stołka.

Emil wstał i pomasował posiniaczony policzek. A potem z furią kopnął krzesło, które poleciało pod ścianę i potłukło szybę przeszklonej gabloty.

– No to się doigrałeś! – wrzasnął inspektor i nacisnął brzęczyk.

Badania ostatecznie rozstrzygnęły, że Danka nie ucierpiała w wypadku. Miała kilka otarć i siniaków, ale generalnie skończyło się na strachu. Spędziła noc na izbie przyjęć. Nie było to konieczne, ale ponieważ lekarz zorientował się, że nie mieszka w okolicy, po prostu pozwolił jej przenocować. Szczególnie że tej nocy ruch na izbie był wyjątkowo niewielki. Rano Danka zjadła rogalik, wypila kawę w szpitalnym bufecie i zamówiła taksówkę, która zawiozła ją do wypożyczalni samochodów. Tam odebrała samochód zastępczy. Gratulując sobie w duchu, że wykupiła autocasco wraz z assistance, wsiadła do srebrnej fiesty i pojechała wprost do wyszkowskiego komisariatu.

– Cieszę się, że wszystko w porządku – uśmiechnęła się na jej widok ta sama policjantka, która odwiedziła ją poprzedniego dnia w szpitalu. – Zapraszam po odbiór rzeczy. Trzeba będzie pokwitować. A potem proszę do mnie zajrzeć, bo jest jeszcze kilka spraw do omówienia. Będę w pokoju numer pięć.

Danka odebrała z magazynu pękniętą walizkę z ubraniami i torbę ze sprzętem fotograficznym. Tej drugiej nie zdjęła nawet z kontuaru, tylko otworzyła od razu i sprawdziła zawartość. Większość aparatów i obiektywów wyglądała dobrze, ale jeden, portretowy, miał soczewki pogruchotane w drobny mak. Okruchy szkła zaścielały czarną tkaninę przegrody.

– No dobra, ten dam radę odkupić – mruknęła. – Oby tylko inne działały jak należy.

Zasunęła suwak i ostrożnie podniosła bezcenną torbę. Walizkę potraktowała z mniejszym nabożeństwem, wypychając ją stopą na pokryty staromodnym linoleum korytarz komisariatu. Tam rozejrzała się uważnie, odnalazła pokój z numerem pięć i zapukała.

– Proszę! – usłyszała.

Weszła do środka i ośmielona uprzejmym uśmiechem poznanej w szpitalu policjantki, usiadła na drewnianym krześle przed biurkiem.

– Widzę, że odzyskała pani swoje rzeczy. Mam nadzieję, że są w dobrym stanie? – zagaiła funkcjonariuszka.

– Patrząc na to, co się stało z moim autem, to w całkiem niezłym. Miałam sporo szczęścia.

– Nie tylko z bagażami – dodała policjantka. – Niestety jak dotąd nasze śledztwo nie posunęło się za bardzo do przodu – dodała – ale w końcu nie minęła nawet doba. Szukamy wiśniowego nissana murano i oczywiście jego kierowcy. To niezbyt popularny model, a SUV to nie szpilka, więc pewnie niebawem gdzieś wypłynie. Będę panią co jakiś czas informować o postępach dochodzenia, ale na teraz to wszystko. Jest za to inna sprawa...

– Tak? – Danka zastrzygła uszami.

– Czy ma pani świadomość, że poszukuje pani warszawska policja?

– Mnie? – Danka zaskoczona uniosła brwi. – Jeśli chodzi o sprawę śmierci Elwiry...

znaczy Honoraty Orzechowskiej, to byłam przesłuchiwana w grudniu i powiedziano mi, że na razie więcej pytań do mnie nie mają – odparła zdziwiona.

– Nie posiadam więcej informacji oprócz tej, że musimy panią doprowadzić do właściwego komisariatu. To musi być coś nowego. Komunikat pojawił się dzisiaj rano.

– Bardzo dziwne. – Danka nerwowo przełknęła ślinę.

– Nie wiem, w co pani wdepnęła, ale w świetle ostatniego wypadku, czy raczej zamachu, czego jeszcze nie udało mi się udowodnić, to wszystko zaczyna wyglądać mocno podejrzanie.

– Jestem uczciwą... – oburzyła się Danka.

– Wiem – weszła jej w słowo policjantka. – To od razu widać. Pytanie, co teraz zrobimy. Bo coś zrobić trzeba.

– A jakie mam możliwości?

– Opcje są dwie. Albo zamknę panią w celi i odeślę jutro konwojem do Warszawy, albo zaraz zadzwonię do kolegów z komendy stołecznej i poinformuję ich, że właśnie zmierza pani w ich kierunku. Jak wraca pani do domu?

– Mam samochód zastępczy – mruknęła bez entuzjazmu Danką, nie do końca zadowolona z zaproponowanych rozwiązań. Noc w więzieniu byłaby ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Najbardziej marzyła o własnym łóżku.

– Świetnie. Zaraz spiszę numery rejestracyjne i skontaktuję się z Warszawą.

Nawet jeśli Dance przemknęło przez myśl, żeby wyjechać z Wyszkowa i spokojnie wrócić do własnego mieszkania, teraz z całą mocą sobie uprzytomniła, że za słowami miłej policjantki tkwiła zawołowana groźba.

Piętnaście minut później Danką włączyła się do ruchu na trasie S8 i pojechała w stronę Warszawy.

W komisariacie stawiała się o siedemnastej. Tym razem przyjęła ją niezbyt miła funkcjonariuszka i zaprowadziła do pokoju zwierzchnika. Danką weszła z ociąganiem. Już na wejściu ugięły się pod nią nogi. Pod ścianą stał Emil i bacznie jej się przyglądał.

– Cześć – powiedział, wyraźnie spięty.

– Danuta Popiołek? – Z głębi pokoju dobiegł męski głos. – Cieszę się, że pani do nas dotarła.

– A ja niekoniecznie – bąknęła zdeorientowana.

– Teraz to bez znaczenia – oświadczył Winkler i przeszedł do rzeczy. – Czy jest pani gotowa, by wyjechać z Polski na dłużej? Najlepiej zaraz.

Rozdział 7

Eee... – Maksymalnie zaskoczona Danka nie popisała się erudycją. Już sam fakt, że znalazła się w takim miejscu i że był tutaj także Emil, wystarczająco nią wstrząsnął. Do tego niezrozumiała propozycja nagłego wyjazdu z Polski sprawiła, że zwyczajnie zbaraniała. – Ale jak to? Tak zaraz?

– To dla waszego bezpieczeństwa. Tu chodzi o życie. Spotkanie z wiśniowym SUV-em niczego pani nie nauczyło?

– Nauczyło, ale nadal nic nie rozumiem. Nie zrobiłam nikomu niczego złego. Dlaczego ktoś miałby chcieć wyrzucić mi krzywdę? W końcu to mnie porwał Wątorski i to mnie chciał sprzedać do burdelu! – Zdenerwowana bezradnie spoglądała to na policjanta, to na Emila, szukając ratunku.

Nie uszło jej uwadze, że Emil wygląda koszmarnie. Niedogolony, rozczochrany, z posiniaczoną twarzą prezentował się okropnie. Czyżby wdał się w jakąś bójkę? Emil? Przecież to do niego niepodobne! Zawsze idealnie wypielęgnowany, sztywnie ubrany i zadbane? W przepoconej i pomiętej koszuli za nic nie przystawał do swojego zwykłego wizerunku. Nie takim go zapamiętała. No i co on, do ciężkiej cholery, tutaj robił?

– No proszę – powiedział z przekąsem Winkler. – Sama wspomniała pani o Wątorskim. A co z Orzechowskim i resztą? To grubsza afeta. Siedzą w tym koleisie z najwyższej półki. Zarówno biznesowej, jak i politycznej. Celebrytów też nie brakuje. Bez problemu wymienilibym na poczekaniu kilkunastu publicznie znanych popaprańców. Nie zdaje sobie pani sprawy, w co obydwójce wdepnęliście. Pedofilia i handel ludźmi to interes tak samo dochodowy jak handel narkotykami. Jeżeli komuś się wydaje, że niewolnic-two zniknęło z powierzchni ziemi wraz z wojną secesyjną, to jest głupi. Pan, panie Kastner, na własne oczy widział, jak się u nas zabawia tak zwana elita.

– Widziałem. I nie chcę tego pamiętać. – Czerwony z zażenowania Emil wstrząsnął się z odrazą na koszmarnie wspomnienie z klubu Czarnej Ewy, kiedy to licytując się jeden przez drugiego, mężczyźni z pierwszych stron gazet rozdzielali odurzone narkotykami dzieci.

– Otóż to! A zatem, droga pani... Jak się robi rozpierducha sięgająca najwyższych szczebli władzy, to głowy lecą. Dosłownie i w przenośni. Oni naprawdę mają wiele do stracenia. A niektórzy z nich nawet wszystko. Tacy ludzie nie cofną się przed niczym.

Danka wiele by dała, by móc w spokoju porozmawiać z Emilem, ale na to się nie zanosilo.

– To ta sprawa nadal trwa?

– Nadal? – Winkler pokiwał głową z politowaniem. – Szanowna pani, robię w tym fachu od dawna i na mój nos ona dopiero się rozkręca. A jak się wdepnie w takie gówna, to trzeba spierdalać gdzie pieprz rośnie i nie oglądać się za siebie. No, chyba że ktoś lubi się w gównie taplać.

– Ja nie lubię – bąknęła Danką.

– No właśnie. Jutro w południe wylatujecie z Polski. – Inspektor zmienił temat. – Pani nie ma paszportu, dlatego waszym miejscem docelowym będzie Grecja. Na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy was śledzić, polecicie czarterem z Modlina, jak zwykli turyści. Pasuje? – nadawał z szybkością karabinu maszynowego. – Teraz pojedzie pani do domu się spakować. A jutro punktualnie o jedenastej w hali odlotów! Bagaż podręczny i maksymalnie jedna walizka. Tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Pan Kastner weźmie ze sobą pieniądze, więc resztę kupicie na

miejscu. Komórka, laptop i inne badziewie, które można w jakikolwiek sposób namierzyć, zostają w domu. A lodówkę najlepiej posprzątać i wyłączyć.

– A niech to! – Kobieta wetknęła do ust palec z boleśnie nadłamanym paznokciem.

Pod warszawskim komisariatem tkwiła przynajmniej od godziny. Była głodna i marzyła o toalecie, lecz obawiała się, że gdy tylko opuści strategiczne miejsce w samochodzie zaparkowanym naprzeciwko głównego wejścia, Danka Popiołek opuści gmach, a ona straci jedyny trop, który będzie w stanie doprowadzić ją do celu. Czyli wprost do Emila Kastnera. Była pewna, że perfekcyjnie zaplanowana akcja z wypadkiem samochodowym sprawi, że facet wychynie z nory i pojawi się albo w szpitalu, żeby odwiedzić dziewczynę, ewentualnie w kostnicy, żeby zidentyfikować jej zwłoki. I o to chodziło. Ale plan nie wypalił. Popiołek wyszła z wypadku bez szwanku.

Kobieta w aucie była wprawdzie amatorką, za to nie brakowało jej determinacji. Oraz inteligencji. Teraz, na potrzeby przedsięwzięcia, wyciągnęła nauki z najlepszych filmów szpiegowskich. Z trudem ignorując zapach świeżo przyrządzonych hot dogów dochodzący z pobliskiego sklepu, dzielnie tkwiła na posterunku. Cierpliwość zaprocentowała: Danuta Popiołek nareszcie opuściła paskudne gmaszysko i wsiadła do srebrnej fiesty.

– No wreszcie. A Kastner? – Kobieta, rozczarowana obrotem sprawy, uruchomiła samochód i trzymając bezpieczny dystans, podążyła za fies-tą, licząc, że Popiołek w końcu doprowadzi ją do Emila.

– Cholera! Gdzie jedziesz, głupia dziwko? – jęknęła, widząc, że Danka, tuż po tym, jak zatrzymała się na chwilę przy bankomacie, by wypłacić gotówkę, skręciła w prawo, w kierunku Bemowa.

Wiśniowy nissan murano stał tymczasem bezpiecznie zaparkowany w garażu na pewnej opuszczonej podmiejskiej posesji. Charakterystyczny samochód, w dodatku z uszkodzonym tylnym błotnikiem, na ulicy mógł za bardzo rzucać się w oczy, zatem trzeba było wynająć za pomocą aplikacji popularne od niedawna auto na minuty i cieszyć się całkowitą anonimowością.

Niestety nie przewidziała dwóch rzeczy: że może zabraknąć jej paliwa i że wysiadzie klimatyzacja. Choć do letnich upałów było jeszcze daleko, nie dawało się oddychać. Przeczesała włosy palcami i spięła je w skromny kucyk zwykłą gumką recepturką. Tego dnia zrezygnowała z makijażu, choć zazwyczaj musiała wyglądać perfekcyjnie. W jej fachu należało prezentować się efektownie, a ona była w tym świetna. Jednak teraz wizerunek szarej myszy zdecydowanie działał na korzyść.

Nie miała możliwości zatankować ani zmienić samochodu na inny. I nie mogła zgubić Danki, mimo że, tak jak przypuszczała, dziewczyna zapewne zmierzała do swojego domu. Na wszelki wypadek postanowiła jednak nie spuszczać jej z oka. Wolą się upewnić.

Przez nikogo niezauważona zatrzymała się tuż pod nowym blokiem na Bemowie. Fiesta właśnie znikła za segmentową bramą wjazdową prowadzącą do podziemnego garażu, co mogło świadczyć o tym, że tego dnia jej właścicielka już nigdzie się nie wybiera. Nadchodził wieczór i wypadało wreszcie coś zjeść.

Nieduża pizzeria w położonym tuż obok budynku wydała się jej idealnym punktem obserwacyjnym. No i była tam toaleta. Na dłuższą metę śledzenie Danki nastroczało trudności. Nic nie wskazywało na to, że obiekt zauważył ogon, lecz nieustannie się wymykał. Przy tym niedawna likwidacja znanego detektywa wydała się łatwizną.

– Hawajską poproszę. – Złożyła zamówienie z wyraźnym wschodnim akcentem i dmuchnęła w swoją równiutko przyciętą blond grzywkę.

Była głodna, a czekała ją noc w samochodzie.

Zrozpaczona Danka obrzuciła spojrzeniem swoje cztery kąty. Tak cieszyła się z własnego gniazdko, a teraz musiała je opuścić. Była pewna, że to już koniec tamtej kryminalnej draki, a tu wcale się na to nie zanosilo. Znow się bała, jak wtedy, gdy zadzwoniła do niej przerażona Elwira. Teraz na szczęście nikt nie próbował forsować drzwi do jej mieszkania, a ona nie musiała umykać przez balkon. Osiedle było co prawda monitorowane, ale dla zawodowego przestępcy wyłączenie monitoringu czy też zakłócenie obrazu z kamer nie stanowiło problemu. Pocieszało ją tylko to, że gdyby policja faktycznie obawiała się o jej życie, nie puszczono by jej na noc do domu.

Nie miała pojęcia, że całkiem niedaleko parkuje nieoznakowany radiowóz. Mimo że policja nie miała powodu, by jej nie wierzyć, uznano, że ostrożności nigdy za wiele.

Danka sprawdziła wszystkie okna i szczelnie zaciągnęła żaluzje. Zgodnie z poleceniem Winklera spakowała jedynie trochę bielizny i kosmetyków. Sprzęt fotograficzny zawinęła w kilka letnich fatalaszków, dorzuciła tenisówki i klapki. A ponieważ w poręcznej walizce kabinowej zostało trochę wolnego miejsca, wylogowała się z sieci i wbrew zaleceniom upchnęła jeszcze owinięty w gruby ręcznik laptop. Nie miała pojęcia, co szykuje jej los, a komputer mógł się przydać. Choćby tylko do zgrywania zdjęć.

Rozbiegane myśli nie pozwalały się skupić, do tego co chwila dzwonił Marek, ale nie odbierała. Na rozmowę z byłym kochankiem nie miała najmniejszej ochoty. Nikomu nie powinna zdradzać dalszych planów, a w przypadku Marka nie mogła za to ręczyć. Po pierwsze, zbyt dobrze ją znał, a po drugie, Danka kompletnie nie potrafiła kłamać. Poza tym cóż on niby mógł jej powiedzieć?

Ale z drugiej strony po co wydzwaniał jak opętany?

W nocy znow śnił się jej wypadek. Gdy tylko zamykała oczy, miała wrażenie, że ponownie siedzi w koziołkującym samochodzie.

– Ale że Marian?! Marian Motyka?! Serio tak się teraz nazywam? Pogięło was? – Emil nie chciał uwierzyć w swoją nową tożsamość.

– Niech pan nie wydziwia. Marian w Grecji będzie brzmiało jak trzeba – roześmiał się policjant i podsunął mu jakiś dokument do podpisania. – Pana prawnicy już czekają w pokoju przesłuchań, proszę do nich iść. Przynieśli gotówkę i jakieś pełnomocnictwa, które trzeba podpisać. Robi się późno, a wyjazd o dziesiątej. Kierunek Modlin. Boska Kefalonia czeka.

Emil czuł się nadzwyczaj kiepsko. Czasu w areszcie nie zaliczał do przyjemności, a to była cholernie długa noc. Chociaż cela wyglądała schludnie, a prycza okazała się nawet wygodna, brak okien przyprawiał o klaustrofobię, a świecące się przez całą dobę ostre światło lekko mrugającej jarzeniówki nie pozwalało na normalny sen. Nie można było się zorientować, kiedy kończy się noc, a zaczyna dzień. Mimo że wokół było cicho, każdy, nawet najmniejszy dźwięk niósł się echem po pus-tych korytarzach.

Z żalem myślał o butelce wódki. Wypiłby nawet ciepłą, byleby tylko zmrużyć oko i w spokoju przespać choć kilka godzin. Chciał zadzwonić po strażnika, żeby pod pretekstem wizyty w toalecie ciut rozprostować kości i zaczerpnąć powietrza. Już naciskał dzwonek, gdy ogłoszono pobudkę, zabrano z celi materac i koc. W zamian pojawiła się koszmarnie słodka herbata i nie pierwszej świeżości kromka chleba z pasztetową.

– Niestety, niedawne cięcia budżetowe. Dawniej wikt był trochę lepszy. – W drzwiach

celi stanął Winkler. Uśmiechał się pod nosem.

– Ale na cukier dostaliście chyba nadpro-gramowy kontyngent. – Emil nie podarował sobie komentarza, jednocześnie marząc o gorzkiej kawie z Orlenu.

Rano Danka wzięła kąpiel i dokończyła pakowanie. Wyjęła z lodówki wszystko, co mogło się zepsuć, i wyrzuciła na śmietnik. Po drodze wyniosła na klatkę schodową dwie paprotki. U niej by uschły. Wezwała taksówkę, po czym wybrała numer Marka. Mimo wszystko była ciekawa, czego od niej chciał i czy w ogóle odbierze.

Po kilku sygnałach po drugiej stronie odezwał się dziecięcy głosik.

– Halo? To Pawełek czy Alutka? – zapytała, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie chichot oraz odgłosy bajki w telewizji. – Halo, tu ciocia Danusia, czy jest tatuś?

– Ciocia Alusia? Nie mam takiej cioci.

– Danusia. Ta od prezentów mikołajkowych. Alutka, dostałaś ode mnie domek dla lalek, pa-miętasz?

– Domek dostałam od Mikołaja! – uściśliła kategorycznie dziewczynka. – Był prawdziwy i miał brodę.

– Alutka... – Danka zaczęła tracić cierpliwość. – Jest tatuś?

– Tatuś Świętego Mikołaja?

– Nie, twój. Podaj mu telefon, proszę.

– Nie. Mama mówi, że nie rozmawiamy z obcymi.

Sądząc po odgłosach, mała odłożyła telefon i powróciła do zabawy.

Danka westchnęła i zakończyła połączenie. W tej samej chwili Marek definitywnie przestał dla niej istnieć. W duchu poprzysięgła sobie, że po raz kolejny nie pozwoli się zranić i potraktować jak przedmiot.

Wyjęła kartę SIM z telefonu i schowała do szuflady komódki w przedpokoju, aparat rozłożyła na dwie części i zostawiła na blacie. Chociaż czuła się bez smartfona jak bez ręki, w tym przypadku zastosowała się ściśle do polecenia policjanta. Nie miała zamiaru narażać ani Emila, ani siebie z tak próżnego powodu jak chęć przeglądania mediów społecznościowych w drodze na lotnisko.

Taksówka właśnie zajechała pod blok.

Danka starannie zamknęła drzwi i na wszelki wypadek zostawiła klucze u sąsiadki, mówiąc, że wyjeżdża na nieco dłużej. Wiele ją kosztowało nieoglądanie się za siebie. Z tego, co jej powiedziano, jej nieobecność mogła się przedłużyć. Na wszelki wypadek wołała nie pytać, czy o kilka miesięcy, czy też o kilka lat.

Nigdy w życiu nie słyszała o żadnej Kefalonii, dopiero z internetu dowiedziała się, że to największa z Wysp Jońskich. Na zdjęciach wyglądała imponująco, a Emil, skoro jak twierdził, zwiedził cały świat, zapewne był tam już wielokrotnie. Danka postanowiła, że wypyta go o to dokładnie, i mimo ogromnego stresu poczuła podniecenie. Perspektywa lotu samolotem nieco ją przerażała, ale zaliczyła już kilka lotów śmigłowcem, a jedno i drugie jakimś cudem utrzymywało się w powietrzu, nie mogło się więc to różnić aż tak bardzo.

Gorzej rzecz się miała z punktu widzenia Emila. Nigdy w życiu nigdzie nie leciał czarterowym klekotem pełnym spoconych i niejednokrotnie pijanych pasażerów. Przywykł do zupełnie innych standardów podróżowania, nawet na krótkich dystansach. W sektorze dla VIP-ów czuł się jak u siebie, za to teraz, zmierzając do Modlina na tylnym siedzeniu zakratowanego radiowozu, miał wrażenie, jakby ktoś wyrwał go z korzeniami z bajki i bez znieczulenia przeszczepił w koszmar. Dla niego absolutnie naturalnym środkiem transportu była

limuzyna z kierowcą, podobnie jak prywatny śmigłowiec, samolot odrzutowy tudzież kilka, większych i mniejszych, acz jednakowo ekskluzywnych jednostek pływających. A nie policyjna blaszanka przeznaczona do transportu przestępców.

– Słucham! – rzucił opryskliwie do telefonu.

Dzwonił Maks Nowotarski, jego prawa ręka oraz główny pełnomocnik, któremu kilka godzin wcześniej Emil tymczasowo przekazał całkowitą władzę nad swoim imperium. Było to konieczne ze względu na interesy. Nikt nie umiał powiedzieć, jak długo może potrwać cała sprawa i kiedy oboje z Danką będą mogli bezpiecznie wrócić do Polski.

– Cześć, Emil – przywitał się Maks. – I jak się z tym czujesz? Gadałem z prawnikami i...

– A niby jak mam się czuć? Jedyna pociecha, że wszystko w twoich rękach – odburknął Emil.

– Nie martw się, zepnę wszystko do kupy. I będę milczał jak grób. Czy dostarczono ci gotówkę? Na wszelki wypadek kazałem zorganizować dwie trzecie w euro, a resztę w dolarach. W sumie równowartość trzystu tysięcy euro, w różnych nominałach. To musi wystarczyć na jakiś czas.

– Widziałem. Dzięki, stary. Straszne uczucie, nie móc korzystać z własnych pieniędzy. Nic nie zrobiłem, a muszę ukrywać się jak złodziej.

– Nie mów nic więcej! – przerwał mu Maks. – Im mniej wiem, tym lepiej. Trzymaj się i śpij spokojnie. Interesy idą dobrze. Sytuacja jest stabilna, ja trzymam rękę na pulsie. Jak zwykle zresztą.

Emil zakończył połączenie. A gdy wysiadł z radiowozu, posłusznie oddał telefon eskortującemu go policjantowi. Tylko pod takim warunkiem Winkler pozwolił mu na załatwienie ostatnich biznesowych spraw.

– Cholera, ale miałam nosa! – na głos pogratulowała sobie intuicji i na widok taksówkarza pakującego walizki Danki do bagażnika uruchomiła silnik samochodu na minuty. Nawet nie zadała sobie trudu, by obliczyć, ile będzie ją kosztował krótkoterminowy najem. Zwykle taka usługa opłacała się na krótki czas, a u niej licznik bił już od wielu godzin.

Szczęśliwie w środku nocy, gdy światła w mieszkaniu Popiołek zgasły, podjechała na stację benzynową, gdzie zatankowała do pełna, kupiła kanapkę, skorzystała z toalety i powróciła na swój posterunek. Teraz rozbudziła się błyskawicznie.

Była pewna, że taksówkarz nie zauważy nawet, że ktoś go śledzi.

Popiołek, pakująca walizki do taksówki, zapewne wybierała się gdzieś dalej. Inaczej wzięłaby swoje auto zastępcze.

Kobieta miała niemal pewność, że pojedą na Dworzec Centralny lub na Okęcie, tymczasem taksówka wyjechała z miasta, minęła Łomianki i obrała kurs na Gdańsk. Wątpiła, żeby Danką Popiołek chciała jechać nad morze taksówką. Jedynym logicznym wytłumaczeniem było, że jadą na lotnisko w Modlinie. Na wysokości Płońska miała już pewność, że się nie pomyliła. Przy zjeździe z dwupasmówki aż zatarła ręce z uciechy.

– A tu cię mam! – powiedziała na głos i zaparkowała przed halą odlotów.

Miała na sobie szarą, nierzucającą się w oczy bluzę, dzięki której mogła skutecznie wtopić się w tłum. Przed wyjściem z auta podpięła grzywkę, przyliżała wystające spod gumki kosmyki i wsadziła na nos okulary przeciwsłoneczne. Zwykle nosiła niebotyczne szpilki, ale tym razem postawiła na zwykłe trampki.

Ciekawa rozwoju wydarzeń, ruszyła za Danką.

Na widok Emila Kastnera czekającego w hali odlotów zadrżała z podniecenia niczym pies

myśliwski. Wielki pan milioner najpewniej przyszedł się pożegnać. Mimo że nie wyglądał najlepiej, nadal przykuwał uwagę i próżno było szukać kobiety, która nie zawiesiłaby na nim przynajmniej przelotnego spojrzenia. I to niezależnie od wieku.

Emil uśmiechnął się szeroko i ujął Dankę pod rękę. Razem wyglądali jak para lecąca na urlop, co wydało się obserwatorce nieco dziwne.

Kastner i zwykła wycieczka?

Kto choć raz się z nim zetknął, wiedział doskonale, że czarterowy lot z biurem podróży absolutnie nie mieści się w jego standardach. Tajemnicą poliszynela było, że facet śpi na pieniądzach i takie wakacje to coś grubo poniżej upodobań. Wy tłumaczenie mogło być tylko jedno. Danka Popiołek właśnie leciała na wakacje, a Kastner tylko ją odprowadzał.

Po wyjściu z terminalu boski Emilek nie pożyje zbyt długo. Kobieta uśmiechnęła się pod nosem na myśl o nowiutkim browningu bezpiecznie czekającym na swoją kolej w samochodowym schowku.

Błyskawicznie podjęła decyzję. Szybko zbliżyła się do obserwowanej pary i stanąwszy za nią w długiej kolejce do stanowiska odlotów, pilnie nadstawiała ucha. W obecnym anturazie była nie do poznania. Nawet gdyby Kastner z jakiegoś powodu się odwrócił, z pewnością by jej nie rozpoznał.

– Grecja! Jestem strasznie ciekawa – ekscytowała się Danką.

– Ciebie wszystko ciekawi – zauważył beznamiętnie Emil.

– Nie wierzę, że nigdy tam nie byłeś. Widziałam na zdjęciach w internecie, że tam jest obłędnie.

– Byłem w Grecji wiele razy, ale nie na Kefalonii. Wolałem Kos, gdzie mam dwa kompleksy hotelowe, oraz prywatną wyspę mojego kontrahenta. Myślę, że wszystkie greckie wyspy są do siebie podobne.

– A umiesz coś powiedzieć po grecku? – Danką nie dawała za wygraną. – Na przykład „dzień dobry”?

– Jasne. Dzień dobry to *kalimera*, ale tylko pod warunkiem, że witasz się rano. Po południu mówisz *kalispera*. Znam jeszcze *ela re malaka* – dodał ze złośliwym błyskiem w oku.

– *Ela re malaka*? – powtórzyła głośno, a Emil roześmiał się, zobaczywszy, że Grek przed nimi odwrócił się gwałtownie i obrzucił dziewczynę oburzonym spojrzeniem.

– Nie radzę ci tego używać na powitanie, zwłaszcza w niewielkiej wiosce, jaką bez wątpienia jest to całe Katelios. Ale jak już będziemy na miejscu, nauczymy się jakichś przyzwoitszych słów. W końcu pewnie posiedzimy tam parę ładnych miesięcy – powiedział z rozbawieniem Emil.

Ostatnia kwestia sprawiła, że stojąca za nimi kobieta zamarła. W tej samej chwili Kastner i Popiołek podeszli do stanowiska i zajęli się nadaniem bagażu.

– *Bljad’!* – blondynka zmeła w ustach soczyste przekleństwo i wycofała się z kolejki, przechodząc pod taśmą.

A była już tak blisko! Dotąd sądziła, że chodzi o wczasy, ale nie! Kastner musiał mieć jakieś kłopoty, znacznie większe niż te, które ona próbowała mu zafundować, i właśnie próbował się ulotnić z Polski w ten nietypowy dla siebie sposób! To wydawało się całkowicie niedorzeczne. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Przecież człowiek z takimi bogactwami, dysponujący nieograniczonymi możliwościami podróżowania, mógł zwyczajnie wsiąść w prywatny samolot i zaszyć się w jednej z wielu posiadłości, które zapewne posiada. A on sobie leciał czarterem do Grecji.

Wściekła jak osa podeszła do stanowiska informacji, żeby ustalić daty wszystkich lotów na Kefalonię w najbliższych tygodniach. Gdy wyszła z terminalu, poczuła, że wraca jej zdolność

logicznego myślenia, a kipiącą wściekłość zastępuje chłodne, racjonalne myślenie. Zanim doszła do wynajętego samochodu, w jej głowie wykrystalizował się nowy plan.

Rozdział 8

Trochę się boję – wyznała Danka, ale wiedzioną właściwą sobie ciekawością świata, skwapliwie zajęła miejsce przy oknie.

Zdegustowany Emil usiadł na sąsiednim. Fotel był wąski i twardy, można było zapomnieć o wygodnym ułożeniu nóg. A na dokładkę po jego drugiej stronie usadowiła się tęga matrona, bez pardonu zawłaszczając część jego i tak już wąskiej przestrzeni. Emil poczuł się jak sardynka w puszcze i na ile mógł, przysunął się do Danki.

– Nie ma się czego bać. Odrobinę potrząsie przed startem i tyle – bagatelizował.

Przejęta dziewczyna w skupieniu wysłuchiwała wykładu personelu pokładowego o postępowaniu w razie awarii. Jako jedna z nielicznych uważnie patrzyła na stewardesę demonstrującą działanie kamizelki ratunkowej.

Mimo że był dopiero maj, samolot pękał w szwach. Część pasażerów zdążyła już wypić na lotnisku kilka piw i wielu zachowywało się zbyt swobodnie.

– Cholera – mruknął niezadowolony Emil. – Zupełnie nie pomyślałem o jedzeniu. Na takich trasach z pewnością nie da się zjeść niczego na poziomie. Strach wziąć tutaj cokolwiek do ust.

– Nic nie szkodzi. Winkler kazał opróżnić lodówkę, więc zrobiłam kanapki na drogę. Z chudziuteńką polędwicą łososiową i sałatą. Chcesz? Mam je w podręcznym.

– Na razie dziękuję, ale potem chętnie. Przez trzy godziny zgłodnieję na pewno. Wierz mi, samolotowy catering to nic ciekawego, nawet w klasie biznes. Jak widzę kanapkę z podejrzenie długim terminem przydatności do spożycia, to od razu przestaję być głodny.

Emil z zaskoczeniem zauważył, że odkąd wsiedli do samolotu, ani razu nie pomyślał o firmie i o problemach. Sama obecność oraz spontaniczne zachowanie Danki sprawiły, że na chwilę zupełnie zapomniał, w jakie kłopoty oboje się wpakowali. Ktoś dybał na ich życie, a ona zachowywała się jak w obliczu największej życiowej przygody. W trakcie lotu zasypywała go gradem pytań – o Grecję, tamtejsze atrakcje i kulinaria. Z uznaniem odnotował, że chyba na dobre przyswoiła jego dietetyczne nauki i skutecznie przestawiła się na zdrowe jedzenie. I po raz kolejny stwierdził, że jego towarzyszka potrafi cieszyć się życiem w każdej sytuacji. Nawet w tak dziwacznej i poważnej jak obecna.

– Patrz! To już chyba ta wyspa! – Podekscytowana przytknęła policzek do małego owalnego okienka. – Ale super!

Niewielki kawałek lądu, otoczony białymi obłokami, powiększał się z każdą chwilą. Danka widziała już wyraźnie wysokie klify i coraz bardziej lazurową wodę w zatokach, a także zielone płaszczyzny poprzecinane jasnymi wstążkami dróg.

– To gaje oliwne. – Emil spojrzał jej przez ramię.

Danka podświadomie spodziewała się zapachu perfum, jakie wcześniej zawsze od niego czuła, ale ku jej zdziwieniu mężczyzna nie pachniał najlepiej. Przypomniała sobie, że spędził noc w areszcie i prawdopodobnie ma na sobie wczorajszą koszulkę. Zamiast jednak zaprzątać sobie tym głowę, ponownie przylepiła nos do okna. Ziemia była już blisko.

– Jesteśmy przy samym urwisku! – powiedziała, patrząc z przerażeniem na wąski pas trawy oddzielający samolot od klifu.

– Spokojnie, to tylko takie wrażenie. Wszystko będzie dobrze.

Pilot płynnie posadził maszynę na płycie, a Danka momentalnie zapomniała o strachu. Pełna emocji, ledwie zdołała usiedzieć w fotelu, ale posłusznie odczekała, aż zgaśnie lampka

i będzie można odpiąć pas. W filmach widywała wielkie lotniska i mrowie wszelkiego sprzętu dookoła samolotów. Takie miejsca kojarzyły jej się z dużym ruchem i pośpiechem personelu naziemnego. Jednak na międzynarodowym lotnisku nieopodal stolicy wyspy, Argostoli, było kompletnie pusto. Jak okiem sięgnąć ani jednego samolotu, poza tym, którym właśnie przylecieli. Przez płytę podjechały jedynie schody dostawione chwilę później do kadłuba.

Wysiedli na nagrzaną od słońca płytę lotniska. Emil odetchnął z wyraźną ulgą, zadowolony, że wreszcie opuścił duszne wnętrza i odkleił się od spoconej sąsiadki. Danką natomiast całą sobą chłonęła nowe doznania. Z pewnym niepokojem, czy aby na pewno odzyska swoją własność, odprowadziła wzrokiem śmieszna niby-ciuchciec ciągnącą za sobą kontenery z bagażami.

– I co teraz? – zapytała.

– Nic. Idziemy po twój główny bagaż. – Emil uśmiechnął się i mocniej ścisnął uchwyt czarnej walizeczki, w której znajdowały się fundusze niezbędne do przeżycia na Kefalonii. – Wziąć twój podręczny?

– Nie, ma przecież kółka. To dokąd?

Do pobliskiego terminalu udali się pieszo. Emil doświadczał czegoś podobnego po raz pierwszy w życiu. Zwykle na dużych lotniskach przechodził przez rękaw, a na małych wsiadał wprost do podstawionej limuzyny.

Zafrapowana Danką wpatrywała się w kręcący się jak karuzela taśmociąg, na którym po chwili pojawiła się cała masa toreb i walizek.

– Patrz! One wszystkie są takie same, albo szare, albo czarne. Jak ja mam znaleźć swoją?

– Spokojnie. Każdy pilnuje własnej. Niektórzy znaczą bagaże czymś szczególnym, a jak to nie pomoże, to tutaj masz przecież wszystkie namiary. – Emil oderwał od podręcznej walizeczki specjalną samoprzylepną banderolę i podał ją Dance. – Widzisz? Tu jest wszystko, co trzeba. Bagaż nie może sobie zginąć ot tak.

Danka porównała tę banderolę ze swoją.

– Rzeczywiście – potwierdziła po chwili.

– Czy to nie jest twoja? – Emil wskazał na taśmę bagażową. W tej samej chwili gwałtownie pchnięty przez kogoś z tyłu stracił równowagę i byłby się przewrócił, gdyby Danką go nie podtrzymała. – Co jest?

Na podłodze leżał blady mężczyzna i trzymał się za serce.

– Pomocy! On chyba ma zawał! *Help! Emergency! Heart attack!* – wrzasnął na całe gardło Emil.

– Odsuń się! – Danką zauważyła, że jej towarzysz nie bardzo wie, co robić. – W Bonusie byłam najlepsza z pierwszej pomocy – wyjaśniła i wprawdzie przystąpiła do akcji.

Pomoc przybyła po kilku minutach. Gapie, którzy zdążyli nawet nakręcić filmy, już się rozeszli.

– Dobra. Bierzymy walizki i spadamy stąd. Nic tu po nas. – Emil dał hasło do odwrotu. Hala zaczęła pustoszeć.

– Jak dostaniemy się do tego miasteczka? Znow zapomniałam, jak się nazywa... – pożałowała Danką, podnosząc przewróconą walizkę.

– Katelios. Pojedziemy taksówką. Mam nadzieję, że są tu jakieś – odparł. – Zaczekaj tutaj, idę do toalety. Zaraz wracam.

Pomieszczenie cuchnęło środkiem do dezynfekcji, ale w zasięgu wzroku nie miał lepszego miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie i bez świadków otworzyć walizkę z pieniędzmi. Małym palcem uchylił z odrazą liche drzwi kabiny i stopą trącił klapę deski sedesowej. Zamknęła się z hukiem. Postawił na niej bagaż i rozsunął suwak.

– Kurwa jego mać! – wycedził z wściekłością.

Krew odpłynęła mu z twarzy. Wewnątrz zamiast trzystu tysięcy euro bezpiecznie spoczywały trzy butelki wódki wyborowej, starannie owinięte typowo urlopowymi ciuchami jakiegoś wczasowicza.

Emil zamrugał trzykrotnie i na wszelki wypadek uszczypnął się w nogę. Aż wreszcie do niego dotarło, że to nie jego walizka, a całe pieniądze przeznaczone na pobyt w Grecji właśnie przypadkiem trafiły w czyjeś łapy.

– Jasna cholera!

Szybko zasunął suwak. Walizka była identyczna jak ta, którą otrzymał od prawników. Zwykła czarna kabinówka, jaką miewał mniej więcej co trzeci pasażer. Sprawdził uchwyty, lecz próżno było szukać banderoli. Właściciel musiał ją oderwać. Podobnie jak on.

– Danka! Nie widziałas mojej walizki?! – Wypadł z toalety.

– Nie rozumiem? – zdziwiła się. – To nie ta, którą trzymasz?

– No właśnie nie! – wrzasnął. – W tym zamieszaniu ktoś musiał się pomylić i zabrał moją! -Kurwa!

Zdenerwowany zaczął biegać po niewielkiej hali i zaglądać pod wszystkie ławki. Nie pominął nawet koszy na śmieci.

– Jasna cholera. Wygląda na to, że ktoś nas okradł – powiedział w końcu niezbyt odkrywczco.

– Nie denerwuj się. To na pewno pomyłka. Może odda? – stwierdziła Danka naiwnie.

– Jasne! Już widzę, jak ktoś zwraca nieoznaczoną walizkę pełną kasy. Nie pojmujesz, że mamy całkiem przerabane?

Zawiadomieni policjanci i funkcjonariusze służby ochrony lotniska także bezradnie rozłożyli ręce. Pół godziny później Emil i Danka zostali zaprowadzeni do znajdującego się na miejscu komisariatu w celu złożenia zeznań. Za biurkiem siedział zażywny, czarnowłosy policjant, który nieśpiesznie rozprostowywał leżący przed nim nieco pognieciony formularz.

– Można trochę szybciej? – zapytał po angielsku Emil, poirytowany ślimaczym tempem działania służb. – Ukradziono mi wszystkie pieniądze, a pan sobie tak gładzi tę kartkę? Sprawdźcie monitoring! Przecież złodziej ucieknie i nigdy go nie znajdziecie!

– Spokojnie, panie... – Policjant zajrzał do nowego dowodu Emila i zmarszczył brwi. – ...panie Motyka.

Emil aż uniósł nozdrza, ale ostatecznie się opanował. Nowe personalia irytowały go wyjątkowo i źle działały na jego psychikę. Po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg i boi się o swoje finanse. Na krawędzi paniki zareagował histerycznie.

– Kiedy odzyskam pieniądze?! Ten facet musiał podróżować tym samym lotem! – niemal wrzasnął. – Nic nie robicie, a czas ucieka. Złodziej też!

– To wyspa, daleko nie ucieknie – odparł flegmatycznie funkcjonariusz. – No dobrze. Potrzebuję pana numer telefonu i adres na Kefalonii.

– Nie mam ani jednego, ani drugiego.

Gdy wypowiedział to na głos, do świadomości Emila dotarło, w jak bardzo żalonym położeniu się znalazł.

– Jedziemy do miasteczka... Eee... – umilkła Danka, uświadomiwszy sobie z zażenowaniem, że znów zapomniała nazwy.

– Katelios – oznajmił Emil. – Tam mieliśmy zamiar coś wynająć. Tylko jak mamy to zrobić, skoro ktoś zabrał wszystkie nasze pieniądze? Czy możecie wreszcie sprawdzić ten cholerny monitoring?

– Wszystko w swoim czasie. – Policjant był niewzruszony. – Skoro nie ma pan adresu ani

numeru telefonu, proszę do mnie zadzwonić, gdy już będzie pan je miał. A teraz proszę podpisać zeznanie. Z mojej strony to już wszystko.

– Dziękujemy – powiedziała Danka i uprzedzając kolejny wybuch Emila, pociągnęła go za rękę do wyjścia.

– Opanuj się! – zrugła go, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi posterunku i stanęli przed halą przylotów. Choć po angielsku знаła zaledwie kilka słów, z tonu i gestykulacji wywnioskowała, że Emil nie był zbyt uprzejmy. – Opieprzyłś faceta i myślisz, że to ci w czymś pomoże?

– Nam pomoże, a nie mnie! – wyszczał z naciskiem na pierwsze słowo. – Tkwiemy w tym razem i właśnie straciliśmy całą kasę. Krótko mówiąc, jes-teśmy w czarnej dupie! Jak mam być spokojny?

– Nie taką całą – powiedziała cicho. – Ja mam trochę gotówki. Na początek wystarczy. Na razie musimy się zastanowić, jak dotrzeć do yyy... miasteczka.

– No jak to jak? Weźmiemy taksówkę.

– A w życiu! Musimy oszczędzać! – zachnęła się Danka, zła na jego bezmyślność i na siebie, że nie może zapamiętać nazwy miejscowości.

– Ile masz tych pieniędzy? – Emil skapitulował.

Spojrzała uważnie. Wyglądał na szczerze zmartwionego. Nie pytał z ciekawości, zastanawiał się, na jak długo wystarczy im środków.

– Będzie na wynajęcie pokoju i jedzenie do czasu, aż znajdziemy pracę – odparła wymijająco i pociągnęła walizkę w stronę stojących na parkingu autokarów.

Z ich wnętrz wysypały się właśnie grupy mówiących po polsku turystów. Na wolne miejsca czekali już kolejni podróżni, stojący wokół pojazdów.

– Zmiana turnusu – skostatował Emil.

– No to pojedziemy z nimi.

Danka przyspieszyła, tocząc dużą szarą walizkę na kółkach. Jej kabinówkę przejął Emil. Przed jednym z autobusów stała rezydentka jakiegoś biura podróży i nawoływała pasażerów jadących do Katelios. Na tabliczce umieszczonej za przednią szybą widniał napis: Hotel Paradiso.

– Może zapytamy, czy nas wezmą za opłatą? – zapytał Emil.

– Chyba ci rozum odjęło! – warknęła Danka.

Podeszła do rezydentki i uśmiechnęła się serdecznie.

– *Kalimera!* Czy to do hotelu Paradiso? – Postarała się, by jej głos brzmiał entuzjastycznie. – Miejsca są numerowane?

– Nie. Proszę wsiadać. Nie mamy kompletu, w końcu to jeszcze nie sezon, więc pełna dowolność. Bagaże proszę przekazać do luku.

Danka wykonała polecenie i wróciła do Emila. Sprawiał wrażenie kogoś, kto po raz pierwszy zobaczył prawdziwy świat.

– Rusz się! – rzuciła przez ramię.

Uśmiechnęła się szeroko do rezydentki i wskoczyła po stopniach do autokaru. Przemaszerowała przez całe wnętrze i zajęła miejsce z tyłu, z nadzieją, że tam będzie mniej rzucać się w oczy.

– Niezły z ciebie numer – wyszeptał Emil, siadając obok.

– Takie jest życie – odparła. – Jak się nie ma kasy, to trzeba kombinować.

Wkrótce okazało się, że pierwotny pomysł wzięcia taksówki był jeszcze gorszy, niż się z pozoru zdawało, a taksometr pewnie kręciłby się jak szalony. Chociaż miasteczko znajdowało się niespełna trzydzieści kilometrów od lotniska, jechali już prawie czterdzieści minut. Drogi na

wyspie były tragiczne. Wąskie, kręte i często przebiegające tuż przy urwisku.

– Alpy by się takich serpentyn nie powstydzily – powiedziała Danka, gdy autobus po raz kolejny prawie otarł się o róg pomalowanego na biało domku.

– Popatrz na tę górę. W istocie, prawie alpejska – skomentował Emil. Z przekrzywioną głową próbował wypatrzeć niknący w chmurach wierzchołek.

Widoki urzeżały. Z lewej strony jezdni strome skaliste zbocza porośnięte drzewami oliwnymi, po prawej urwiska wpadające wprost do lazurowych zatok. W miejscach, gdzie nachylenie terenu było mniejsze, rozpościerały się łąki pełne kolorowych kwiatów. Przy poboczach rosły wysokie, kwitnące na różowo kaktusy. Na drzewach pomarańczowych dojrzewały pierwsze owoce.

– Maj to doskonały czas na obserwację kefalońskiej przyrody – poinformowała przez głośnik rezydentka. – W tym roku mieliśmy obfite opady, więc obecnie wszystko kwitnie ze zdwojoną mocą. Zwróćcie państwo uwagę na wyższe partie gór. Ciemne połacie to nic innego, tylko jodła kefalońska, niewystępująca w przyrodzie nigdzie indziej.

Danka spojrzała na Emila z ukosa. Słuchał z zainteresowaniem i ciekawie wyglądał przez okno.

– Nie sądziłem, że tutaj jest aż tak ładnie – oświadczył znienacka.

– Myślałam, że taki człowiek jak ty widział już absolutnie wszystko – powiedziała cicho.

– Poza tym mówiłeś, że byłeś w Grecji wiele razy.

– Owszem, ale nie tutaj. Już ci mówiłem. Gdybym wiedział, że ta wyspa ma taki potencjał, natychmiast kupiłbym tu ziemię pod inwestycję.

– Zapewne zastanawiacie się państwo, dlaczego tak niewiele w okolicy hoteli i ośrodków wczasowych? – zapytała retorycznie rezydentka, jakby czytając Emilowi w myślach. – Kefalonię w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku nawiedziło katastrofalne trzęsienie ziemi. Wstrząsy w ciągu dwóch sierpniowych dni zniszczyły praktycznie wszystkie budynki na wyspie. Zginęło wielu ludzi, a wielu ocalałych wyemigrowało. Wyspie groziło wyludnienie. Przez wiele lat nie istniały tu jakiegokolwiek możliwości rozwoju turystyki, panowała bieda. Obecnie sytuacja się zmieniła, ale wyspa wciąż pozostaje nieodkrytym klejnotem Grecji.

– Dlaczego ja wcześniej tego nie wiedziałem? – mruknął pod nosem Emil.

– Nie możesz po prostu podziwiać widoków? Dlaczego ty wszędzie widzisz tylko pliki pieniędzy? – wyrwało się Dance.

Emil zaciśnął zęby i nie odezwał się ani słowem.

– Sorry, nie powinnam na ciebie naskakiwać – zreflektowała się. – Chodzi mi tylko o to, że warto się cieszyć tym, co się ma, zamiast żałować tego, czego się nie ma. Przecież w ten sposób traci się całą radość życia. Zobacz: siedzisz tu i umyka ci szczęście. Bo martwisz się czymś, co właściwie jest kompletnie nieistotne, a jednak nie pozwala ci docenić piękna, jakie cię otacza.

Emil popatrzył na nią z uwagą. Nie mógł uwierzyć, jak ogromna przemiana dokonała się w Dance. Nie tylko fizyczna, ale także intelektualna. Uczyła się chętnie i błyskawicznie przyswajała interesującą ją wiedzę.

– Masz rację – odparł.

Przejrzała go na wskroś. Pozbawiony pieniędzy i codziennych luksusów czuł się, jakby odcięto mu tlen. Utrata walizki była przysłowiowym gwoździem do trumny.

Zaskoczona Danka stwierdziła, że Emil wygląda na autentycznie porażonego odkryciem, a przecież ona zafundowała mu najprostsza na świecie pogadankę. Może rzeczy oczywiste, właśnie dlatego, że są oczywiste, umykają ludziom pochłoniętym pogonią za kolejnym dniem? Babcia zawsze jej powtarzała, że najprostsze są proste rozwiązania.

– Za dziesięć minut będziemy w hotelu Paradiso. Na miejscu otrzymacie państwo klucze od wybranych pokoi, a o osiemnastej zaczynamy wydawanie obiadokolacji – poinformowała rezydentka.

Wkrótce autokar zatrzymał się przed wejściem do jasnobrązowego budynku i wczasowicze zaczęli wysypywać się na zewnątrz. Danką z Emilem cierpliwie zaczękali na swoją kolej i korzystając z zamieszania, zabrali walizkę. Pośpiesznie wycofali się na sąsiadujący z parkingiem chodnik.

– Tu jest tylko ten hotel i nic więcej. – Danką rozglądała się nieco zdezorientowana. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Spokojnie, miasteczko musi być niedaleko. Zaraz włączę GPS... – powiedział Emil i zamilkł. Zrzęda mu mina.

– Chwilowo możesz korzystać wyłącznie z pozycji słońca! – roześmiała się Danką. – Poczekaj tu chwilę z bagażami, a ja pójdę do recepcji i zasięgnę języka. – Z niepojętego dla siebie powodu przejęła inicjatywę.

Wnętrze hotelu wyglądało schludnie, choć niespecjalnie imponująco. Danką spędziła zbyt wiele czasu w luksusowym resorcie w Kaprun, żeby nie zauważyć tego na pierwszy rzut oka. Część turystów rozeszła się już po pokojach, ale sporo prowadziło rozmowy w niewielkich grupkach.

– To już można od razu do baru, jak mamy ten olekskluzif? – Do Danki dotarł strzęp jednej z nich.

– Cicho bądź, Wiesiek! Siary nie rób! To jest olinkluzif! – obsztorcowała mężczyznę kobieta w słomkowym kapeluszu i kwiecistej sukience wielkości łąki. – Poza tym ledwie co przyjechałeś i już byś chlać chciał?

– Zapłacone! – odparł Wiesiek.

– Ja to bym na spacer poszła, nad morze... – rozmarzyła się jego towarzysza.

– Daj spokój – zarechotał. – Jak ja bym chciał spacerować, tobym za darmo u nas w Polsce chodził! A tu trzeba korzystać. Zapłacone? – zarechotał.

– Zapłacone – przyznała niechętnie kobieta.

Thumiąc śmiech, Danką podeszła do recepcji i grzecznie poczekała na swoją kolej. Ku jej radości recepcjonistka również była Polką.

– Przepraszam, może mi pani powiedzieć, którędy do Katelios? – zapytała, ciesząc się w duchu, że w końcu udało jej się zapamiętać nazwę.

Uśmiechnięta blondynka podała jej mapkę, po czym objaśniła drogę do miasteczka. Dance ulżyło – znajdowało się w odległości piętnastominutowego spaceru. Podziękowała uprzejmie i już miała odejść, gdy coś przyszło jej do głowy.

– A nie potrzebujecie przypadkiem pracowników? – zagaiła z nadzieją.

– Oczywiście, że potrzebujemy! – Entuzjazm recepcjonistki zdradzał, że w hotelu występują istotne braki personelu. – A co by pani chciała robić?

– Wszystko jedno, prawdę mówiąc. Mężczyzn też przyjmujecie?

– Przydałby nam się barman na wieczorną zmianę i oczywiście kelnerzy do stołówek. Niby jeszcze sezon się nie zaczął, ale jak ludzie wejdą, to siedzą od początku do końca każdego posiłku i... – recepcjonistka zreflektowała się, że powiedziała za dużo. – Ma pani CV? Albo proszę po pros-tu zostawić numer telefonu. Kierownik zadzwoni z pewnością.

– A o której będzie kierownik? Niestety zepsuł mi się telefon, ale przyjdę, o której trzeba – zełgała Danką.

– Najlepiej będzie po śniadaniu. Zaczyna się o ósmej, kończy o dziesiątej.

– W porządku – ucieszyła się Danką. – Przyjdziemy na pewno. Dziękuję.

Pokrzepiona, różnym krokiem wyszła na upalną ulicę. Emil roztopiał się z gorąca, stojąc w cieniu drzewa oliwnego. Na jej widok odetchnął z ulgą.

– Już się martwiłem, że gdzieś przepadłaś – skomentował, na pozór żartobliwie. Dance przeszło przez myśl, że rozkapryszony krezus jest jak dziec-ko we mgle i szuka oparcia.

– Miasteczko jest niedaleko. Idziemy!

Drogę pokonali w milczeniu. Katelios okazało się maleńką osadą z raptem dwiema uliczkami równoległymi do plaży.

– Jezu, jak tu cudnie – szepnęła Danka na widok szarej kamienistej plaży pokrytej stosami wyschniętych wodorostów. Lekko sfalowane morze srebrzyło się jak okiem sięgnąć.

– No nie wiem – burknął Emil. – Widziałem ładniejsze miejsca. – Bez entuzjazmu rozejrzał się po okolicznych domkach. Wyglądały dość biednie. Mało zachęcający był także widok spękanej jezdni, z której gdzieniegdzie wyrastały chwasty. – Gdzie ten sukinsyn Winkler nas wysłał? Większego zadupia już nie znalazł?

– Nie podoba ci się? Serio? – zdziwiła się Danka.

– Ależ nie, nie. Danusiu, jest cudownie – zapewnił gorliwie, nie chcąc robić jej przykrości.

– Lepiej odszukajmy tego całego Jorgosa, do którego Winkler kazał nam się zgłosić. Robi się późno. Nie zauważyłeś jeszcze, że jesteśmy bezdomni? – ucięła i pomaszerowała przed siebie.

Kameralnie oświetlone, położone wzdłuż plaży urokliwe tawerny zachęcały lokalną muzyką. Emilowi burczało w brzuchu i najchętniej rozsiadłby się w pierwszej z brzegu, lecz Danka nie chciała o tym słyszeć. Wetknęła mu w dłoń ostatnią kanapkę.

– Najpierw obowiązki, potem przyjemności, panie Kast... Tfu! Panie Motyka – poprawiła się. – Idziemy! Jak się nazywa ta knajpa? Jorgos?

Rozdział 9

Jorgos Zapotoczny wyglądał bardziej na Greka niż Polaka. Na oko pięćdziesięcioletni, rubaszny, z wdziękiem nosił przed sobą pokaźne brzu-szysko. Widok polskich gości sprawił, że rozpromienił się i uśmiechnął od ucha do ucha. Oczekiwał ich, dlatego tego dnia pozostał w pracy dłużej niż zwyk-le. Winkler uprzedził go, czego ma się spodziewać, acz nie przypuszczał, że prawdziwy milioner -będzie wyglądał jak niedomyty łachmyta. Natomiast dziewczyna była zupełnie niczego sobie.

– Dobry wieczór. Szukamy Jorgosa. – Emil tylko dla formalności potwierdził tożsamość człowieka za barem, bo ten idealnie odpowiadał opisowi Winklera, choć zupełnie nie tak Emil wyobrażał sobie człowieka pracującego dla służb specjalnych. Właściciel tawerny od pierwszego wejrzenia wzbudzał sympatię.

– To ja. Czekałem na was – oznajmił płynną polszczyzną, po czym wyszedł zza drewnianego kontuaru. Energicznie potrząsnął dłońmi gości na powitanie. – Myślałem, że będziecie wcześniej. W pensjonacie Santos już wszystko gotowe na wasze przybycie. Macie zaklepany wygodny apartament z basenem, gospodyni zorganizuje wyżywienie. Pewnie jesteście zmęczeni? A może coś zjecie?

– Szczerze mówiąc, jesteśmy padnięci i umieramy z głodu. – Danka uśmiechnęła się do niego.

Omiotła spojrzeniem przytulne wnętrze. Oprawione w proste ramki nadmorskie widoczki na kostropatych bielonych ścianach idealnie pasowały do lokalizacji. Bardzo spodobały się jej także pros-te drewniane meble, biało-niebieskie marynistyczne dodatki i porozwieszane gdzie popadło pęki ziół. Zaburczało jej w brzuchu.

Właściciel wykrzyknął coś po grecku w stronę kuchni i nalał wszystkim wina.

– Za wasze przybycie! Jak zjecie, Kosta odstawi was na miejsce. To mój pracownik, ma po drodze – wyjaśnił. – Ale najpierw trzeba oblać wasz przyjazd. – Uważnie otaksował Dankę. – Masz na imię tak samo jak moja ciotka ze strony ojca. A ja zawsze ciotkę lubiłem. Wasze zdrowie!

– Jorgos, posłuchaj. W ustaleniach zaszły pewne zmiany – wszedł mu w słowo Emil, po czym z zażenowaniem opowiedział, co wydarzyło się na lotnisku.

– A to jakiś problem? Nie mogą dostać wam pieniędzy z Warszawy? – zdziwił się mężczyzna. – Nawet w takiej dziurze jak ta istnieje internet.

– No właśnie nie mogą. Z wielu przyczyn my nie możemy ujawnić, gdzie się znajdujemy, dopóki Winkler nie przekaze wiadomości, że jesteśmy bezpieczni. Nawet nie wzięliśmy ze sobą telefonów. To wszystko może potrwać nawet dłużej, niż przypuszczamy. A wracając do tematu, po prostu jesteśmy bez kasy.

– Ja przywiozłam trochę gotówki, ale musimy oszczędzać. Mamy tylko to, co w walizkach, i nie stać nas na żaden apartament. – Danka rozwiała wątpliwości.

– O kurza dupa... – zafrasował się Jorgos. A potem dolał wszystkim wina.

– Lepiej bym tego nie ujął – powiedział smętnie Emil, ale zaraz się ożywił, gdy tylko na stole pojawiła się aromatyczna musaka.

– Matko, jak pachnie! – Danka pociągnęła nosem i ochoczo chwyciła za widelec. – Ale pyszne – wymruczała z lubością, nawet nie zastanawiając się, co je. Pewnie w życiu nie wpadłaby na to, żeby do mielonego mięsa dodać cynamon, a tutaj było to całkiem normalne.

– Fajnie, że smakuje. – Jorgos się uśmiechnął. – Jedzcie na zdrowie. Ja pójdę na górę coś

sprawdzić i zaraz wracam.

– Matko, i co teraz? – zapytała Danka, gdy sympatyczny grubas zniknął z pola widzenia.
– Myślisz, że nam pomoże?

– Mam nadzieję, inaczej będziemy musieli przenocować na plaży, co nie jest chyba zbyt bezpieczne. Jak ci smakuje musaka?

– Obłędna, choć teraz zjadłabym wszystko. Na szczęście niedaleko widziałam jakiś sklep. Trzeba będzie rano coś kupić na śniadanie, a potem zaiwaniać do Paradiso na rozmowę z menedżerem. Dasz sobie radę jako barman?

– To chyba nietrudne? – zapytał Emil niepewnie.

Nigdy nie bał się ciężkiej pracy, ale, na litość, nie takiej! Cały czas intensywnie myślał, jak tu wyjść z finansowej opresji, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wprawdzie niegdyś zbudował swoje finansowe imperium niemal od zera, lecz właśnie słówko „niemal” miało zasadnicze znaczenie. Pilnie strzeżoną tajemnicą było, że na początek dostał nieco pieniędzy do wyprania. A że nie miał wtedy nic do stracenia, zaryzykował i dobrze na tym wyszedł. Później już pieniądź robił pieniądź. Nic nie zmieniło się od stuleci, a powiedzenie, że pierwszy milion trzeba ukraść, wcale nie straciło na aktualności i choć akurat Emil niczego nikomu nie ukradł, tak czy siak zyskał na starcie spore fory. Zasada działała wszędzie, a już tym bardziej na tej zapomnianej przed Boga greckiej wyspie.

– No, robaczki! Macie fart! – Po powrocie Jorgos aż zatarł ręce z uciechy. – Jak zjecie, zapraszam na górę. Mam tam na poddaszu mały pokój z łazienką. Skromny, ale na początek starczy. Za kilka dni pomyślimy, co dalej.

– Jaki czynsz? – Danka od razu przeszła do rzeczy.

– No też coś! – obruszył się Jorgos. – Od swoich pieniędzy nie wezmę. Ale jakbyście tak mi w knajpie trochę pomogli, tobym się nie pogniewał.

– Nie ma problemu. Jutro idziemy w sprawie pracy do hotelu Paradiso, ale tobie też z chęcią pomożemy, prawda Emil?

Jorgos okazał się niesamowitym gadułą. Po godzinie znali już świetnie całe jego drzewo genealogiczne, imię żony oraz wszystkich jego dzieci. Gdy jednak płynnie przeszedł do problemów swoich najbliższych sąsiadów, Danka ziewnęła przeciągle.

– Kurde, ale nora – mruknął Emil na widok ich nowego lokum.

Pomieszczenie było nieduże i duszne. Umeblowane bardzo skromnie, jedynie w podstawowe sprzęty. Dwa wąskie łóżka nakryte niebieskimi narzutami, szafa ze skrzypiącymi drzwiami i lekko kulawy stół.

– A ten taboret pamięta chyba powstanie jońskie. – Emil przesunął stopą wiekowy mebel i postawił na nim zabraną z lotniska cudzą walizkę.

– Weź nie wydziwiał. Przynajmniej jest łazienka i piękny widok. Pomyśl, że jesteś na Złotej.

– Jasne. Tylko spójrz na to.

Emil z nieszczęśliwą miną wyjął z walizki hawajską koszulę i plażowe klapki z napisem Kubota. Do zestawu dołączyły też trzy koszulki z kretyńskimi napisami, na szczęście jeszcze nierozpakowane z foliowych torebek, dwie pary tanich szortów w dziwaczne desenie, kilka par skarpet oraz męskich stringów.

– Ale się gościu wystroił na wczasy. Nie ma co. – Danka na widok zdobyczy Emila ryknęła niepohamowanym śmiechem. Z trudem opanowała łzy. Trzymając się za brzuch, opadła na łóżko.

Sześć wspólnie spędzonych miesięcy sprawiło, że poznała upodobania towarzysza. Wszystko w jego otoczeniu musiało być najwyższej jakości, a cena nie grała roli. Tym razem jednak przyszło mu przywdziać coś, co było szczytem obciachu i tandety.

Prysznic na szczęście działał, a uprzejmy gospodarz podrzucił im czyste ręczniki. Emil, zdeglustowany faktem, że na noc musi włożyć cudze ciuchy, ze zwieszoną głową poszedł do łazienki. Pod prysznicem starannie uprał swoje slipy z mikrofibry, warte mniej więcej tyle, ile zdobyczne ubrania wraz z walizką. Zwykle w trakcie kąpieli miał silną erekcję, ale teraz nic takiego nie nastąpiło. Przed oczami stanęły mu wspomnienia z dzieciństwa, choć jeszcze niedawno sądził, że nie powrócą już nigdy. Na granicy rozpacz rozwiął na sznurku moką bieliznę i wbił się w tandetne szorty oraz wściekle pomarańczową koszulę w ryby. Odświeżony poczuł się trochę lepiej. W walizce znalazł także trochę kosmetyków, zatem skorzystał z nich skwapliwie. O ile tanie jednorazowe maszynki do golenia dały jakoś radę, o tyle szczoteczka do zębów na nową nie wyglądała, więc jej użycie nie wchodziło w grę.

Nie sądził, że doczeka chwili, gdy będzie musiał poprosić Dankę, żeby kupiła mu szczoteczkę i nowe majtki. Nie miał wyjścia. Jedyne, co aktualnie posiadał, to wyjęty z kieszeni pomięty stułotowy banknot.

Czułby się zdecydowanie lepiej, mogąc zamienić swoje jedyne sto złotych na euro, lecz szczerze wątpił, by w niedużej osadzie znajdował się kantor. Zwykle nie zawracał sobie głowy takimi drobiazgami jak wymiana walut. W jego portfelu znajdowały się złote karty płatnicze, którymi mógł płacić na całym świecie.

– No, nareszcie – powiedziała Danką z przyganą i przeciskając się obok Emila w wąskim korytarzyku, weszła do łazienki. Oczywiście nie potrafiła sobie darować, by nie rzucić uwagi na temat rozpiętej hawajskiej koszuli. – Proszę, proszę, nareszcie wyglądasz jak facet z fantazją. – Komentarz pod adresem umięśnionego torsu na wszelki wypadek wołała sobie darować.

Emil rzucił jej mordercze spojrzenie. Szerzej otworzył okno i zapatrzył się przed siebie. Od niewidocznego w ciemnościach morza wiała chłodniejsza bryza, ale nagrany dach emanował gorącem. Emil poczuł, że znów się poci, więc zdjął koszulę. Normalnie włączyłby klimatyzację i położył się nago, ale teraz było zupełnie inaczej. Do tego nie potrafił sobie wyobrazić skutków mieszkania przez tyle czasu z Danką. Na myśl, że właśnie stoi naga pod prysznicem, natychmiast odnotował w dole brzucha charakterystyczne drgnięcie. Z luźnych spodenek od razu zrobił się namiot.

Wykończony, z ciężkim westchnieniem ułożył się na wąskim łóżku. Było wyjątkowo niewygodne. Sądził, że szybko zaśnie, ale nawet po zmroku upał porządnie dawał się we znaki.

– Sam przyznaj, że mieliśmy szczęście z tym Jorgosem... – zagała Danką, kładąc głowę na poduszce.

– Jasne. Zaraz zdechnę z gorąca i do tego chce mi się pić – poskarżył się Emil tonem nieszczęśliwego chłopca.

– I co jeszcze? – mruknęła Danką już na granicy jawy i snu.

– I łóżko twarde jak jasna cholera. Twoje też?

– Do kurwy nędzy! – Danką odrzuciła prześcieradło na bok i usiadła gwałtownie. – Słuchaj no! Jesteśmy tutaj przez ciebie! Jakbyś nie łąził po burdelach, nie byłoby sprawy! A ty nie dość, że dałeś sobie zwinąć kasę, to jeszcze mi tu skomlesz jak pieprzony francuski piesek!

– Przecież widziałas, że tam było zamieszanie – Emil bronił się słabo.

– Jasne! – syknęła jadowicie. – Jak ja bym miała walizkę z taką forszą, tobym ją sobie uwiązała u szyi! Więc przestań mi tu pieprzyć jak potłuczony pieszczoszek i chwyć się, z łaski swojej, za jaja! Nie jestem twoją zakichaną niańką! Robię, co mogę, by jakoś to wszystko ogarnąć, a tobie wszystko nie tak!

– A jak ma być? Tobie nie jest gorąco?
– Jest, ale cenię sobie dach nad głową, a tobie jak nie pasuje, to wynocha na plażę! –
Wściekła jak osa odwróciła się do niego plecami i naciągnęła na siebie liche prześcieradło. –
Tylko wróć jutro przed ósmą.

Noc spędzona na plastikowym leżaku podziałała na Emila otrzeźwiająco. Przed siódmą obudził go jakiś rybak, który darł się jak opętany, chcąc dogadać się z kimś z sąsiedniego kutra.

– No i co się tak wydzierasz, grecki bałwanie? – mruknął Emil pod nosem i ścierpnięty przeciągnął się na całą długość leżaka. Łóżko Jorgosa było zdecydowanie lepszą opcją. Tylko ta Danką...

Wreszcie jednak uśmiechnął się pod nosem i po krótkim namyśle uznał, że wypadałoby się zrehabilitować. Postanowił wrócić na poddasze, pożyczyć od Danki parę groszy i zrobić zakupy. Szczoteczka do zębów była mu absolutnie niezbędna.

W pokoju nie było nikogo. Widać Danką wpadła na taki sam pomysł. Korzystając z jej nieobecności, odświeżył się nieco. Już miał wychodzić z łazienki, gdy jego wzrok przykuła susząca się damska bielizna. Na widok koronkowych majteczek jego penis znów ożył. Emil zamknął oczy i swoim zwyczajem poddał się erotycznym fantazjom.

Był już blisko, gdy drzwi otworzyły się na oścież, a w progu stanęła osłupiała Danką.

– Yyy, sorry – bąknęła, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy. Imponujące przyrodzenie we wzwodzie sprawiło, że zapomniała języka w gębie. Szybko wycofała się do przedpokoju. Choć pewnego razu widziała w saunie nagiego Emila, jednak nigdy dotąd w pełnej gotowości bojowej.

– Ups! – wyszeptała cichutko. – Nieźle!

W pobliskim sklepiku wybór był niewielki, ale zdobyła wszystko, co potrzebne. Bardzo zdziwiło ją, że większość towarów wyeksponowano na zewnątrz, a powierzchnię sklepową oddzielała od chodnika zasuwana na noc archaiczna pordzewiała krata.

Nie zapomniała o podstawowych sprawunkach dla Emila, niestety, nie natrafiła na miejsce z normalną odzieżą. Jedyne, co udało jej się znaleźć, to sklep z pamiątkami i strojami plażowymi, zatem kupiła mu proste, granatowe kąpielówki. Zawsze to lepsze niż cudze stringi. Wyobraźnia podsunęła jej obraz Emila tańczącego na rurze w klubie dla kobiet, więc krztusząc się ze śmiechu, uregulowała rachunek.

– Chciałem cię przeprosić za wczoraj. Miałeś rację, zachowałem się jak ostatni pajac. –
Skruszony Emil nieco zwiesił głowę.

– Dobra, nie ma o czym gadać. Jedz, bo musimy się streszczać. A to dla ciebie. –
Wyciągnęła z torby zdobycze, zadowolona, że nie nawiązał do sytuacji z łazienki.

– Szczoteczka! Dziękuję! – zawołał rozradowany Emil, po czym spontanicznie pocałował Dankę w policzek i w podskokach pobiegł do łazienki. Nigdy nie przypuszczał, że tak prozaiczna czynność jak czyszczenie zębów dostarczy mu tyle radości.

Napięta atmosfera nieco zelżała i w drodze do hotelu Paradiso rozmawiali ze sobą jak gdyby nigdy nic. Byli w końcu dorośli i obojgu daleko było do jakiegokolwiek pruderii.

– Tylko błagam cię, nie wydziewaj. Bierzemy wszystko, co dają. I tak mamy kupę szczęścia, że szukają pracowników. I to na miejscu – podeksytowana Danką gestykulowała zamasyście.

W zwiewnej sukience wyglądała prześlicznie. Emil przyglądał się jej z przyjemnością. Już dawno zapomniał, jaka była na początku ich znajomości.

– No i całe szczęście, że to hotel głównie dla Polaków. Przecież nie znasz języka –
powiedział i ugryzł się w język.

– To prawda. Po niemiecku może bym sobie poradziła, ale to słaba pociecha. Muszę

ogarnąć trochę angielski. Nauczysz mnie?

– Pewnie. – Zgodził się ochoczo i od razu kazał jej zakuć odmianę czasownika *to be*, gdyż jak twierdził, cała angielska gramatyka opiera się właśnie na nim.

– Ale że już? Tak od razu?

– A po co tracić czas? Kwadrans darmowej i bezstresowej nauki za tobą. W drodze powrotnej zrobimy powtórkę i poznasz jeszcze kilka słówek. Wiesz już, co będziesz robić?

Zgodnie z wcześniejszym zapewnieniem recepcjonistki szef hotelu Paradiso zatrudnił ich od razu i zaproponował całkiem przyzwoite wynagrodzenie. Danka miała docelowo zostać kelnerką śniadaniową i w razie potrzeby pomagać przy obiadokolacji, ale na razie odesłano ją do sprzątanía pokoi. Emil natomiast dostał przydział do baru przy basenie i niezwłocznie rozpoczął szkolenie z zakresu serwowania piwa. Jednakże o ile umiejętność obsługi samego nalewaka posiadał w kilka minut, o tyle proces rozwałniania piwa i wina na początku nastręczył mu nieco trudności. Nie żeby rozcieńczanie trunków samo w sobie było czymś skomplikowanym, nic z tych rzeczy. Największą trudność sprawiało ukrycie procedury przed gośćmi zazwyczaj licznie obsiadającymi wolno stojący okrągły bar.

Cała tajemnica tkwiła w przepłukiwaniu szklanek. Należało robić to szybko i zostawiać na dnie nieco wody. Oczywiście im więcej, tym lepiej. Ukrycie tego faktu wymagało odrobiny sprytu, tak jak i obserwacja samych gości. Im bardziej byli pijani, tym łatwiej było barmanom chrzcić lokalne trunki.

Emil, początkowo zbulwersowany, po kilku godzinach zaczął odczuwać satysfakcję z nowej umiejętności i uwijał się jak mrówka. Przejęty nowym zajęciem niezbyt zwracał uwagę na otoczenie, ale gdy następnego dnia poczuł się pewniej, w wolnych chwilach pozwalał już sobie na pogawędki z urlopowiczami. Zazwyczaj były to kobiety. Przeważnie starsze. Zauważył, że to właśnie one zamawiają za gotówkę lepsze, markowe alkohole i zostawiają największe napiwki, więc starał się, jak umiał. Większość gości łąpała na potęgę rozwodnione świństwa wliczone w cenę pobytu.

– Nie wierzę w to, co widzę. – W jadalni Danka przecierała oczy ze zdumienia. – Przecież to zwykłe marnotrawstwo. Jak można zostawiać tyle jedzenia?

Sprzątając ze stołów, nie mogła się nadziwić, że można nakładać na talerze całe góry jedzenia i ich nie zjadać.

– Jak widać, można. Oni zawsze tak, choć za każdym razem rezydent tłumaczy im, że niczego dla nikogo nie zabraknie. – Marzena, młoda dziewczyna z Krakowa, tylko wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem. Żarcia jest do oporu. Jaki problem podejść i wziąć dokładkę?

– Jestem tutaj już trzeci raz i przy każdym turnusie jest tak samo. A już najgorzej, jak ludzie przyjadą w pełni sezonu. Ci to dopiero bydło robią. Jak kolacja startuje o dziewiętnastej, to oni ustawiają się przed drzwiami godzinę wcześniej. Ja to się boję wtedy drzwi do jadalni otwierać.

– Dlaczego? – zapytała Danka.

– Bo szturmują stołówkę. Dosłownie odchodzi walka na śmierć i życie. Szwedzki stół wygląda, jakby ktoś zdetonował pod nim minę przeciwpiechotną. – Marzena obrazowo opisała rozmiar stołówkowej demolki. – Widziałas w necie filmik, na którym ludzie rzucają się na tanie karpie w Bonusie?

– Filmiku nie widziałam. Ja tam byłam! – Danka roześmiała się głośno. – Razem z resztą pracowników dałam nogę na zaplecze. A wiesz, jaka była akcja, gdy przyszły roboty kuchenne? Dochodziło do rękoczynów. Kiedyś przy promocji na puchowe kurteczki dwie babki walczyły tak zaciekle, że rozerwały kurtkę na pół, a pierze fruwało po wszystkich półkach. Ale się

kierowniczka wkurzyła! Wezwała policję, posypały się mandaty za niszczenie mienia.

– Niebawem. – Marzena zrobiła wielkie oczy. – A jak to się stało, że przyleciałaś tu prosto z Bonusa?

– Wcale nie tak prosto. Oj nie... To długa historia. Ale może chodź. Pozbierajmy te talerze i zgarniemy resztki.

– Ech, przynajmniej się miejscowe kozy obłowią – westchnęła Marzena i poprawiła fartuszek z hotelowym logo.

Po skończonej zmianie Danką przebrała się w pracowniczej szatni.

Wśród personelu panowały całkiem miłe relacje. W hotelu głównie pracowały dziewczyny z Polski i Ukrainy, próżno było szukać rodowitej Greczynki. Ale dzięki temu nawet Yanni Stamatopoulos, czyli dyrektor, zdołał całkiem przyzwyciężyć polską mowę.

Pod koniec zmiany, gdy mijał się z Danką, zaprosił ją na rozmowę. Zdziwiona nagłym zainteresowaniem grzecznie odpowiedziała na wszystkie pytania, ale gdy zapytał ją, czy wszystko jej się podoba i czy chciałaby zasugerować jakieś zmiany, Danką osłupiała. W życiu nie spotkała się z tym, żeby jakikolwiek szef pytał szeregowych pracowników o zdanie.

– Czy ja bym cokolwiek zmieniła? – zastanowiła się na głos.

– Nie musisz odpowiadać dzisiaj, choć wiem, że najlepiej jest mówić takie rzeczy od razu. Potem się człowiek przyzwyczaja i pozostaje, jak było. – Yanni zaprosił ją gestem dłoni, by usiadła na kanapie.

Wyjął z niewielkiej lodówki dwie butelki mocno schłodzonego piwa. Jedno podał Dankę. Był wysoki i zgrabny, co u jego rodaków zdarzało się nieczęsto. Przy tym jego smagła karnacja, kruczoczarne włosy oraz nazwisko, na którym można było połamać sobie język, niezbitie świadczyły o greckich korzeniach. Za jego niesamowicie długie i podkreślone rzęsy niejedna kobieta pewnie dałaby się pokroić, a tęczówki w ciepłym odcieniu płynnej czekolady wymykały się wszelkim normom przyzwoitości.

Danka, mile połączona życzliwym przyjęciem, chętnie skorzystała. Dyrektor wydał się jej sympatyczny.

– Zmieniłabym jedno – oświadczyła.

– Coś konkretnego?

– Tak. Trzeba zrobić coś, żeby nie marnowało się tyle jedzenia.

– Wcale się tak dużo nie marnuje. To, czemu nie dają rady goście i personel, oddajemy.

– A ile wyrzucacie? – Danką weszła mu w słowo.

– No dobrze. Masz jakiś pomysł? – Dyrektor wyglądał na autentycznie zainteresowanego sprawą.

– To całkiem proste. – Spojrzała mu prosto w oczy. On gapił się na nią tak intensywnie, że poczuła, jak miękną jej nogi. – Trzeba zmienić system serwowania przy szwedzkim stole. Teraz wykładacie przygotowane jedzenie od razu, więc ludzie się boją, że nie wystarczy dla wszystkich, i bez sensu nakładają całe góry. A jakby tak uzupełniać na bieżąco? Albo postawić kogoś, żeby nakładał każdemu na talerze?

– W sumie niegłupie... – Yanni stuknął swoją butelką o butelkę Danki i rozparł się na kanapie. Nie uszło jej uwagi, że położył rękę na oparciu za jej plecami. Zupełnie jakby chciał ją objąć. – Hm. Pomyślimy...

Do Jorgosa Danką wróciła kompletnie wykończona, ale pełna wrażeń. W pracy szło jej dobrze, rozmowa z dyrektorem sprawiła, że poczuła się ważna. Podobał się jej sposób, w jaki potraktował ją Yanni. Do tego on sam także się jej spodobał.

Po drodze wstąpiła do odwiedzonego wcześniej sklepu wielobranżowego i kupiła dwa używane telefony komórkowe. Wyposażyła je w karty umożliwiające miejscowe połączenia, ale

bez dostępu do internetu, łudząc się, że to być może pozwoli im jakimś cudem odzyskać utracone pieniądze. Poza tym oboje z Emilem pracowali w różnych miejscach i godzinach, więc musieli mieć jakiś kontakt ze sobą.

– Zostałeś kelnerem? – zdziwiła się, widząc Emila roznoszącego napoje w tawernie. Nastał -sobotni wieczór i o tej porze lokal pękał w szwach.

– Tak. Bar przy basenie zamykają o siedemnastej. Co niby miałbym robić do wieczora? A tak przynajmniej pomogę naszemu gościnnemu gospodarzowi, a i parę euro z napiwków wpadnie.

– No proszę, proszę, co za zmiana frontu. – Pokiwała głową z uznaniem i z dumą pokazała mu dwie stareńkie nokie pamiętające pewnie epokę Centertela. – Wybierz sobie.

– Co to jest? – Emil wziął aparat do ręki.

– Twój kontakt ze światem. – Danka wzruszyła ramionami. – Nie licz chwilowo na nic lepszego.

– Jasne – zakpił i wymownie postukał palcem w czarne przyciski na klawiaturze. – Już widzę, jak piszesz na tym esemesa. Bardzo fajne te grec-kie litery – zauważył złośliwie. – Alfa, beta, gamma, delta, ipsylon i tak dalej. Szacuneczek, moja droga.

Danka była tak dumna, że może kupić dla nich telefony, że w ogóle nie zwróciła uwagi na litery widniejące na klawiszach. Rzeczywiście, klawiatura była grecka. Podobnie jak menu w telefonie.

– O cholera, nie zauważyłam – zmartwiła się Danką. – Ale chyba można jakoś zmienić ten język?

– Pewnie można, ale ja się nie podejmuję. Ale spokojna twoja głowa, stary dobry Jorgos nam pomoże.

Danka, pomna obietnicy danej wcześniej właścicielowi tawerny, na szybko przełknęła kawałek skropionej oliwą białej bułki i poszła do kuchni. Na zapleczu kucharz i Jorgos uwijali się jak w ukropie.

– O, świetnie, że jesteś! – powitali ją chórem. – Mamy mały armagedon. Eleni nie przyszła dziś do pracy. Nastaw zmywarkę i zacznij szykować czekadełka.

– Czeką co? – zapytała odruchowo, ale błyskawicznie załapała, że chodzi o małe przystawki serwowane na start. Szybko przełaziła oliwę do mniejszych butelek i zabrała się do krojenia pieczywa. – Już się robi, szefie!

Rozdział 10

Druga połowa maja przyniosła Warszawie koszmarnie upały. Udręczeni gorącem ludzie snuli się po rozgrzanym do czerwoności betonie chodników.

– Jak leziesz, kretynko?! – wrzasnął Winkler i z całej siły wdusił pedał hamulca.

Blondynka cofnęła się na krawężnik. Dopiero po fakcie zauważyła, że weszła na pasy na czerwonym świetle.

Winkler zwolnił jeszcze bardziej i podkreślił klimatyzację. W radiu właśnie zaczynał się serwis informacyjny.

– *Jak donosi nasz reporter, podejrzany o pedofilię i handel żywym towarem biznesmen Emil K. pozostaje nieuchwytny. Służby sprawdziły wszystkie adresy, pod którymi bywał, ale bezskutecznie. Maksymilian Nowotarski, obecny prezes konsorcjum E-Invest Gold, pozostawia pytania o aktualne miejsce pobytu Emila K. bez komentarza. Przypominamy, że każdy, kto zna miejsce pobytu biznesmena, jest proszony o niezwłoczną informację pod numerami telefonów...*

– To skurwysyny! – wściekł się Winkler i wyciszył radio. Wybrał numer na przypiętym do zestawu głośnomówiącego telefonie i zaczekał na połączenie. – Mariolka? – warknął. – Dawaj mi na biurko teczkę Wątorskiego i Orzechowskiego. I nawet nie waż się mówić, że posła lepiej nie ruszać! Będę za piętnaście minut.

Udo Winkler czuł się Polakiem, choć urodził się w Austrii i tam został wychowany przez ojca Austriaka i matkę rodowitą warszawiankę. Zawsze chciał przyjechać do Warszawy i tu osiąść na dobre. Ostatnio zaczął się zastanawiać, czy to na pewno był dobry pomysł. Wiele rzeczy tu kochał, ale równie wiele, szczególnie tych ze sfery życia publicznego, doprowadzało go do szału. Już jakiś czas temu uznał, że świat polityki, kompletnie przeżarty układami i korupcją, zasługuje wyłącznie na eksterminację, najlepiej za pomocą napalmu. Dostawał ataku śmiechu, gdy słyszał polityka wymawiającego słowo „uczciwość”. Niezależnie od tego, z jakiego obozu politycznego się wywodził, powinien sobie ze wstydu odgryźć język.

Sprawa Kastnera bulwersowała go szczególnie. Rozpracował biznesmena i wyszło mu, że ten jest człowiekiem dość prostoliniowym. Dorobił się fortuny, ale nigdy nie angażował się w lobbing. Inwestował w przejrzyste interesy i choć sam początek jego kariery zdawał się nieco mętny, wciąż daleko mu było do hien biznesu rozmieniających ten kraj na drobne. Miał jedynie pecha, że stanął na drodze Orzechowskiemu i jego kolesiom. Winkler marzył o tym, żeby posadzić tych zasłaniających się mandatami poselskimi sukinsynów, ale wiedział, że to jest kompletnie nierealne. Mógł jedynie pomóc Kastnerowi i tej sympatycznej Dance Popiołek ulotnić się z Polski.

Zdobycie dokumentów dla Emila nie nastęczyło trudności, choć nadal nie miało nic wspólnego z oficjalnymi procedurami. Winkler po prostu znał kogo trzeba. Poza tym pomógł mu bardzo Maks Nowotarski. Zastępca Emila wykazał się niespotykaną lojalnością wobec swojego szefa, choć i w jego przypadku Winkler zachował pewną ostrożność.

Dalsze wydarzenia potoczyły się szybko. Winkler poprosił swojego kuzyna Jorgosa, żeby ten pomógł przechować na wyspie Kastnera. Założenie było takie, że ani on, ani Danko Popiołek nie wychylą się przez kolejne miesiące, póki nagonka nie przycichnie. Zbliżały się wybory i wszystkie strony sceny politycznej obsesyjnie poszukiwały na siebie haków. Emil Kastner był absolutną bombą, która w odpowiednich rękach mogła zaważyć na wyniku. Właśnie dlatego inspektor stanął na głowie, żeby odsunąć go w cień.

– No kurwa jego mać! – zaklął, zobaczywszy, że jego miejsce pod komisariatem znów

jest zajęte.

Zaparkował tuż za rupieciami, należącym zapewne do jakiejś nobliwej mieszkanki sąsiedniej kamienicy, i wysiadł. Zamaszyście zatrzasnął drzwiczki i pomaszerował do biura.

Zanim zdecydowała się na podróż w nieznane, przez tydzień kompulsywnie przeszukiwała sieć. Jak dotąd nikt nie namierzył wiśniowego SUV-a z wypadku pod Wyszkowem, więc przy odrobinie szczęścia nikt nie wpadnie także na jej ślad, uśmiechnęła się w duchu, gładząc portretowe zdjęcie ukochanej kobiety.

Zanim ją zamknęli, wielokrotnie rozmawiały, że tak może się zdarzyć. Ona nie do końca w to wierzyła, przytulała się wtedy i pozwalała głaskać po plecach. Wielu złych rzeczy doznała w życiu, ale tamta była dla niej matką, kochanką i treścią życia.

A teraz nie żyła. Przez Kastnera.

Gdy opiekunka trafiła do więzienia, ona uznała, że zrobi wszystko, by pomścić swoją Matuszkę.

Za ostatnie pieniądze kupiła bilet czarterowy na Kefalonię. Postawiła wszystko na jedną kartę. Była zdeterminowana, żeby się zemścić. Lot trwał niespełna trzy godziny, a mimo to przysporzył jej stresu. Owszem, zdarzało jej się latać, ale zawsze prywatnymi odrzutowcami bogatych klientów. Nigdy wcześniej nie musiała nadawać bagażu, odnajdywać się w hali odlotów i pilnować biletu.

Lotnisko docelowe mocno ją rozczarowało. Nie dawało się nawet porównać z terminalami na Okęciu czy w Modlinie.

Wyszła na zewnątrz. Szybko się zorientowała, że do najbliższego miasta ma spory kawałek. Wzruszyła ramionami. W jej życiu nie było miejsca na marudzenie. Z natury twarda i pragmatyczna natychmiast namierzyła faceta, który podwiózł ją do stolicy. Chociaż nie tam znajdował się Kastner, ale zapewne donikąd się nie wybierał w najbliższym czasie. A ona musiała zebrać fundusze na dalsze ruchy.

Gdy uprzejmy Grek wysadził ją obok dworca autobusowego w Argostoli, postanowiła poszukać pomocy u podobnych sobie kobiet. Nocne ćmy wyczuwają się instynktownie.

– Emil! – zawołała Danka. – Nie rozumiesz, że nie mamy moskitiery i jak otworzysz okno, kiedy w pokoju pali się światło, to te krwiożercze cholery zrobią z nas tatar?

– Na chwilę otworzyłem. Na tym poddaszu nie da się żyć z gorąca – usprawiedliwiał się, wychodząc z łazienki.

Był nagi, nie licząc niewielkiego białego ręcznika na biodrach.

– A gdzieś to mam! – odparła. Ściągnęła koszulkę z emblematem hotelu Paradiso na piersi. – Mam wrażenie, że cholerne robactwo wlało mi nawet pod bieliznę – poskarżyła się i zaczęła się ocierać plecami o futrynę łazienki, skąd wypływały kłęby pary po niedawnym pobycie Emila.

– Pokaż – zaangażował się chętnie

Danka wyeksponowała plecy.

– Łażą całymi stadami! – wrzasnął znieczeka.

– Zabij je! – pisnęła przerażona Danką.

– Żartowałem – zarechotał Emil.

Wściekła odwróciła się do niego i obrzuciła spojrzeniem od stóp do głów.

– Pasują ci te klapki Kubota, cebulaku – prychnęła i w samym staniku podeszła do szafy

po czys-tą koszulkę.

– Jeden cię zre. – Niezrażony Emil lekko klepnął ją w łopatkę.
– Dziękuję – odparła sztywno. – Na którą masz jutro zmianę?
– Na dwunastą. A ty?
– Też – odparła.
– Wiesz, mam tego powyżej uszu – poskarżył się. – Jutro poproszę Jorgosa, żeby skontaktował mnie z Winklerem. Maks prześle nam pieniądze i skończymy z tą kretyńską robotą.
– Nie jest kretyńska – zaprotestowała Danka. – Prawdę mówiąc, jest całkiem niezła.
– Ale ja bym chciał zabrać cię na rejs po wyspach i zjeść homara – pożałił się.
– Jeśli o wycieczce mowa, to dostałam dzisiaj od szefa zniżkowy voucher na rejs na Zakynthos! – przypomniała sobie. – Dwadzieścia euro od łebka. Co ty na to?
– Niech będzie – odparł zrezygnowany. – Oddam ci po wypłacie w Paradiso.
– Czyli za dwa tygodnie – podsumowała. – I wybij sobie z głowy kontakt z Winklerem – dodała. – Nie po to nas tutaj przysłał, zapewne sporo ryzykując, żeby tak głupio się teraz ujawniać.

– Marzę o klimatyzacji!
– A ja o miłym współlokatorze – mruknęła pod nosem.
W niedzielę autokar czekał na pasażerów przed hotelem. Przejęta Danka aż podskakiwała z emocji. Schroniła się w cieniu akacji i raz za razem sprawdzała, czy ma ze sobą wszystkie niezbędne obiektywy.

– Myślisz, że będą fale? – zapytała.
– Jakies pewnie będą, ale raczej nie ma się czym ekscytować – odparł beznamietnie Emil.
– Nigdy nie byłam na żadnym rejsie. A jak dostanę choroby morskiej? – martwiła się.
– To nie jest daleka wycieczka. Poza tym dzień jest pogodny i niezbyt wietrzny, więc wszystko będzie dobrze – pocieszył ją. – No i z tego, co widziałem w folderze reklamowym, widoki zapowiadają się świetne, więc sobie cykniesz ciekawe fotki.

Danka zdumiewała go na każdym kroku. Emil kompletnie nie rozumiał, jak to możliwe, że jest rozsądną, zaradną kobietą, będąc jednocześnie naiwną, niedoświadczoną dziewczynką, która ekscytuje się wszystkim, co jej się w życiu przytrafia. Przy niej każda zwyczajna czynność urastała do rangi wydarzenia. Zapał i blask w jej oczach działały na niego odświeżająco, zmuszając do przyglądania się bacznie wszystkiemu, co dotychczas było oczywiste. Choćby ten rejs. Emil nie znał chyba nikogo, kto nigdy nie był na żadnym. Wbrew sobie poczuł narastającą radość i ochoczo wskoczył do autokaru wraz z resztą turystów.

Do przystani w Skali jechali niespełna kwadrans. Wiał lekki wiatr od morza i mocno się zachmurzyło.

– Niedobrze – zmartwiła się Danka, wymownie głaszcząc torbę ze sprzętem.
– Spokojnie, na wodzie pogoda zmienia się co chwilę. – Emil przepuścił ją przed sobą na wąskim trapiu.

Motorowa łódź miała dwa pokłady i na szczęście wyglądała stabilnie. Emil wspomniał tęsknie swój luksusowy jacht stojący w marinie na wyspie Kos. Turyci szturmem zaczęli zdobywać upragnione miejsca na wyższym poziomie, na wyścigi kładąc na nich plastikowe reklamówki z piwem i kanapkami.

– Zobacz. – Danka trąciła Emila łokciem. – Tamta babka ma siatkę z Bonusa! – zachichotała.

Emil spojrzał na zachmurzone niebo.

– Tak się ścigają na górę, a zobaczysz, nie minie kwadrans i będą stamtąd wiać w te pędy. Niech tylko słońce wyjdzie – szepnął i pociągnął Dankę w stronę dolnego, przyjemnie

zacienionego pokładu.

Emil bez żadnych problemów zajął niewielki stolik stojący strategicznie nieopodal baru.

– Drogo trochę – mruknął, studiując tablicę z cenami.

Danka otworzyła szeroko oczy i zaczęła się śmiać. Tak bardzo, że w końcu się popłakała.

– Warto było przeżyć to wszystko właśnie dla tej jednej chwili – wysapała w końcu, trzymając się za brzuch. – Nie przejmuj się cenami, dzisiaj ja stawiam – dodała i ponownie zaniósł się śmiechem. – Nie będziemy jak tamci, z ciepłym piwem z reklamówki. A co? Kto bogatemu zabroni?

Emil początkowo się nastroszył, ale dobry nastrój Danki okazał się zaraźliwy. Zwłaszcza że jej reakcja była w pełni uzasadniona. Milioner w koszulce z napisem „Piwo to moje paliwo”, w hawajskich szortach i tandetnych klapkach, stojący przed barem i martwiący się, że trzy euro za piwo to przesada, musiał stanowić zabójczy widok.

– W sklepie za tyle kupilibyśmy dwa – podchwycił klimat.

– Kupię ci dwa, a niech tam. Raz się żyje!

Pogodowe proroctwo Emila spełniło się kilka minut po wypłynięciu z portu – wiatr rozwał chmury i słońce zaczęło prażyć niemiłosiernie. Ludzie uciekali z górnego pokładu w poszukiwaniu cienia. Niejeden z amatorów piwa z siatki spoglądał pożądliwie na oszronione kufle Danki i Emila. Na kameralny stolik także.

– Uwielbiam oliwki kalamata – oświadczyła Danka, wkładając brązową kulkę do ust. – Zupełnie nie rozumiem, jakim cudem nie wiedziałam wcześniej o ich istnieniu?

– Ale kupować przystawki nie musiałaś, droga pewnie. – Emil umoczył kawałek pszennej bułki w miseczce z miejscową oliwą. – Mmm, zawsze używam najlepszych, a okazuje się, że ta lokalna bije je smakiem na głowę.

– Nie kupiłam, tylko dostałam, w gratisie do piwa. Chyba wpadłam facetowi w oko – powiedziała pogodnie Danka i zabawnie skrzywiła usta.

Emil podniósł głowę i zlustrował barmana złym wzrokiem. Jego oczy zwęziły się w szparki. Ostentacyjnie odłożył widelczyk, którym jeszcze chwilę temu zamierzał zaatakować kawałek fety, i skrzyżował ramiona na piersi.

– Co ci się stało? Jedz!

– Jakoś straciłem apetyt – odburknął.

– Jak sobie chcesz – odparła pogodnie i zjadła kolejną oliwkę. – Zobacz, jak pięknie!

Wyspa Zakynthos z każdą chwilą rosła na horyzoncie. Można już było z łatwością dojrzeć potężne jasne klify i coraz bardziej lazurową wodę w zatokach.

– Idę robić zdjęcia. – Danka zerwała się na równe nogi i pobiegła na górny pokład.

Emil początkowo zamierzał pilnować stolika, ale ciekawość wzięła górę. Wszedł po schodkach i przez chwilę obserwował, jak Danka podnosi aparat i koncentruje się na celu. Jej zwiewna sukienka łopotała na wietrze, odsłaniając zgrabne nogi.

Przed statkiem rósł imponujący skalisty brzeg.

– Idzie pan czy tylko schody blokuje? – odezwał się jakiś męski głos, rujnując Emilowi piękną chwilę.

– Przepraszam – mruknął poirytowany i podszedł do Danki.

– Tu jest bajecznie! – ekscytowała się. – Widzisz kolor tej wody? Myślałam, że zdjęcia w folderach reklamowych są podkręcane w Photoshopie, ale na żywo wygląda to jeszcze lepiej.

– Szanowni państwo! – rozległ się w głośnikach głos hotelowej rezydentki. – Za chwilę wpłyniemy do tak zwanej Zatoki Wraku i wysiadzimy na plaży Navagio. Jest ona dostępna wyłącznie od strony morza, ponieważ, jak państwo widzicie, z każdej strony otaczają ją wysokie klify. Wrak, który rozsławił tę plażę, to nic innego tylko pozostałość po statku przemytników

papierosów. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku porzucili go oni na morzu i motorówką uciekli przed policją. Statek dryfował i ostatecznie osiadł na plaży, stając się atrakcją turystyczną. Plaża Navagio i dno zatoki usypane są z drobnych, białych kamyczków, przez co woda w tym miejscu ma niespotykane intensywny turkusowy odcień.

– Nie może być bardziej turkusowa niż tutaj. – Emil zbagatelizował informację.

– A jednak może – powiedziała oczarowana Danką, gdy ich wycieczkowiec opłynął klif.

Faktycznie, zatoka wyglądała olśniewająco. Wysokie na trzysta metrów skalne ściany sprawiały, że plaża wydawała się maleńka.

Podpłynęli bardzo blisko. Trap wysunął się wprost na drobne kamyczki.

– Dno musi tu opadać bardzo szybko – skomentował Emil.

Zszedł przed Danką i podał jej rękę, żeby bezpiecznie dotarła z ciężkim aparatem na suchy brzeg. Podniecona przepiękną scenerią nawet tego nie zauważyła. Emil uśmiechnął się pod nosem i pomyślał, że w końcu coś go cieszy i że wreszcie znalazł cel. Gdy już odzyska własne życie, pokaże tej dziewczynie cały świat.

Krystyna Świdorska potarła zmęczone oczy i zamknęła klapę laptopa. Przez chwilę patrzyła na przylegający do gabinetu mały ogród zimowy z otwartymi na oścież drzwiami. Fala majowych upałów wreszcie zelżała, więc kobieta z dużą ulgą wyłączyła klimatyzację. Ponad wszystko ceniła sobie świeże powietrze nadbużańskich lasów. Wstała i wsunęła bose stopy w dekorowane cyrkoniami japonki. Wyszła do ogrodu i przez chwilę śledziła powolne opadanie zachodzącego na czerwono słońca.

Leniwym gestem wyjęła z kieszeni peniuaru telefon i wybrała połączenie.

– Halo?? Igorku, słuchaj, mam dla ciebie prawdziwą bombę – powiedziała zamiast przywitania. – Jaką? Wyobraź sobie, że właśnie skończyłam pisać scenariusz filmu i mam tam idealną rolę dla ciebie. O czym film? Już opowiadam. – Zdjęła klapki i rozpoczęła przechadzać się boso po miękkim trawniku przed tarasem. – No to posłuchaj. Dziewczyna jest zaniedbana i otyła. Pracuje w sklepie na kasie. On jest bogatym milionerem, który zakłada się z przyjacielem z dzieciństwa, że znajdzie nieatrakcyjną babkę i zrobi z niej piękność. Tak, tak! Prawie Pigmalion, ale nie do końca. Chce mu udowodnić, że pieniądze mogą wszystko. Do tego jest jeszcze wątek kryminalny, bardzo ciekawy – zapewniła. Przez chwilę słuchała rozmówcy. – Skąd mi to przyszło do głowy? Z życia, Igorku, z życia! – roześmiała się. – Wyślę ci tekst jeszcze dzisiaj – obiecała i zakończyła połączenie.

Odruchowo spojrzała w miejsce, gdzie jeszcze niedawno płonęło sto świec, a Danką robiła jej zdjęcia. Krystyna była na siebie wściekła, że bezmyślnie zraziła do siebie dziewczynę. Ta zadzwoniła wprawdzie, że zamierza wrócić i dokończyć zlecenie, ale jakoś nigdy nie dotarła. Jej telefon milczał od dawna, na mejle także nie odpisywała. W jej mediach społecznościowych również panował zastój. Co takiego mogło się stać?

– Gdzie się podziewasz, panno Popiołek? – powiedziała do siebie Świdorska.

W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że zapyziałe miasteczko, do którego przywiózł ją poznany na lotnisku mężczyzna, faktycznie jest stolicą. Ta kojarzyła jej się z wysokimi szklanymi biurowcami, a Argostoli było niewielką miejsciną składającą się z portu i niskich domów ciągnących się wzdłuż wąskich ulic. Budynek dworca zaskoczył ją jeszcze bardziej. Zwykle w takich miejscach zasięgała języka, spotykała ludzi z półświatka i po krótkiej rozmowie wiedziała, dokąd dalej iść. Tutaj zastała niski budynek z poczekalnią i kilka stanowisk

autobusowych. Nie działo się tu nic godnego uwagi, więc wyszła na zewnątrz jeszcze szybciej, niż weszła.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się nadmorski bulwar, a nieco dalej długa kładka dla pieszych spinająca dwie strony zatoki. Nic, co mogłoby ją zainteresować. Ruszyła promenadą, bacznie obserwując otoczenie, i z każdą minutą docierało do niej z coraz większą mocą, że wpadła jak śliwka w kompot. Nadanie statusu stolicy tej zabitej dechami dziurze było dla niej totalną kpiną. Szybko zrozumiała, że w takim miejscu życie nocne nie ma prawa istnieć w żadnej formie.

Hotel, który właśnie ujrzała, także nie był obiektem jej marzeń, jednak postanowiła spróbować szczęścia. Niezależnie od wszystkiego jakoś musiała się na tej wyspie urządzić, a to wymagało pieniędzy. Weszła do środka i namierzyła pusty w czasie sjesty bar. To akurat było jej na rękę. Podeszła bliżej i uśmiechnęła się zalotnie do snującego się za kontuarem barmana. Doświadczenie podpowiadało jej, że tacy jak on wiedzą o wszystkim, co dzieje się w okolicy.

– Cześć – przywitała się po angielsku.

– Cześć. Przepraszam, ale jeszcze zamknięte – odparł uprzejmie.

Otakowała go spojrzeniem. Całkiem do rzeczy, ciemnowłosa i w średnim wieku. Nie wyglądał na Greka. Nie była wybredna, ale nie szukała faceta. Przynajmniej nie w tradycyjnym znaczeniu.

– Szukam pracy. – Od razu przeszła do rzeczy.

– W naszym hotelu?

– Wszystko jedno gdzie, bylebym mogła zarobić. – Roześmiała się gardłowo i znaczącym gestem uniosła piersi dłońmi.

– Tego typu usług w hotelu nie prowadzimy – zaprotestował stanowczo.

– Spokojnie kolego. Czy ja wyglądam, jakbym była z policji? Zresztą nie mówię o hotelu. Potrzebuję informacji, do kogo się zgłosić, żeby nie wejść na cudzy teren. Nie martw się, odwdzięczę się.

– Nie potrzebuję pieniędzy – zachnął się mężczyzna.

– A kto mówi o pieniądzach? – zapytała rozbawiona. – Jeśli masz mnie polecić, musisz przecież wcześniej poznać moje umiejętności. Nieprawdaż? – Oblizła usta. – Masz tu jakieś zaciszne miejsce?

Barman z trudem przełknął ślinę. Obrzucił ponętną dziewczynę wygłodniałym spojrzeniem, po czym skinął głową, wskazując tylne wyjście z baru. Gdy poszła w tamtym kierunku, ruszył za nią bez słowa. Przeszli wąskim korytarzem do części hotelowej przeznaczonej dla pracowników. Barman otworzył drzwi i przytrzymał przed nią, żeby mogła wejść do niewielkiego pokoju z jednoosobowym łóżkiem. Zamknął drzwi na klucz i stanął przed dziewczyną. Spojrzała mu prowokująco w oczy i osunęła się na kolana. Przez chwilę pocierała jego męskość dłonią przez materiał, później przesadnie powolnym ruchem rozpięła rozporek jego czarnych, garniturowych spodni.

Gdy wzięła go w usta, wydał stłumiony jęk. Chwycił ją dłońmi za głowę i docisnął, po czym natychmiast się zreflektował i ją puścił.

– Przepraszam – wykrztusił z trudem.

Przerwała na chwilę i uniosła głowę, znów patrząc prowokacyjnie.

– Nie przeszkadza mi to – odparła i wróciła do przerwanej czynności.

Ponownie wsunął palce w jej włosy i przytrzymując blondwłosą głowę w jednej pozycji, sam zaczął coraz szybciej poruszać biodrami. Wkrótce skończył i z cichym okrzykiem odsunął się od dziewczyny, po czym opadł ze spuszczonej spodniami na łóżko.

– No to teraz poproszę namiar na okolicznego alfonsa i już nie przeszkadzam –

powiedziała, ocierając usta.

– W sąsiednim barze. Pytaj o Costasa – wychrypiał. – Musisz już iść? Chętnie bym się odwdzieczył.

Spojrzała na niego i pomyślała, że właściwie to nie jest taki zły pomysł. Dawno z nikim nie była, a poza tym nic się nie stanie, jeśli spędzi w tym pokoju najbliższą noc. Sucho, bezpiecznie i w miłym towarzystwie człowieka hojnie obdarzonego przez naturę.

– To jak właściwie masz na imię? – zagaiła, ściągając z siebie ubranie.

Rozdział 11

Yanni przystanął w drzwiach całkiem pustej o tej porze sali jadalnej i z przyjemnością obserwował krzątającą się Dankę. Na jej widok jego usta rozciągnęły się w szerokim, szczerym uśmiechu.

Poprzedniego dnia po skończonej pracy odwiózł ją do miasteczka. Nie było daleko, ale w czasie krótkiej przejażdżki Danką pozwoliła zaprosić się na kolację i bez protestów przyjęła przelotne cmoknięcie w policzek na dobranoc.

Właśnie kończyła swoją zmianę. Dostrzegła szefa, pomachała mu energicznie i porządnie wytrzepała ostatni obrus. Złożyła go w schludną kostkę i umieściła wraz z innymi w okazałym tobole, który należało spuścić specjalnym zsysem do pralni.

– Gotowe! – Z przyjemnością pozbyła się służbowego fartuszka.

Yanni od razu zauważył, że tego dnia zrobiła ładny makijaż. Odkąd zamieszkała na wyspie, zdążyła chwycić nieco słońca i jej skóra nabrała ciepłej, miodowej barwy.

– Już skończyłam – oznajmiła. – Nie wiem, jaki masz plan, i nie wiedziałam, jak się ubrać, ale...

– Spokojnie. – Yanni uśmiechnął się pobłażliwie i przeczesał palcami błyszczące, lekko kręcone włosy. Były ciut za długie, ale za to przydawały mu chłopięcego wdzięku. – To nic specjalnego. Zaplanowałem piknik nad klifem, ale jeśli chcesz, możemy zmienić plany i zakotwiczyć w którejś z tawern.

– Nie chcę! Nigdy nie byłam na żadnym pikniku, a już tym bardziej nad klifem. – Danką się ucieszyła. – A co będziemy robić?

– Nic wielkiego. Jeść, pić i gapić się na światła przepływających statków.

– Brzmi naprawdę świetnie. – Z radością przystała na propozycję i czym prędzej pobiegła po swoje rzeczy. – Możemy iść – oznajmiła. – Jestem gotowa.

Czarny mercedes Yanniego stał zaparkowany tuż przy tylnym wyjściu z hotelu. Danką przywykła niedawnymi czasy do luksusowych aut Emila, więc wbrew oczekiwaniom właściciela wcale nie omdlała z wrażenia, choć wyraziła uznanie dla skórzanej ciemnobieżowej tapicerki i dyskretnie podświetlonych na niebiesko zegarów. Umościła się wygodnie na przednim siedzeniu i uważnie zlustrowała otoczenie hotelu. Chyba nikt ich nie widział. Nie życzyła sobie żadnych plotek na swój temat. Że po nocy wozi się z szefem i nie wiadomo, co jeszcze.

Yanni troskliwie sprawdził, czy dopięła pas, i łagodnie wycofał na drogę. W mdłym świetle kontrolek jego wyrazisty profil przywodził na myśl stare greckie monety, których ilustracje z książki do historii pamiętała jeszcze z podstawówki. Zafascynowana wstrzymała oddech. Nie potrafiła oderwać oczu. Oprzytomniała, dopiero gdy Yanni odwrócił wzrok od drogi i spojrzał na nią.

– I? – zapytał.

– I co? – Kompletnie nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Czy wszystko z tobą okej? Już dwa razy pytałem, czy mam zatrzymać się na klifie, czy może wolałabyś plażę?

– Nie wiem. A co jest bliżej? – Postanowiła ułatwić mu wybór i przyspieszyć postój. Zgodnie z sugestią Yanniego nie zjadła nic na kolację i właśnie zaczęła być głodna.

– W takim razie plaża – zarządził i ostro skręcił w boczną, krzywo wybrukowaną uliczkę.

Po kilku minutach znaleźli się w miejscu, które dosyć udatnie udawało parking. Zostawili samochód i udali się w dół klifu dość stromą ścieżką, wijącą się wśród bujnej roślinności.

Wszędzie panoszyły się akacje i rozmaite kaktusy.

Wokół nie było żywego ducha. Danka nie dostrzegała żadnych domostw. Jedynie od strony miasteczka docierała jasna łuna ulicznych świateł. Morze szumiało cicho, po pociemniałym horyzoncie sunął dostojnie wielki, rzęsiście oświetlony wycieczkowiec. Pomiędzy rytmicznymi uderzeniami fal wyczulone ucho mogło wyłapać przytłumione odgłosy hucznej zabawy na pokładzie.

Danka wstrzymała oddech.

– Podoba ci się? – zapytał Yanni.

Z ulgą zrzucił z ramion grube koce, postawił na ziemi kosz z jedzeniem i termiczną torbę ze schłodzonymi napojami.

– Czy podoba? Jestem zachwycona! – Danka ochoczo sięgnęła po koce.

– Poskładaj podwójnie. Kamienie trochę gniotą.

Yanni przygotował ten piknik starannie, więc po krótkiej chwili zapłonęła nieduża naftowa lampka, a na kocu wylądowały pudełka pełne lokalnych specjałów, których próżno by szukać na hotelowym szwedzkim stole.

– Jakie pyszności! A co to? – Danka łakomie zaglądała pod wieczka. Zanim się na coś zdecydowała, wetknęła do ust największą oliwkę, jaką widziała od początku pobytu w Grecji.

– A do wyboru, do koloru, szanowna pani – powiedział Yanni i przymrużył oko. – Dziś kuchnia serwuje kraby i ostrygi. Na początek proponuję małże gotowane w białym winie.

Przed nosem Danki, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wylądowała miseczka czarnych muszli. Zaciekawiona sięgnęła po pierwszą z brzegu.

– Tę zostaw! Wyrzuć! – mężczyzna zareagował gwałtownie.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Bo jest zamknięta. Takie są niedobre. A przy jedzeniu używaj wyłącznie palców – odparł Yanni.

O tym akurat zwyczaju słyszała już wcześniej, kiedy na okoliczność upewniania się, co serwuje jej dietetyczny catering, każdego dnia dowiadywała się nowych rzeczy. Mimo że savoir-vivre przewidywał rozmaite rodzaje sztuców do konsumpcji owoców morza, małże należało jeść bez udziału metalu, który potrafi całkowicie zmienić skład chemiczny potrawy.

Danka nabrała nieco winnego sosu na pustą połówkę muszli i siorbnęła z apetytem.

– Sorry, tego się nie da elegancko zjeść – usprawiedliwiła się, ponownie sięgając do miseczki. – Co jeszcze polecasz?

– A tak, oczywiście, do usług. – Yanni się zreflektował i sięgnął po kolejne pudełka. – Mamy tu także kalmary, faszerowane bakłażany i baranowe pierożki z ciasta filo.

– Baranowe?

– Z baraniną! – roześmiał się. Wziął trójkątny pierożek w palce i podsunął go Dance do ust. – Osobiście uważam, że są niezłe.

Nie przepadała za baraniną, ale jej towarzysz tak się postarał, że posłusznie włożyła do ust wysmażony na głębokim tłuszczu chrupiący trójkącik. Cieniutkie ciasto trochę przypominało jej to ryżowe, używane w sajgonkach. Nie chcąc robić mu przykrości, przełknęła mięsny farsz i sugestywnie skierowała swoją uwagę na bakłażana. Yanni nie znał historii Danki i zapewne w jego mniemaniu ładna figura towarzyski była darem niebios, a nie wynikiem pełnej wyrzeczeń półrocznej katorgi.

Przez chwilę w ciszy delektowali się pysznym jedzeniem. Dance grecka kuchnia bardzo przypadła do gustu, pomijając oczywiście koszmarnie słodką i ociekającą syropem bakławę na deser, bez której nie mogła się obejść większość lokalnych posiłków. Szczęśliwie jej towarzysz wybrał na dzisiejszy wieczór świeże figi, wystarczająco dojrzałe i słodkie na godny finał.

Idealnym uzupełnieniem kolacji okazało się białe wytrawne wino.

– Nie jest ci zimno? Może weźmiesz koc? – Nie czekając na odpowiedź, Yanni troskliwie okrył jej ramiona.

– Dziękuję – odparła i chętnie przyjęła kieliszek z chłodnym alkoholem.

I wcale jej nie zdziwiło, że chwilę później Yanni usiadł tuż obok. Otoczył ją ramieniem. Jego usta bezbłędnie odnalazły cel.

Danka od wczoraj przeczuwała, co się święci. Nie była przecież pierwszą naiwną i świetnie wiedziała, że żaden mężczyzna nie robi sobie tyle zachodu, jeżeli kobieta jest mu obojętna.

Już wcześniej zauważyła, że podoba się Yanniemu. Często miewała wrażenie, że szef z premedytacją wchodzi jej w drogę. Głównie po to, by przelotnie musnąć dłonią jej ramię, pochwalić z uśmiechem za dobrą pracę czy też zwyczajnie na nią popatrzeć. Skłamałaby, gdyby stwierdziła, że te awanse są jej niemiłe. Grek bardzo się jej podobał, cholernie ją pociągał, a ona, odkąd przegoniła Marka, nie była przecież z żadnym mężczyzną. To głównie z powodu atrakcyjnego szefa tak ochoczo przemierzała drogę do hotelu Paradiso w ostatnich dniach. Jego zainteresowanie bardzo jej pochlebiało.

Yanni był troskliwy, czuły i piekielnie atrakcyjny. Słowem: partner idealny. Nic dziwnego, że Danka oddała pocałunek i poczuła, że za chwilę rozplynie się z pożądania. Pragnęła jak najszybciej pozbać go ubrania, ale ją powstrzymał. Ujął jej dłoń i przycisnął do swojego krocza.

– Co czujesz? – zapytał cicho.

– Wielkie bogactwo – odparła ze śmiechem i rozsunęła suwak. – No proszę, proszę... – wymruczała z uznaniem. – Widzę, że naprawdę ci się podobam.

– Nie tylko mnie. Jemu też.

Gdy Yanni nareszcie pozbył się koszuli, w świetle księżyca Danka dostrzegła ładnie zarysowany tors i szerokie ramiona.

– Chodź już do mnie – wyszeptał niecierpliwie.

Danka uklękła przed nim i wzięła go w dłoń. Mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze i wycofał się w obawie, że skończy zbyt szybko. Dziewczyna wpadła mu w oko od pierwszego wejrzenia. Od początku starał się zrobić wszystko, by zaciągnąć ją do łóżka. Jak widać, wcale nie było to takie trudne. Gdy drżącymi palcami zdołała rozpiąć kilka guziczków, jęknął i wtulił twarz w jej obfity dekolt. Fala podniecenia zalała mu mózg.

Wcześniej obiecywał sobie, że nie będzie się śpieszył, tymczasem był napalony jak nastolatek. Danka podobnie, nie zawracając sobie głowy rozpinaniem reszty guzików, podkasła sukienkę, pchnęła Yanniego na plecy i usiadła na nim okrakiem. Zwilgotniała już wcześniej, tak bardzo, że aż zrobiło się jej trochę głupio, ale gdy tylko penis wniknął do jej ciepłego wnętrza i wypełnił ją całkowicie, zapomniała o skrępowaniu i o bożym świecie. Równie dobrze w tej chwili mógł zakotwiczyć przy plaży wycieczkowy statek pełen turystów. Pewnie nie zwróciłaby na to uwagi.

Na spełnienie nie czekała zbyt długo. Wykrzyknęła w ciszę imię Yanniego i targnięta orgazmem opadła na jego pierś. Natychmiast otoczył ją ramionami. Dysząc ciężko, przyłgnęła, słuchając, jak mocno wali mu serce. W jej oku zakręciła się łezka wzruszenia. Leżąc w objęciach mężczyzny, poczuła się całkowicie bezpieczna.

– Ty płaczesz? Zrobiłem ci krzywdę? – zaniepokoił się Yanni.

– Nie. To chyba z radości. Dawno nie było mi tak dobrze – odparła Danka i pocałowała go w usta.

Jeszcze nigdy przy żadnym mężczyźnie, z którym była, nie czuła się tak jak teraz. Nawet

przy Marku, mimo że kiedyś twierdził, że ją kocha. Tymczasem teraz przepełniała ją cała gama uczuć: od tliwości, ulgi i radości, przez ufność, aż po intensywne pożądanie. Yanni wyznaczał nową jakość.

– Idziemy popływać? – zaproponował.

– Ale tak nago? – zapytała mało przytomnie.

– A widzisz tu kogoś? – roześmiał się i pomógł jej wstać.

– Zaczekaj, chyba dostałam wiadomość. – Przez ażurową tkaninę torby przebiło się nikle światelko z wyświetlacza. – To pewnie, yyy... Marian. – W ostatniej chwili ugryzła się w język.

Nie pomyliła się – Emil dwukrotnie wysłał jej esemesa z pytaniem, kiedy wróci. Usiłował się też kilka razy dodzwonić, ale Danka wyciszyła telefon. Odpisała mu, że wszystko jest w porządku i żeby na nią nie czekał. Fascynujący wieczór dopiero się rozkręcał.

Pozbyła się reszty ubrania i ufnie pozwoliła Yanniemu, by poprowadził ją w ciemną, lekko sfalowaną toń.

– Uważaj, tutaj dość szybko robi się głęboko – ostrzegł.

– Spokojnie, dobrze pływam – zapewniła go z uśmiechem.

Codzienne treningi w jeziorze na Mazurach sprawiły, że nabrała niezłych umiejętności. Nigdy jednak nie trenowała tam bez kostiumu kąpielowego. Pływanie nago dostarczyło jej całkiem nowych, przyjemnych doznań. Ciepła woda opływająca łagodnie ciało oraz otulająca ich ciemność sprawiły, że Danka poczuła się jak w innym wymiarze. A gdy już oboje przysiedli na brzegu i Yanni objął ją mocno, odniosła wrażenie, że fruwa. To właśnie tak musiało wyglądać szczęście.

Zachwycony mężczyzna zaczął pieścić jej piersi, a ona ponownie poczuła, że go pragnie.

– Może przenieśmy się na koc? – zaproponował. – Nie jesteś głodna? Zostały nam jeszcze ostrygi. Wiesz, że to sprawdzony od stuleci afrodyzjak?

– Wiem, ale mnie raczej niepotrzebny – rzuciła, po czym zerknęła w dół i dodała rozbawiona: – I jak widzę, tobie też nie!

Teraz to on całkowicie przejął inicjatywę. – Tego wieczoru jeszcze dwukrotnie wykrzykiwała jego imię.

– Tak mi dobrze, że chciałabym, by ta noc nie miała końca – wyszeptala mu wprost do ucha.

Zadrżała lekko od chłodnej nocnej bryzy, więc natychmiast okrył ją kocem i przygarnął, by jak najściślej przylgnąć do jej ciała.

– Ja też. Ale nie martw się, będą przecież następne. I następne.

– Tyle że już żadna nie będzie taka jak ta. Pierwsza noc przydarza się tylko raz.

Dochodziła druga w nocy, gdy Yanni wysadził ją pod tawerną Jorgosa. O tej porze wszystko było już pozamykane na głucho. Na szczęście na piętorko prowadziły także osobne schodki na zewnątrz, zatem nie było potrzeby za każdym razem przechodzić przez tawernę. Danka wspięła się po nich cichutko.

Emil nie spał, więc w nocnej ciszy wyraźnie usłyszał dźwięk podjeżdżającego samochodu. Zerknął zza firanki i od razu rozpoznał auto szefa.

– Niech cię szlag trafi, gnoju! – wycedził wściek-le, zaciskając pięści na widok całującej się pary.

Tego się nie spodziewał. Nie żeby Danka miała w imię nie wiadomo czego przywdziewać pas cnoty, ale nie sądził, że uda się jej wyrwać najlepsze męskie ciacho w okolicy.

Bez bicia musiał zgodzić się z tym, że konkurencję ma silną. Musiał także przyznać, choć niechętnie, że jest zwyczajnie zazdrosny. Odkąd sięgał pamięcią, kobiety służyły mu jedynie do łóżkowych rozrywek. Rzadziej do celów reprezentacyjnych, jednakże zawsze traktował je

przedmiotowo. Z Danką było inaczej. Jedyna dziewczyna, jaką znał, która nie dała się kupić i która skutecznie uzmysłowiła mu, że kobiety to także ludzie, a życie to nie tylko pieniądze i seks.

Związując się z nią półrocznym kontraktem, mimo woli ukręcił na sobie bicz. Jego erotyczne potrzeby utrzymywały się na stałym poziomie, ale z nieznanym sobie przyczyn ostatnio pragnął wyłącznie Danki. Tymczasem ona traktowała go jak kumpla. Tyle dobrego, że wybaczyła mu wpadkę z sylwestrowej gali. To, że znów mogli spędzać razem czas, wprawiało go w koszmarną ambiwalencję. Z jednej strony cieszył się ze wspólnych chwil, wdzięczny, że w najgorszych momentach podtrzymała go na duchu, z drugiej jednakże strony trafiał go szlag, że nie może jej mieć. Jeżeli nie chciała go wtedy, gdy pławił się w forsie, tym bardziej nie mogła chcieć gołodupca, który cieszył się z pierwszej wypłaty za kelnerowanie przy hotelowym basenie.

A teraz na dodatek ten cholerny grecki adonis sprzątnął mu Dankę sprzed nosa.

Dźwięk zatraskiwanych drzwiczek wyrwał go z zadumy. Emil wszedł do łóżka i odwrócił się do ściany. Usłyszał, że Danką wchodzi i zamyka się w łazience.

A przecież nie taki miał być plan! Tak bardzo chciał sprawić jej przyjemność i odwdziżyć się za wszystko, co dla niego zrobiła, że z pierwszej skromnej wypłaty postanowił kupić jej jakiś upominek. Nie miał pojęcia, co by to miało być, choć wiedział już, że nawet drobiazg wywoła uśmiech na jej twarzy. Początkowo wybór padł na ręcznie malowany kubek, ale gdy Emil ujrzał lampionik wykonany z białego drewna i ręcznie malowanych szkiełek, natychmiast zmienił zdanie. Wypytał sprzedawcę, w jaki sposób umieścić w środku niewielką okrągłą świeczkę, i zachwycony grą światła i kolorów na kolorowych szybkach od razu się zdecydował. Jak się okazało, wytwarzaniem lampionów trudnił się syn sprzedawcy, który, zadowolony z transakcji, dorzucił od siebie niewielki bębenek z napisem Greece. Emil uśmiechnął się, bowiem jak świat długi i szeroki, wszędzie sprzedawano identyczne chińskie bębny. W zależności od kraju różniły się jedynie napisem.

Aż do teraz z zasady omijał podobne stragany, słusznie twierdząc, że oferują wyłącznie pamiątkowy chłam, a tymczasem zaskoczony gładził barwną szybkę i zastanawiał się nad techniką malowania na szkło.

Tego dnia skończył pracę trochę wcześniej niż zwykle. Wpadł na pomysł, że zaprosi Dankę na wino do jakiejś innej tawerny niż ta, nad którą mieszkali, i tam wręczy jej upominek. Cieszył się na myśl, że spędzą razem kilka chwil w innym miejscu niż mieszkanie i praca. W końcu każdemu od czasu do czasu należała się chwila relaksu.

Nie mogąc dodzwonić się do Danki, sam wrócił do mieszkania. Ustalił nawet z Jorgosem, że w razie czego weźmie wolne na wieczór, ale niestety jego plan nie wypalił. Przeklęty Yanni wpakował się między wódkę a zakąskę i pokrzyżował mu szyki. I to, zdaje się, na dłużej.

Danka na paluszkach przyszykowała się do snu. Pełna wrażeń najchętniej posiedziałaaby sobie jeszcze na plaży, ale nazajutrz też był dzień. Choć miała w grafiku dopiero południową zmianę, tak czy siak musiała się wyspać.

– Myślałem, że już nigdy nie wstaniesz – powiedział Emil z wyrzutem w głosie, stawiając na stoliku dwa kubki z kawą.

– A coś się stało? – zapytała sennie Danką i potarła oczy.

– Nic! – prychnął. – Mogłaś przynajmniej powiedzieć, że wrócisz nad ranem, to zmienilibym plany.

– To ty miałeś jakieś plany? Tutaj? – zdziwiła się szczerze.

– No wyobraź sobie, że tak! – zachnął się Emil. – Poza tym, jakkolwiek by było, mieszkamy razem i wypadałoby przynajmniej wysłać esemesa, żebym się nie denerwował.

Myślałem, że coś ci się stało.

Danka w milczeniu usiadła na łóżku, ważąc słowa Emila. Miał rację. Powinna była dać mu znać, że wróci późno.

– Przepraszam. Zupełnie o tym nie pomyślałam.

– Pewnie zajęta Yannim miałaś inne rzeczy na głowie. – Emil za późno ugryzł się w język.

– Ale o co ci chodzi? Przecież to nie twoja sprawa – odparła Danka, nieco zdziwiona, skąd wie, z kim była.

– Racja. Przepraszam. Poniosło mnie trochę. – Uśmiechnął się pojednawczo. – Wczoraj dostałem pierwszą wypłatę i chciałem ci zrobić niespodziankę – wyjaśnił. – Myślałem, że dasz się zaprosić gdzieś na wino, ale... Proszę, to dla ciebie. – Sięgnął pod stół i podał jej lampion.

– Och, jaki cudny! – ucieszyła się. Przyjrzała się uważnie. – Dziękuję. Skąd wiedziałeś, że mi się spodoba?

– Na wypadek jakbyś zapomniała, przypominam, że już trochę zdążyłem cię poznać. – Emil nareszcie się udobruchał. – No i jeszcze zainwestowałem w wentylator – pochwalił się. – Ale to już prezent dla nas obojga. I jeszcze masz bębenek. Proszę.

– Fajny. Zawsze można na nim odbębnić kłopoty i niedobre myśli.

Po późnym śniadaniu nieśpiesznie i w jak najlepszej zgodzie udali się do Paradiso. Napięcie już się ulotniło i znów rozmawiali normalnie. Danka jak papuga powtarzała odmianę angielskich czasowników nieregularnych. Choć jeszcze nie mogła zrozumieć, o co w tym chodzi, zaufała Emilowi. Twierdził, że są niezbędne, zatem bez protestu klepała, jak kazał. Przy okazji nauczyła się także kilku przydatnych zwrotów. Lekcje zaczynały przynosić pierwsze efekty.

Do pracy dotarli w doskonałych humorach. Pokonawszy rozległy hol recepcyjny, zamierzali się rozejść każde w swoją stronę, gdy nagle jak spod ziemi wyłonił się Yanni w towarzystwie zażywej turystki po pięćdziesiątce. Była wyraźnie wzburzona. Na widok Emila oskarżycielsko wycelowała wskazujący palec.

– To on! To ten złodziej! – zawołała na całe lobby.

Kilka głów od razu zwróciło się w ich stronę.

Emil zdębiał, Danka jeszcze bardziej.

– Ale jak to? – zapytała bezradnie, spoglądając kolejno to na Emila, to na kobietę, to na Yanniego.

Ten przytomnie zabrał wszystkich do położonej tuż obok niedużej salki konferencyjnej. Czekala ich niemiła konfrontacja, a on nie chciał, żeby awanturze przysłuchiwali się goście.

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się dzieje? – zapytał, wrogo spoglądając na Emila.

– Oczywiście! Ten barman podstępnie wyłudził ode mnie sto euro! Zapłaciłam mu wczoraj za whisky, a on nie wydał mi reszty. Po czym zniknął i tyle go widziałam. To skandal! – Kobieta teatralnie powachlowała się serwetką.

– Przecież jestem. Proszę, to są pani pieniądze. – Emil zachowywał się wyjątkowo spokojnie. Z ulgą zwrócił banknoty. – Zapomniała pani reszty, a potem to pani gdzieś się ulotniła. Czy wszystko się zgadza? To pani banknoty?

Zaserwował kobiecie szalowy uśmiech, a ta pochwyciła pieniądze, skinęła głową i ulotniła się w jednej sekundzie.

– Czy ja mogę wiedzieć, co jest grane? – zapytał Yanni. – Chciałeś ukraść tej kobiecie sto euro?

– A skądże! – zaprotestowała Danka gwałtownie. – Przecież Marian nie jest złodziejem!

– Czyżby?

– To proste. – Emil wzruszył ramionami. – Widzieliście, że to było sto euro w pięciu

dwudziestkach? Czy ktokolwiek na basenie płaci w taki sposób? Poza tym nie wzięła whisky, tylko bezpłatne piwo. Wsunęła mi wczoraj tę kasę do kieszeni razem z numerem swojego pokoju. Zakładam, że w celu wiadomym, ale nie zamierzałem jej odwiedzać. I stąd afera. Zobaczcie sami.

Yanni z uwagą zerknął na niedużą karteczkę, na której widniał numer pokoju. Prowadził hotel nie od dziś i świetnie wiedział, co jest grane. Seksturystyka kwitła na całym świecie. Także w Paradiso.

– Czy teraz mi wierzysz? – zapytał Emil, chcąc już wrócić do pracy. Sam fakt, że kobieta chciała zapłacić mu za seks, wystarczająco go upokorzył, a co dopiero rzucone przez nią publiczne oskarżenie i donos do szefa.

Yanni przez chwilę mierzył Emila wzrokiem, ale w końcu skinął głową.

– Wierzę, ale nie możesz tu nadal pracować. A przynajmniej dopóki ta kobieta nie wyjedzie. Jeszcze gotowa wysmarować hotelowi jakąś paskudną opinię.

– Przecież w tym czasie on może pracować gdzie indziej – wtrąciła się Danka. – Wystarczy, że zejdziesz jej z oczu.

Pomysł się spodobał. Niestety, ku niezadowoleniu Emila, padło na hotelową pralnię.

Nie miał wyjścia. W zaistniałej sytuacji nie mógł ot tak po prostu nie pracować.

Z miną męczennika niedoszły hotelowy żigolo niechętnie podążył do windy i zjechał do podziemi. Natomiast Yanni, korzystając z faktu, że w sali konferencyjnej zrobiło się luźniej o jedną osobę, przekręcił zamek w drzwiach i mocno pocałował Dankę. W jego spodniach znów zrobiło się gorąco, podobnie jak w koronkowych majtkach podniecone dziewczyny. Nie zaprotestowała, gdy posadził ją na stole, i bez zachęty rozsunęła nogi. Gdy wniknął w nią jego język, z jękiem opadła plecami na szeroki blat. A chwilę później, już obrócona tyłem, z rozkoszą przyjęła sztywną i gorącą męskość. Myślała, że oszaleje. Pokątna schadzka jeszcze dodała pikanterii. Na szczęście jej kochanek w porę wyczuł zbliżający się orgazm. Dłonią zakrył Dance usta, a sam wraz z kulminacyjnym pchnięciem wydał stłumiony przeciągły jęk.

Rozdział 12

Romans Danki z Yannim trwał w najlepsze. Mężczyzna był bardzo dyskretny i w pracy nie dawał po sobie poznać, że cokolwiek ich łączy. Rozumiała to świetnie i w duchu cieszyła się z tego. Związek szefa z pracownicą żadnemu z nich nie przysporzyłby sympatii. A Danka czuła się w Paradiso bardzo dobrze. Polubiła nowe koleżanki, z anielską cierpliwością znosiła fanaberie gości i ze stoickim spokojem sprzątała stołówkę po kolejnych posiłkach.

– Jezu, ktoś wrzucił granat do tego ryżu? – jęknęła Marzena, spojrzawszy na bemary.

– Nie – odparła zrezygnowana Danka. – Po pros-tu dzieci się bawiły...

Koleżanka nie skomentowała. Nie takie rzeczy widziała podczas trzech sezonów przepracowanych w Paradiso. Nic ciekawszego od okularów słonecznych utopionych w garze z zupą soczewicową zapewne już się nie przydarzy.

– Dobra – westchnęła. – Trzeba pościągać wszystko, łącznie z podgrzewaczami. Inaczej będziemy dłubać po ziarenku aż do jutrzejszej kolacji. Swoją drogą, czy rodzice nie mogliby pilnować swoich własnych dzieci?

– Po co? – roześmiała się ironicznie Danka. – Przecież szanowne państwo płaci i wymaga.

W rzeczywistości aż tak źle nie było. Większość wczasowiczów zachowywała się przyzwoicie, choć oczywiście zdarzali się i tacy, których najchętniej utopiłoby się obok rzeczonych okularów w garze z zupą. Kelnerki miały swój system punktowania piekielnych urlopowiczów. Dziesięć punktów, czyli maksimum, zdobywali nieliczni.

– Idzie jedenastka. Czego ona znów chce? – szepnęła Marzena.

Nadchodząca energicznym krokiem zażywna paniusia, ta sama, która próbowała zrobić Emila w kradzież, miała skrzywioną minę i niosła w dwóch palcach ostentacyjnie wyprostowanej ręki coś niewielkiego.

– Znalazłam to – powiedziała pełnym pretensji głosem, kładąc nacisk na drugie słowo. – Pod leżakiem przy basenie!

– Ale to przecież gałązka? Z tego, co widzę, pochodzi z drzewa oliwnego – wykrztusiła z trudem Danka. – Dlaczego pani ją nam pokazuje?

– Ja widzę śmieć! – warknęła baba. – Czy w tym obiekcie nikt nie sprząta?

– Z całą pewnością sprzątam regularnie – odparła pojednawczo Marzena. Nie bez wysiłku przesunęła urządzenie do podgrzewania na bok stołu.

– Tu, jak widzę, też kompletny syf – skomentowała urlopowiczka złośliwie. – Najpierw kradzież, jedzenie beznadziejne, woda w basenie zimna i jeszcze brud. Oj, opiszę was w internecie!

– Chyba w internecie – nie wytrzymała Danka.

– Bezczelność! – sapnęła wczasowiczka i odwróciła się na pięcie.

– Donos do Yanniego za trzy, dwa, jeden... – parsknęła Marzena.

– Nie mój problem. – Danka wzruszyła ramionami. – Baba jest nienormalna, więc nie zamierzam się nią przejmować.

– No jest. Dobrze, że jutro wyjeżdża.

– Już jutro? O jak się Eee... Marian ucieszy! Przez nią od tygodnia kibluje w pralni i słońca nie ogląda.

– Załatwiła go na szaro.

– Na szczęście Yanni jej nie uwierzył.

– Ale Marian kwitnie w pralni – skwitowała Marzenka. – Słuchaj, Danusiu, a ty tego Mariana znasz od dawna?

– Trochę znam. A co? – zapytała Danka, siląc się na obojętny ton.

– A sama nie wiem. W sumie tak myślałam, że on to się chyba w tobie podkochuje?

– Co takiego?! – Danka z wrażenia prawie wypuściła z rąk gar z resztką zupy.

– Cały czas wodzi za tobą wzrokiem, a jak kończycie zmianę o tej samej godzinie, to czeka na ciebie i razem wychodzicie. Musicie mieszkać gdzieś blisko siebie?

Danka nieco się zjeżyła. Nie lubiła takich przesłuchań, ale nie dała nic po sobie poznać. Marzena była miłą dziewczyną i nigdy wcześniej nie wyjeżdżała z podobnymi tekstami.

– My z Marianem po prostu się lubimy – odparła w końcu.

– A wiesz, bo ja w sumie nie bez powodu pytam – wyszeptała z zakłopotaniem studentka.

– Bo tak sobie pomyślałam, że skoro ty z nim nic, to ja może bym go zaprosiła gdzieś? Znaczy, tutaj to za bardzo nic się na wyspie nie dzieje, ale może do jakiejś tawerny?

– A Marian przypadkiem nie jest dla ciebie trochę za stary? – Danka, nie wiedząc czemu, poczuła przypływ irytacji.

– No coś ty! Ja lubię starszych – zapewniła gorliwie Marzenka.

– Ale on jest bez kasy. I bez większych perspektyw – podpuszczała ją.

– Ja nie zwracam uwagi na takie rzeczy – zachnęła się dziewczyna. – Jak coś ma być, to będzie. Nie rozumiem wyrachowania w uczuciach. A z niego jest przecież całkiem niezłe ciasteczko.

Danka spojrzała z uwagą. Może właśnie takiej partnerki potrzebował Emil? Takiej, która zobaczy człowieka, a nie jego miliony? Zaczęła intensywnie myśleć. Z jednej strony rozczulała ją postawa Marzeny, ale z drugiej podobne komplikacje do niczego nie były potrzebne. Wkrótce oboje wyjadą, a dziewczyna zostanie na wyspie ze zwichniętym serduszkiem. Jej myśli natychmiast pognały do ognistego Greka. Co zrobi ze swoim gorącym romansem, gdy inspektor Winkler ściągnie ją i Emila z powrotem do Warszawy? To były zbyt skomplikowane uczuciowo rozterki, więc odepchnęła je od siebie. Marzena była w porządku, więc z jej strony powinna mieć pełne błogosławieństwo. Tylko dlaczego wzbudzało to w niej taką irytację?

Drugi rekonesans po Argostoli utwierdził ją w przekonaniu, że trafiła na totalne zadupie. Szczęśliwym zrządzeniem losu wpadła na Borisa. Musieli zaliczyć dwa numerki, wykrzykując różne słowa po angielsku, zanim zrozumieli, że doskonale dogadają się po rosyjsku.

Barman pochodził z okolic Kazania, ona spod Kijowa. Być może Rosja z Ukrainą pozostawały w mocno napiętych relacjach, ale stosunki pomiędzy dwojgiem ich obywateli czasowo przebywających w Grecji były całkiem niezłe, by nie powiedzieć gorące.

Spędzili ze sobą trzy pasjonujące noce i Boris chyba zaczął przywiązywać się do pomysłu, że jego nowa kochanka zakotwiczy na dłużej w służbowym pokoiku na tyłach hotelu. Ale ona miała zupełnie inny plan, a żeby go zrealizować, potrzebowała funduszy.

Gdy Boris wypłatał się niechętnie z jej ramion i począł na popołudniową zmianę do hotelowego baru, ona wzięła prysznic, włożyła obcisłą czerwoną sukienkę i zrobiła wieczorowy makijaż. Z zadowoleniem przejrzała się w niezbyt czystym lustrze łazienkowym i wymaszerowała z hotelu na poszukiwania niejakiego Costasa.

Nocny klub wyglądał dokładnie tak, jak wyglądają tego typu przybytki na całym świecie. Czarne stoliki, czerwone kanapy, kolorowe światła i błyszczący bar, za którym oczywiście krzątał się barman. Żadnych greckich akcentów folklorystycznych, bielonych ścian czy niebieskich dodatków.

Uśmiechnęła się, zadowolona. W takich miejscach czuła się jak ryba w wodzie.

– Szukam Costasa – rzuciła, moszcząc się na wysokim stołku.

– A kto pyta? – odparł krępy facet z włosami zaczesanymi na żelu.

– Obietnica dobrego zarobku – odparła i powiodła spojrzeniem po butelkach ustawionych w równych rzędach na szklanych półkach. – Nalej mi wódki. Ale niedużo – zadysponowała.

Barman otaksował ją, po czym postawił szklankę na kontuarze i nalał potrójną porcję alkoholu.

– Nie zapłacę – ostrzegła.

– Potraktuję to jako inwestycję – odparł uspokajająco. – Jestem Costas i to mój lokal. Daję ci pięćdziesiąt procent i trzy darmowe drinki każdej nocy, plus dziesięć procent od zamówienia klienta. Pokoje są nad klubem. Zaczynasz od zaraz?

Skinęła głową z uznaniem. Facet nie bawił się w podchody i rzeczowo przeszedł do sedna. Przyzwoity układ finansowy, jaki zaproponował, też działał na jego korzyść.

– Zaczynam od razu – potwierdziła.

– Masz gdzie mieszkać?

Zawahała się krótko. Z jednej strony nie miała chęci zostawać na dłużej w służbówce Borisa, bo to oczywiście wiązało się z czynszem pobieranym w naturze, ale z drugiej, przyznając się do czasowej bezdomności, ryzykowała, że Costas już jej stąd nie wypuści. Alfonsi wcale nie rzadko przetrzymywali pracownice bez prawa wyjścia. Na ogół kończyły tak przyjezdne dziewczyny, których nie znał nikt w okolicy. Wchodziły do baru, tak jak ona teraz, i drzwi zamykały się bezpowrotnie. Jej przygodny kochanek stanowił względną gwarancję wolności, więc postanowiła to wykorzystać.

– Mieszkam u znajomego. On mnie tu przysłał – odparła zgodnie z prawdą.

– U Borisa? – zapytał domyślnie.

– Tak. I po robocie zamierzam do niego wrócić. Będzie czekał.

– Jasne, jasne. Boris to równy chłop i zajebiste drinki robi. Czasem bierze u mnie fuchy barmańskie, ale to bardziej w pełni sezonu. Teraz, jak widzisz, jest raczej pusto.

Rozejrzała się po wnętrzu. Przy jednym ze stolików siedziały trzy czarnowłose dziewczyny. Wyglądały na Greczynki.

– Mam się dosiąść? – zapytała Costasa, bezbłędnie rozszyfrowując, kim są nieznajome.

– Możesz – odparł. – Ale coś mi się wydaje, że nie na długo – roześmiał się donośnie.

Od strony dyskretnie ulokowanych w głębi sali głębokich czarnych kanap zmierzał w ich kierunku otyły Grek.

– Nieczęsto mam w lokalu blondynki, więc na brak klientów raczej nie będziesz narzekać – dodał Costas i zatarł ręce z uciechy. – A potem, jeśli będziesz chciała, przyjdź do mnie na mały numerek. Zapłacę ci za fatywę regularną stawkę – dodał, zaglądając w głąb jej dekoltu.

Nie odpowiedziała. Przybrała profesjonalny uśmiech i odwróciła się do grubasa. Chwilę rozmawiali. Zorientowała się, że mężczyzna jest stałym bywalcem. Bez zbędnych ceregieli poprowadził ją na schody. Nie umknęło jej, że dziewczyny siedzące przy stoliku odprowadziły ich spojrzeniami pełnymi nienawiści. Odnotowała w pamięci, że musi na nie uważać, ale i jak najszybciej spróbować się zaprzyjaźnić. I oczywiście mniej rzucać się w oczy.

– Wchodź. – Zasapany grubas wskazał na pierwsze z brzegu drzwi.

Weszła do środka i z ulgą zauważyła, że pokój jest czysty i schludny. Stłumiła westchnienie i odwróciła się do faceta. Nie miała nic przeciwko nadwadze, w końcu klient to klient, ale z doświadczenia wiedziała, że z takimi jest najwięcej roboty. Kładzie się taki jak kłoda i czeka na pełną obsługę. Tylko tak, przy swojej kiepskiej kondycji fizycznej, są w stanie zaznać jakiegokolwiek satysfakcji.

– Może się połóżysz? – zapytała miłym głosem.

Wyplątał się ze spodni i z miną dzieciaka czekającego na obiecany prezent opadł na łóżko.

Uśmiechnęła się zalotnie i podeszła bliżej. Pocieszyła się, że cała usługa zapewne nie potrwa długo. Facet był totalnie napalony.

Udo Winkler siedział przy biurku. W komisariacie panowała cisza, lecz on wiedział, że wkrótce się to zmieni. Dochodziła piąta rano. Nocni petenci zostali obsłużeni. Niektórzy z nich spali smacznie w piwnicznych celach aresztu, pozostali rozpięchli się po melinach, uciekając przed brzaskiem.

Kolejna fala zacznie oblegać komisariat koło ósmej. Tymczasem Winkler cieszył się spokojem i z zadumą patrzył w monitor z wyświetlonym profilem Ireneusza Obery. Tego samego, który w Austrii niemal pozbawił Kastnera życia.

Sprawdzał status sprawy zawodowego mordercy co kilka dni, bardziej z nawyku niż z nadzieją na przełom. Facet wymykał się organom ścigania od dawna. Tym większe było zdziwienie Winklera, gdy około godziny drugiej w nocy przy nazwisku „Obera” pojawił się napis: „Sprawa zamknięta”. Zaintrygowany spojrział na telefon, ale po chwili zastanowienia uznał, że koledzy z Interpolu będą bardziej skłonni do podzielenia się informacjami o nieco normalniejszej godzinie. Właśnie dlatego wciąż siedział przy biurku, nie mogąc doczekać się początku kolejnego dnia.

Przeciągnął się, ziewając donośnie. A potem wstał i nalał sobie kawy ze stojącego w rogu gabinetu ekspresu. Wziął kubek i podeszedł do okna. Brukowaną uliczką nie przejeżdżał ani jeden samochód, chodniki też były puste. Pomyślał, że taką bezludną i spokojną Warszawę zdecydowanie da się lubić.

Wrócił do biurka i dla odmiany zaczął przeglądać akta Wątorskiego. Podła gnida siedziała za kratkami i to stanowiło jedyne pocieszenie w tej całej sprawie. Udało się go posadzić wyłącznie dlatego, że w przeciwieństwie do innych kolesiów nie posiadał immunitetu i jakiegokolwiek sprytu. Do roli kozła ofiarnego nadawał się idealnie. Oczywiście miał na koncie nieskończenie wiele własnych sprawek, za które nie powinien wyjść na wolność do końca życia, ale przy okazji obciążono go wszystkim, co tylko się dało.

Z wybiciem ósmej podniósł telefon i nareszcie połączył się z kolegą z Interpolu. Wiele razy pomagali sobie nawzajem, działając nie do końca oficjalnie, więc Winkler wiedział, że może tamtemu zaufać. Działo to zresztą w dwie strony. Świetnie się ze sobą dogadywali także dlatego, że kolega był rodowitym Niemcem, nie istniała zatem między nimi bariera językowa. Poznali się lata temu w Wiedniu i od tego czasu utrzymywali sporadyczny, ale regularny kontakt.

– Udo, witaj! Co u ciebie? – przywitał się rozmówca.

– Cześć, stary! Wszystko w porządku. A u ciebie?

– W najlepszym – roześmiał się tamten. – Pogaduszki potem, a teraz powiedz, z czym dzwonisz? – przeszedł do rzeczy policjant.

– Ireneusz Obera – odparł krótko.

– Czyli już widziałeś, że mamy sukinsyna? Niestety, wiele już nie powie, bo opuścił nasz piękny świat. Nie żebym miał tęsknić...

– Co się stało?

– Jakaś starsza kobieta natknęła się na zwłoki leżące na plaży tuż za portem w Nicei. Szybko ustaliliśmy, co to za jeden.

– Wiadomo już, jak zginął?

– Widzę, że z punktu zakładasz, że ktoś mu pomógł? I słusznie. Dwie rany postrzałowe w pierś. Było raczej pewne, że nasz ptaszek starości nie dożyje.

– Macie jakieś podejrzenie, kto go sprzątnął? – zapytał Udo.

– Żadnych śladów, zabity gdzie indziej. Zwłoki podrzucono na plażę.

– To trochę dziwne.

– Dziwne – potwierdził policjant. – Tak jakby morderca chciał, żeby ciało zostało znalezione i zidentyfikowane. Pewnie jakieś rozgrywki pomiędzy bandziorami.

– Pewnie tak – odparł w zamyśleniu Winkler i podziękował koledze za informacje.

Odłożył telefon na biurko i potarł oczy. Teoretycznie powinien się cieszyć i uznać, że Kastnerowi nie zagraża już niebezpieczeństwo, ale wiedział, że to nieprawda. Skoro zabójca Obery nie zostawił śladów, musiał być, tak jak tamten, profesjonalistą. I to cholernie dobrym. A tacy nie porzucają ciał na widoku bez przyczyny. Obara spalił zlecenie na Kastnera, więc ktoś go za to ukarał i przy okazji pozbył się niewygodnego świadka.

To mogło oznaczać tylko jedno. Orzechowski i spółka właśnie wynajęli innego zbira do zlikwidowania Kastnera.

Wczesnym popołudniem nieznośny upał dawał się we znaki wszystkim mieszkańcom Katelios. Turyści chronili się w cieniu i w klimatyzowanych pomieszczeniach. Nawet lubiące się wygrzewać na słońcu białe koty pouciekały w najgęstsze zarośla.

– Myślałem, że już zwariuję w tej cholernej pralni – jęknął Emil, rzucając się na łóżko.

– A co się stało? – zapytała Danką z łazienki. Stała przed lustrem i tuszowała rzęsy.

– Klima wysiadła – poskarżył się. – Ściągam ciuchy i idę do morza. Czuję się jak ugotowana krewetka. Idziesz ze mną?

– Nie mogę – odparła. – Jestem umówiona.

– Z panem dyrektorkiem? – Emil się skrzywił.

– Mhm – mruknęła.

– Nie wiem, co ty w nim widzisz.

– Nie twoja sprawa.

Emil wstał i wyraźnie obrażony zaczął ściągać koszulkę. Danką zerknęła w lustro, w którym odbijał się fragment pokoju. Jej współlokator wrócił do formy, dzięki ciężkiej pracy i regularnemu bieganiu po plaży.

– Długo tam będziesz? – zapytał, stojąc w samych slipach.

– Jeszcze chwilkę!

– No dobra, to ja się przebieram tutaj. A ty się nie odwracaj – ostrzegł żartobliwie.

Dance aż zaschło w ustach, gdy Emil ściągnął slipy i zastanawiając się, gdzie podziały się jego kąpielówki, stał chwilę bez ruchu goły jak go natura stworzyła. Zrobiło się jej gorąco, a jednocześnie poczuła zakłopotanie. Spłoniła się jak niewinna dziewczyna. Rozbawiło ją to. Przecież nieraz widywała gołych mężczyzn, co więcej, właśnie się wybierała na spotkanie z Yannis, którego zamierzała w szybkim tempie pozbawić ubrań. A jednak w Emilu było coś, co ją onieśmielało.

Odwróciła wzrok i odchrząknęła.

– Już? – zapytała nieswoim głosem. – Bo wychodzę!

– Już!

– Dobra, to ja lecę! – powiedziała szybko. Chwyciła torebkę i nie nawiązując kontaktu wzrokowego, pośpiesznie czmychnęła z pokoju.

Już za progiem przypomniała sobie, że zapomniała Emilowi przekazać dobre

wiadomości. Wściekła turystka z jedenastką w dziesięciopunktowej skali w rankingu wkurzających klientów wyjechała rano w stronę lotniska. A to oznaczało, że mógł wreszcie opuścić pralnię i wrócić za bar. Zdecydowała, że powie mu później, gdy już wstawi się za nim u Yanniego.

Dyrektor Paradiso podjechał właśnie pod tawernę i wysiadł z samochodu. Danka pomachała mu na powitanie i podeszła.

– Co to za niespodzianka? – zapytała podekscytowana.

– Gdybym powiedział, nie byłoby niespodzianki – roześmiał się. – Ruszamy?

– Jasne – przytaknęła ochoczo.

Pojechali krętymi drogami w stronę Argostoli.

– Co ty wymyśliłeś? – ponowiła pytanie.

– Niedługo się dowiesz. A teraz, jeśli chcesz, z tyłu znajdziesz coś do picia. Jest lodówka z napojami, a w niej białe wino w małych buteleczkach – podsunął chytrze.

Danka dobrze wiedziała, co ma na myśli. Dobre wino wprawiało ją w doskonały nastrój i wyzwało ochotę na seks.

– Lepiej nie – odparła z miną niewiniątka i przyglądała krótką spódniczkę. – Jeszcze mi się niedobrze zrobi przez te zakręty.

Do godziny samochód wspiął się na spore wzniesienie. Yanni zaparkował na poboczu i wyłączył silnik.

– Chyba nie chcesz... Chyba nie chcesz tutaj...? – wyjąkała, rozglądając się po pustkowiu.

– Nie, głuptasie! – roześmiał się. – Wsiadaj. Chcę ci pokazać coś niesamowitego.

Zaintrygowana wyskoczyła z samochodu i podeszła za Yannim do barierki.

– Ale super! – zawołała. – Co to za miejsce?

– To Asos – odparł. – Lubię je nazywać perłą mojej Kefalonii.

Z wysokiego klifu, na którym stali, rozciągał się widok na skaliste przewężenie pomiędzy dwiema częściami wyspy. W dwóch powstałych dzięki temu zatokach widniało najpiękniejsze i najbardziej kolorowe miasteczko, jakie można było sobie wyobrazić. Na brzegu większej zatoki dawało się z daleka zobaczyć niedużą przystań dla łodzi, obok której wyrastały niewysokie domki. Pomiędzy nimi rosły drzewa oliwne.

Pejzaż zaskoczył Dankę, choć zdążyła już odwiedzić wiele pięknych miejsc na wyspie.

– Cudownie – szepnęła.

– No to ruszajmy!

– Jedziemy do miasteczka? – ucieszyła się.

– Przecież po coś się tu tłukliśmy te sześćdziesiąt kilometrów, prawda?

Imponująca trasa wzdłuż klifu bez jakiegokolwiek problemu mogłaby zdobyć tytuł najbardziej malowniczej drogi na świecie. A w trakcie zjazdu otoczone lazurem niewielkie Asos z każdą chwilą odsłaniało coraz więcej szczegółów. Gdy w końcu wjechali do miasteczka, Danka aż nie mogła się doczekać, kiedy wysiadą z samochodu.

Na miejscu Asos jeszcze bardziej zyskiwało na uroku. Kolorowe domy usytuowane tarasowo nad zatoką okazały się głównie tawernami. Dołem ciągnął się nadmorski bulwar, z którego można było zejść wprost na płyciznę z piaszczystym dnem.

– Raj w miniaturze – stwierdziła oczarowana Danka. – Mogłabym tu stać do końca świata, a ten widok by mi się nie znudził.

– A głodna nie jesteś? – zakpił Yanni dobrodusznie. – Bo jeśli tak, to zapraszam do portu na obiad.

Zeszli po schodach na promenadę przystrojoną kwiatami, które o tej porze roku kwitły jak

oszała. Klimatu przydawały stylizowane latarnie. W ogródkach tawern siedzieli już turyści, ale wciąż nie tak wielu jak w pełni sezonu.

– Ale zapachy! – Danką z lubością wciągnęła nosem aromat świeżo przyrządzonych ryb i owoców morza. – Tutaj? – Wskazała na pierwszy z brzegu lokal i spojrzała pytająco na towarzysza.

– Nie tu – odparł Yanni i poprowadził ją do kolejnej tawerny.

Budynek przedstawiał się osobliwie. Oprócz żółtej fasady wszystko tu było w odcieniach niebieskiego, począwszy od granatowych okiennic i drzwi aż po krzesła i stoły. A na nich oczywiście obrusy w białoniebieską kratę, nieodłączny element wystroju greckich tawern.

Yanni przedstawił swoją towarzyszkę właścicielowi, a ten rozciągnął usta w uśmiechu i wskazał im stolik, na który dosłownie po chwili wjechała butelka wina w kubelku z lodem oraz oszronione kieliszki.

– Na serio jestem w raju – ucieszyła się Danką.

– Nie tak szybko, kochanie. Poczekaj, aż spróbujesz tutejszych dań. – Yanni uśmiechnął się szeroko.

Rozdział 13

Za szczęście! – Yanni wzniósł toast i skinął na obsługę.

Na ich stoliku natychmiast pojawiły się karty dań. Ku zdziwieniu Danki potraw wcale nie było wiele. Nieco skonsternowana dwukrotnie przewertowała menu.

– Dziwi cię niewielki wybór? – Yanni jakby czytał jej w myślach. – To proste. Nie można być mistrzem we wszystkim, dlatego właściciele skupili się na tym, co robią po mistrzowsku. I dlatego my tu jesteśmy.

– To ma sens. Co zatem polecasz? – Danka przechyliła kieliszek. Yanni napełnił go ponownie i nalał także sobie.

Danka zdążyła się zorientować, że południowcy zwykli popijać to i owo już do śniadania, ale wciąż nie mieściło się jej w głowie, że po alkoholu prawie legalnie poruszali się samochodami. W Polsce taki numer za nic by nie przeszedł, ale tutaj, dopóki będący pod wpływem kierowca nie narozrabiał na drodze, nikt nie robił z tego sprawy.

– Specjalnością lokalu są krewetki i rybne szaszłyki. Proponuję i jedno, i drugie. Lubisz tuńczyka?

– No jasne! – Danka, wyrwana z zachwyty nad oszałamiającym widokiem rozpościerającym się z tarasu restauracji, byłaby skłonna zjeść cokolwiek. Nawet gotowca z przeceny z Bonusa.

Rybne szaszłyki z tuńczykiem bezsprzecznie stanowiły sedno krótkiego menu uroczej tawerny. A gdy po zakończonym posiłku przyjaciel Yanniego udostępnił im na przejażdżkę swoją motorówkę, chętnie przystali na propozycję i zeszli do niewielkiej mariny. Chociaż jednostka pływająca była niezbyt duża, ale i tak elegancki granatowy kadłub, kremowa skórzana tapicerka i lśniące relingi robiły wrażenie.

Yanni z wprawą uruchomił silnik. Widać było, że poruszanie się po wodzie nie jest dla niego niczym nadzwyczajnym, bo bez problemu odbił od brzegu i wypłynął z portu na pełne morze.

Pęd powietrza dosłownie wbił Dankę w fotel. Przypomniała sobie podobną przejażdżkę w Sarnowie, ale tam rozmiar jeziora nie pozwalał na aż takie szaleństwo. Jej rozpuszczone włosy furkotały na wietrze, a sukienka wydeła się jak żagiel.

Yanni był w swoim żywiole.

– Chcesz poprowadzić?! – przekrzyczał hałas silnika i na szczęście nieco zwolnił, bo Danka, pomna tego, ile wypił, mimo przepełniającej ją ekscytacji zaczęła się trochę bać.

– Nie! Raczej nie! Ale proszę cię, nie pędź tak! Niedobrze mi, a nie chcesz chyba popsuć wieczoru?

Yanni posłusznie zwolnił i skierował motorówkę do niewielkiej zatoki.

Danka, przeczuwając, co się święci, nerwowo oblizła suche usta. Były całkiem słone, podobnie jak skóra Yanniego, którą za moment już całowała. Jego nagi tors, twardy brzuch i jeszcze twardsze przyrodzenie stanowiły kwintesencję jej marzeń o romantycznym ognistym kochanku. Po raz kolejny oszalała z podniecenia. Gestem nieznoszącym sprzeciwu kazała Yanniemu zająć fotel sternika, a sama usiadła mu na kolanach, tyle że tyłem. Przyjęła go z westchnieniem rozkoszy.

– Uruchom silnik – wymruczała, poruszając biodrami. – Chcę poprowadzić.

– Teraz? Może jednak potem? – zaprotestował słabo.

– Chcę teraz. Nikogo tu nie ma, nie bój się. Nic się nie stanie. – Znów wykonała kilka

ruchów, po czym położyła jego dłoń na nabrzmiałej łechtaczce. A chwilę później nacisnęła starter.

Motorówka ruszyła pomału w ciemniejące morze. Wokół nie było żywego ducha. Danką, czując bryzę we włosach i Yanniego w sobie, niemal odchodziła od zmysłów, ale nie wypuściła steru. Zaczęła się natomiast poruszać coraz szybciej, usiłując przy tym nie odrywać oczu od wody. Gdy doszła do szczytu, motorówką tylko nieznacznie szarpnęło.

Z cichym jękiem opadła na kierownicę steru. Zauważywszy, że łódka leniwie dryfuje, z rozkoszą przymknęła oczy. Dokładnie tak wyglądało prawdziwe szczęście.

Do portu wrócili w doskonałych humorach, ponownie głodni.

– Może weźmiemy na drogę powrotną kilka szaszłyków? – zaproponowała, gdy zeszli na stały ląd.

– Nie – odparł Yanni stanowczo. – Zjemy na miejscu. I dokończymy nasze wino.

– Jak to? – Spojrzała zdziwiona.

– Nigdzie nie jedziemy. – Objął ją mocniej i pocałował w czubek głowy. – Tuż obok jest hotel, tam się zatrzymamy. Noc jest nasza.

– Zwariowałaś?!

– Wcale.

– Ale ja mam poranną zmianę! Nie jestem szefem, jak ty.

– No właśnie. – Yanni się uśmiechnął. – Wystarczy, że ja nim jestem. Więc od jutra przestajesz pracować przy wydawaniu posiłków.

Danka zamarła.

– Jak to? Przecież nie możesz mnie tak po pros-tu...

– Ależ mogę! – roześmiał się głośno. – Skarbie, ja w Paradiso mogę wszystko, dlatego wymyśliłem dla ciebie inne zajęcie. Powinnaś być zadowolona, bo związane z tym, co lubisz. I na pewno lepsze od zbierania brudnych talerzy.

– To niby co miałabym robić? – Zaintrygowana Danką zastrzygła uszami.

– Zdjęcia. Skoro, jak twierdzisz, masz dobry sprzęt, będziesz chodzić po hotelu i fotografować naszych gości. Później wydrukujesz zdjęcia i wyeksponujesz na specjalnej tablicy. A chętnym sprzedasz za parę euro od sztuki.

– I gdzie tu interes? Przecież nie każdy kupi.

– Wiem. Ale ten, który kupi, zapłaci za swoje, za cudze, za twoje i za moje. Rozumiesz? Mam u siebie specjalną drukarkę i nawet odpowiednią budkę przy głównej restauracji, która na razie stoi zamknięta. Kiedyś już był u nas fotograf, ale wyjechał za granicę i sprawa rozeszła się po kościach.

– Rozumiem. – Danką trawiła informację. Nie do końca wiedziała, czy to degradacja, czy awans. Ale chyba jednak był to awans. Jak by nie patrzeć, miała u szefa pewne fory.

– Potrzeba mi kogoś, kto się tym zajmie. Wchodzisz w to?

– Też pytanie! Jasne, że wchodzę! – pisnęła z radości i zarzuciła Yanniemu ręce na szyję.

Emil powoli tracił cierpliwość. Odkąd Danką związała się z tym swoim greckim przydupasem, robił wszystko, by przestać o niej myśleć i fantazjować, że kiedyś z nim będzie. Był człowiekiem o szerokich horyzontach, naprawdę wiele potrafił sobie wyobrazić i wytłumaczyć, tymczasem tego, że właśnie utracił kobietę, której pragnął, i to w sytuacji, gdy mieszkał razem z nią na kilkunastu metrach kwadratowych, nie potrafił pojąć. Odkąd pamiętał, podobał się płci przeciwnej. A gdy stał się bogaty, zaczął podobać się jeszcze bardziej, i to dosłownie wszystkim kobietom, niezależnie od wieku i wykształcenia. Wystarczyło, że skinął,

a i to nie zawsze było konieczne. Czasem wystarczyło samo spojrzenie, więc tym bardziej nie mieściło mu się w głowie, dlaczego Danka go nie chce. Najpierw wybrała Marka, a teraz tego cholernego Greka.

Owszem, miał świadomość, że na początku znajomości nieraz zachowywał się wobec niej jak skończony palant, ale też wiele razem przeszli. A ostatnimi czasy odnosił wrażenie, że doszli do porozumienia. Że Danka puściła w niepamięć jego dawne wpadki. Ale ona, chwyciwszy na obczyźnie greckiego byka za rogi, zaczęła traktować Emila jak przyjaciela. Zapewne wielu zadowoliliby takie status quo, ale nie jego. On nie chciał przyjaźni. Chciał Danki, tymczasem ona, jakby tego nie dostrzegając, na oślep rzuciła się w ramiona ich szefa.

– Marian! – Rozmyślania przerwała Emilowi Marzena, którą tego dnia przydzielono mu do pomocy.

Pracował na różne zmiany, dziś trafiła się wieczorna. Dziewczyna nie miała doświadczenia, ale szybko łapała, o co chodzi, zwłaszcza że praca w pralni nie wiązała się z żadną wyższą filozofią. Najtrudniejsze było opanowanie obsługi gigantycznych pralnic, najpaskudniejszą natomiast robotą segregowanie brudów. Emil nie spodziewał się zapachu perfum, ale nierzadki widok resztek ekskrementów na pościeli oraz pełny jadalniany jadłospis rozmazany na obrusach nieraz przyprawiały go o mdłości. Wcześniej nigdy w życiu nie zajmował się praniem. W dzieciństwie rzeczy miał po prostu czyste lub nie, a później, gdy się dorobił, korzystał z usług profesjonalistów bądź własnej służby.

Teraz, kiedy tylko mógł, instalował się w prasowni. Rzecz jasna, w środku było gorąco i duszno, za to pachniało czystością i nie trzeba było babrać się w cudzych brudach.

– O co chodzi? – zapytał. Z Marzeną zetknął się już kilkakrotnie. Wydawała się całkiem miła.

– Pytałam, kiedy wracasz do baru nad basenem, a ty nic. Jakby maglowanie poszwy było celem twojego życia.

– Bo chwilowo jest – parsknął śmiechem Emil. – Uważam, że jak już mam coś zrobić, niech to będzie zrobione na sto procent. Choćby i prasowanie pościeli. Już lepiej nic nie robić, niż robić na pół gwizdka.

– Słusznie – przyznała dziewczyna i chwyciła za róg poszwy. – Jak składamy? Prawa do lewej czy najpierw góra–dół?

– Prawa do lewej.

Wcześniej sposób składania bielizny pościelowej był Emilowi absolutnie obojętny, ale w hotelu panowały w tej kwestii pewne standardy. Inaczej nie mieściłaby się na regałach i specjalnych wózkach.

– Osobiście najbardziej lubię ręczniki – powiedział. – Najlepiej kąpielowe. W ostatnich dniach zostałem mistrzem świata w ich składaniu.

– Ja też, najchętniej te większe. – Dziewczyna roześmiała się i obrzuciła Emila pełnym aprobaty spojrzeniem. – Oczywiście mam na myśli wyłącznie ręczniki.

W lot pojawił słabo zawoalowaną aluzję i uważnie przyjrzał się dziewczynie. Była bardzo młoda i całkiem ładna. I chyba nie zaliczała się do tych pruderyjnych.

– Jasne. Opowiedz mi coś o sobie – zagał kurtuazyjnie, by nieco zyskać na czasie.

Nie bardzo wiedział, jak się zachować. Dla uproszczenia sobie życia zazwyczaj płacił za seks, dopiero znajomość z Danką sprawiła, że wziął pod uwagę inne formy damsko-męskich układów. Ale Danka go nie chciała, a on, pozbawiony wygód wcześniejszego życia, tym boleśniej odczuł zmianę. Z pewnym ociąganiem przyznał, że układ z Hildą miał jednak pewne zalety. Tu, na Kefalonii, gdzie był jedynie ubogim barmanem, nie elektryzował już kobiet tak samo jak kiedyś. Te młodsze, marzące o księciu z bajki, kompletnie nie zwracały na niego uwagi.

Za to ich żadne mocniejszych wrażeń matki wręcz przeciwnie.

Akcja z zaproszeniem do pokoju dała mu wiele do myślenia. Czyżby wraz z utratą majątku aż tak bardzo stracił na atrakcyjności? Czy to możliwe, że kobiety podchodzą do życia aż tak materialistycznie?

– ...no i właśnie tak trafiłam do Paradiso. – Emila dobiegła końcówka opowieści rozgadanej Marzeny. – A że nieźle tu płacą i podoba mi się wyspa, każdego roku staram się zaliczyć sesję w zerowym terminie i przyjeżdżam tu najwcześniej, jak mogę.

– Masz chłopaka? – Nie zdążył ugryźć się w język.

– Nie mam. – Dziewczyna ciężko westchnęła i odniosła na regał stertę poskładanych w kostkę ręczników z wyhaftowanym emblematem hotelu. – Żaden z tych dupków nie wytrzymał czteromiesięcznej rozłąki. A jak zaproponowałam dwóm, żeby przyjechali tu ze mną, to się na mnie wypięli. Im w głowie wypady w góry czy nad jeziora, namioty, koncerty i nieustające imprezki. Dla mnie ważna jest praca i doświadczenie.

– To całkiem sensowne. – Emil pokiwał głową z uznaniem.

Marzena z minuty na minutę podobała mu się coraz bardziej. Miała poukładane w głowie i wiedziała, czego chce. A sądząc po wysyłanych sygnałach, chciała także jego. Na widok kropelki potu, która spłynęła po jej dekolcie i znikła między piersiami, zdecydował się błyskawicznie.

– Mieszkasz gdzieś niedaleko?

– Bardzo niedaleko. Praktycznie za ścianą. Zajmuję maleńką służbówkę. Wcześniej mieszkalam w miasteczku, ale odkąd bliżej poznałam Yanniego, pozwolił mi zamieszkać tutaj.

– Jak dobrze go znasz? – Emil wyprostował się gwałtownie.

– Wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że wart jest grzechu. – Znacząco zniżyła głos. – To znaczy był.

– Nie rozumiem. Jak to: był? Stał się kaleką?

– Jeśli posiadanie rodziny uważasz za kalectwo, to tak! – roześmiała się dziewczyna. – Nie spotykam się z żonatymi. Takie mam zasady, i tyle. Ale pozostaliśmy w dobrych układach, więc na razie tu przyjeżdżam.

Emil poczuł, jakby ktoś zadał mu silny cios.

– Serio? Jest żonaty? Nie wiedziałem.

– Poważnie? Czasem jego żona wpada tutaj z dziećmi. To Polka. Jedna z tych liberalnych, które przymykają oko na mężowskie skoki w bok.

– Ciekawe, z którego turnusu – wyrwało się Emilowi.

– Och przestań! To świetny facet. – Marzena nieoczekiwanie wzięła szefa w obronę. – Wcale nie ukrywał, że ma rodzinę. To ja tego nie zauważyłam, albo raczej nie chciałam zauważyć. Dziś się lubimy. Tyle że ja wciąż nie mam chłopaka – podsumowała Marzena. – Ani w Polsce, ani tutaj...

Czy to możliwe, że Danką akceptuje taki stan rzeczy?, głowił się gorączkowo Emil. Było to całkiem możliwe. W końcu nie planowali reszty życia spędzić na tej nieszczęsnej wyspie, zatem coś złego w tym, że dziewczyna korzysta z okazji, by przeżyć coś w rodzaju wakacyjnego romansu? To całkiem normalne, że chce odreagować wcześniejsze przeżycia, a że akurat napatoczył się zwałający z nóg szefunio? I w dodatku nadziany, troskliwy i chętny?

Machnął ręką, zupełnie jakby odpędzał natrętą muchę, lecz dylemat pozostał. Czy powinien powiedzieć o tym Dance? A co, jeśli ona faktycznie o wszystkim wie, a on wyjdzie na donosiciela? A jeżeli nie wie, czy taka wiedza jej w jakiś sposób pomoże? Czy pomoże im? Bo to, że skomplikuje ich sprawy bytowe i zawodowe, było raczej pewne.

– Matko, jak tu dziś gorąco. Klimatyzacja znów wysiadła czy jak? – Marzena podniosła

ostatni już stosik ręczników i posłała Emilowi powłóczyś-te spojrzenie. Nachyliła się do dolnej półki regału, wypinając krągłą pupę. – To co? Kończymy na dziś? – zapytała zalotnie.

W sekundę podjął decyzję. Cała ta sytuacja była nienormalna, a on przecież też miał swoje potrzeby. Dość już miał codziennej masturbacji pod prysznicem.

– Jasne. To gdzie dokładnie spędzasz noc? – Na dźwięk własnych słów poczuł erekcję. Miał nadzieję, że lokum Marzeny jest faktycznie blisko.

Pół godziny później stał przed drzwiami pokoju pracowniczego. Nawet nie zdążył zapukać, gdy otworzyły się i Marzena dosłownie wciągnęła go do środka. Zaskoczony oparł się o nie plecami, a dziewczyna jednym ruchem zdarła z siebie bluzkę i wsunęła dłonie pod jego koszulkę. Męska pierś była gładka i przyjemnie ciepła.

Posłusznie uniósł ręce.

Marzena wiedziała, czego chce, i od razu dobrała się do jego rozporka. Uwolniony ze spodni penis aż prosił się o uwagę. Mruknęła z zadowoleniem i zaczęła pieścić go dłonią, jednocześnie obdarzając Emila namiętymi pocałunkami.

Zadrzał. Tak dawno nie był z kobietą, że zaczynał tracić nad sobą panowanie. Oparł dziewczynę o ścianę, pozbawił ją majteczek i uniósł tak, by mogła nogami objąć go pasie.

Wszedł w nią jednym zdecydowanym ruchem.

Wydała z siebie głuchy jęk. Podniecenie Emila sięgnęło zenitu.

– O tak, tak! – wyszeptała w ekstazie. – O tak, Marian, jesteś wspaniały! Marian...

Na dźwięk przybranego imienia Emil oprzytomniał w jednej sekundzie. Zresztą nie tylko on. Jego przyrodzenie natychmiast odmówiło współpracy. Poczuł, że pomału opuszcza go wcześniejsza ekstaza. Ciało Marzeny nagle zaczęło mu ciążyć, a zapach wyparował jak woda z nagrzanej patelni.

– Marian, oooch, Marian! – Dziewczyna jeszcze mocniej wpiła się ustami w jego usta i wepchnęła w nie język tak głęboko, jak się dało.

Znieruchomiał i postawił ją na podłodze.

– Marian? Czy coś się stało? – zerknęła w dół. – O matko, przepraszam! Czy ja zrobiłam coś nie tak? – trajkotała zmieszana. – Zaraz coś wymyślimy. Połóż się na łóżku. Kochanie...

Zażenowany do granic Emil pozwolił poprowadzić się na wąski tapczan. Najchętniej czmychnąłby byle dalej stąd. Podobna sytuacja zdarzyła mu się już kiedyś, ale wtedy był z prostytutką, której nie miał zamiaru oglądać nigdy więcej. Teraz sprawa wyglądała inaczej.

Mimo że Marzena dwoiła się i troiła, jej sprawna reanimacja spełzła na niczym.

– Przestań – poprosił cicho. – Nic z tego nie będzie.

– Nie ma sprawy. Wiem, że to siedzi w głowie. – Uśmiechnęła się ciepło.

Była wprawdzie młoda, ale już zdążyła się połapać, że w takiej sytuacji jakakolwiek złośliwość czy kpina mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. Nieważne, jak bardzo czuła się zawiedziona, należało trzymać język na wodzy i wykazać się matczyną troską. Nie miała pojęcia, co się stało, ale przynajmniej mogła liczyć na drugie podejście za jakiś czas.

– Przepraszam cię, pójdę już.

– Nie musisz przepraszać – wyklepała formułkę, choć z trudem ukrywała zdegustowanie. Przecież nie tego oczekiwała po seksie z przystojniakiem.

Emil wstał z łóżka i pozbierał swoje rzeczy. Ubrał się i bez oglądania się za siebie wyszedł z pokoiku.

– Zaraz mnie chyba szlag trafi! Co to, do cholery, miało być?! – prychnęła do siebie zawiedziona Marzena.

Rozdział 14

Danka przeciągnęła się na całą długość łóżka i spod półprzymkniętych powiek zerknęła na Yanniego.

Spał na wznak, z rękami założonymi za głowę. Wyglądał uroczco i bezbrinnie. Choć ich romans trwał już kilka tygodni, po raz pierwszy widziała go śpiącego. Zwykle po namiętnych wieczorach, często trwających do bardzo późnych godzin, odwoził ją do tawerny Jorgosa, a ona na palcach przemyciała na poddasze, starając się nie obudzić Emila.

Komuś postronnemu taki układ mógłby wydawać się dziwaczny, ale jej odpowiadał całkowicie.

Teraz, gdy leżała u boku Yanniego w szerokim hotelowym łóżku, czuła się tak, jakby postępowała nielojalnie wobec Emila. To z nim przecież zwykle sypiała.

Ta sformułowana w głowie niedorzeczna myśl sprawiła, że Danka roześmiała się w duchu. Jej życie uczuciowe ewidentnie wymagało pomocy specjalisty.

– Matko, ja chyba mam wióry w głowie – powiedziała do siebie.

– Mówiłaś coś? – wymamrotał zaspany Yanni.

– Nic ważnego, śpij – szepnęła uspokajająco.

Ale on już otworzył oczy i przygarnął ją do siebie.

– Puść! – powiedziała łagodnie. – Jeśli zaraz nie umyję zębów, umrę. Za dużo wina wczoraj wypiałam – przyznała ze skrucą.

Wywinęła się zręcznie z objęć kochanka i umknęła do łazienki.

Nie skłamała, mówiąc, że nadużyła wina. Bolała ją głowa, a niesmak w ustach sprawiał, że na myśl o porannych igraszkach czuła mdłości. Długo szorowała zęby jednorazową szczoteczką, a później weszła pod prysznic.

– Musimy wracać – ponaglił ją Yanni, gdy wyłoniła się z łazienki.

Właśnie skończył dopinać pasek od spodni i usiadł na łóżku, by włożyć buty. Minę miał poważną.

– Coś się stało? – zapytała zaniepokojona. – Coś w hotelu?

– Tak, właśnie! W hotelu – powtórzył machinalnie. Spojrzenie miał nieobecne.

Ewidentnie chodziło o coś innego, ale Danka postanowiła nie naciskać. Uznała, że opowie jej w samochodzie. Teraz zależało mu, żeby opuścić pokój jak najszybciej. Nie ociągając się, włożyła wczorajszą sukienkę. Gdyby wiedziała, że będą nocować w Asos, zabrałaby cokolwiek na zmianę. Yanni pomyślał o jednorazowych szczoteczkach do zębów, ale o niczym więcej. Zanotowała w pamięci, żeby na wspólne eskapady zabierać chociaż zapasową bieliznę.

Miała nadzieję, że podczas drogi powrotnej mężczyzna opowie, co się stało, niestety spotkało ją rozczarowanie. Yanni milczał podenerwowany i wpatrywał się w drogę. Wszelkie próby nawiązania rozmowy zbywał półsłówkami. Gdy wreszcie dotarli do Katelios, podjechał pod tawernę i niecierpliwie czekał, aż Danka wysiądzie.

– Na razie! – rzucił pośpiesznie i odjechał z pis-kiem opon, gdy tylko zatrzasnęła drzwiczki.

Nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć, poszła na poddasze. Emila nie było. Wyciągnęła czystą bieliznę i z przyjemnością się przebrała. Stała przed lustrem, spoglądając badawczo na własne odbicie. Pobyt w Grecji jej służył. Włosy zjaśniały na słońcu, tworząc regularne pasemka. Naturalna opalenizna sprawiła, że wyglądała kwitnąco. Nie miała wagi, ale po ubraniach czuła, że zgubiła kolejne kilogramy. Fizyczna praca w hotelu dawała wymierne efekty.

Danka usiadła na łóżku, jednocześnie zastanawiając się, co mogłaby zrobić z całym wolnym dniem. Stwierdziła, że Emil zapewne prędko nie wróci, a ona nie zamierzała iść do hotelu. Na szczęście przypomniała sobie o propozycji Yanniego i postanowiła sprawdzić sprzęt. Zajęta fotografowaniem przyrody, od przyjazdu w ogóle nie skupiała się na ludziach, więc pomyślała, że potrenuje na Jorgosie i obsłudze tawerny.

Postawiła walizkę na łóżku i otworzyła ją z namaszczeniem. Jej spojrzenie padło na laptop. Dotychczas nie skorzystała z niego ani razu, bo prawdę mówiąc, nie miała takiej potrzeby. Zdumiewające, jak okoliczności potrafią zmienić nawyki. Niegdyś nie wyobrażała sobie porannej kawy bez sprawdzenia wiadomości i przejrzenia mediów społecznościowych, a teraz właściwie całkiem zapomniała o wirtualnym świecie. Miałaby zapewne większy problem z brakiem dostępu do internetu, gdyby nie księgozbiór Jorgosa. Gospodarz był namiętnym czytelnikiem, a do tego czytał po polsku równie chętnie jak po grecku. Danka miała swobodny dostęp do półek z wciągającymi powieściami, a że Jorgos gustował w klasycznych kryminałach, przy okazji i ona się w nie wciągnęła.

Na zasadzie prostego skojarzenia pomyślała o tawernie. Postanowiła nie marnować dnia i zeszła na dół, by pomóc w kuchni, a przy okazji skonfigurować sprzęt.

W sali nikogo jeszcze nie było. Sjesta trwała w najlepsze. Pierwsi goście zjawiali się z reguły po siedemnastej, a największe obłożenie zaczynało się dopiero po dwudziestej.

Danka weszła za bar i uchyliła drzwi do kuchni.

– Jorgos, pomóc ci w czymś? – zapytała.

Właściciel tawerny przyprawiał właśnie w misce mięso na souvlaki. Zapach aromatycznych ziół rozchodził się po całym pomieszczeniu.

– Cześć, Danusia! Z nieba mi, dziewczyno, spadasz! Mamy dużą rezerwację na wieczór. Będzie dwadzieścia osób z jakiejś pielgrzymki, kolację integracyjną sobie urządzają. Jak znam życie, będzie się działo. Możesz obierać i kroić warzywa? – poprosił.

– Pewnie! – odparła i ochoczo zabrała się do roboty.

– A ty nie w pracy? – zagaił Jorgos, nadziewając mięso na szpadki. – Wolne masz?

– A jakoś tak wyszło – mruknęła pod nosem, zajęta płukaniem sałaty. – Nieco przypadkiem. Miałam zostać na cały dzień w Asos, ale Ya... – urwała, przeklinając w duchu własny długi jęzor.

– Spokojnie. Ślepy nie jestem, widzę, że Yanni często po ciebie przyjeżdża. My się tu przecież wszyscy w okolicy znamy – wyjaśnił. – Ale to nie moja sprawa, z kim się spotykasz – dodał natychmiast.

Danka uśmiechnęła się z wdzięcznością i zaczęła kroić pomidory. Chwilę później zadzwonił jej przedpotopowy telefon. Wytarła ręce i zerknęła na miniaturowy wyświetlacz. Yanni. Wyszła pośpiesznie przed tawernę i odebrała.

– Przepraszam, że cię tak zostawiłem bez słowa. – Bez wstępów przeszedł do rzeczy i zaczął się tłumaczyć. – Chyba musiałem być w niezłym szoku.

– Yanni, co się stało? – zapytała łagodnie.

– Moja matka miała wypadek. Jest w szpitalu w Argostoli.

– Och, strasznie mi przykro. Co się stało?

– Potknęła się i złamała nogę – odparł. – Dlatego przez parę dni nie pojawię się w pracy. I na spotkania z tobą też nie będę mieć czasu.

– To zrozumiałe, zajmij się mamą. Mam nadzieję, że prędko wróci do zdrowia.

– Wynagrodzę ci to, obiecuję!

– Przecież wiem – odparła z uśmiechem.

W klubie na dole dudniła rytmiczna muzyka.

– Czyli jednak jakieś nocne życie istnieje w tym całym Argostoli – mruknęła pod nosem.
– Czas sprawdzić, na ile ożywione.

Gruby klient wyszedł już kwadrans temu, więc doprowadziła się do porządku w przylegającej do pokoju niewielkiej łazience, po czym wsunęła stopy w stojące obok łóżka szpilki. Właśnie miała wyjść na korytarz, gdy drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie.

– Już myślałam, że to kolejny klient – powiedziała z ulgą na widok Costasa. – Pić mi się chce. Nalejesz mi coś z baru?

– To będzie musiało poczekać – odparł spokojnie i przymknął drzwi.

Podszedł i spojrzał z góry.

Swoje w życiu widziała. Teraz też rozumiała, co się święci. Opór był bezsensowny. Costas i tak weźmie, co zechce, a jeśli stawi opór, będzie bolało.

– Na co masz ochotę? – zapytała zmysłowo, przywołując na usta wyuczony uśmiech.

Strzelił ją w twarz otwartą dłonią. Uderzenie było tak silne, że przewróciła się na łóżko. Nie zaryzykowała ucieczki. Leżąc bez ruchu, czekała na ciąg dalszy. Ten jeden cios dał jej pewność, że Costas jest tym rodzajem sukinsyna, którego podniecają wyłącznie przemoc i dominacja.

Zaczął ściągać spodnie.

Zerknęła na zawartość gatek i od razu pojęła, w czym rzecz. Niezbyt hojnie wyposażony przez naturę mężczyzna biciem i przemocą zagłuszał kompleksy. To był jego chory i pokrętny sposób na okazywane męskości.

Wiedziała, że wyjdzie z tego spotkania z mnóstwem zadrapań i siniaków. Postanowiła, że gdy tylko Grek z nią skończy, ona zbierze manatki i wyniesie się jak najdalej stąd.

– Układ ulega zmianie – zapowiedział, jakby czytając jej w myślach. – Nie wychodzisz stąd i o pieniądzach też możesz zapomnieć. A jak się będziesz stawiać, boleśnie ci wytłumaczę, że nie warto.

– Boris będzie mnie szukać – oznajmiła spokojnie.

Costas roześmiał się głośno i zadarł jej sukienkę aż na brzuch. Jednym ruchem rozdarł koronkowe majtki, później chwycił dziewczynę za szyję i zaczął podduszać. Odruchowo odwróciła głowę i złapała za jego dłonie, próbując je odciągnąć, choć zdawała sobie sprawę, że nie ma większych szans.

W tej samej chwili w progu stanął Boris.

Poczuła isierkę nadziei, ale ta zgasła, gdy mężczyzna starannie zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– Widzisz? – zarechotał Costas. – Twój wybawca właśnie cię znalazł!

Zobaczywszy, że Boris rozpina spodnie, zrozumiała, że dała się wciągnąć w pułapkę jak pierwsza naiwna. Jednak skąd miała przypuszczać, że prosząc Borisa o pomoc, weszła prosto w paszczę lwa? Zawiedziona i wściekła zacisnęła zęby i pozwoliła mężczyznom robić z nią wszystko, na co mieli ochotę. Dobrze wiedziała, że tylko w taki sposób wyjdzie z tego żywa.

Byli tak napaleni i głupi, że nie zdawali sobie sprawy, iż każde uderzenie i brutalne pchnięcie tylko powiększa jej determinację, by się zemścić.

Emil nalał podchmielonemu facetowi ostatniego rozwodnionego drinka i odetchnął z ulgą. Wreszcie mógł spuścić metalowe żaluzje na kontuar i zgasić światło. Wszystkie szklanki umył już wcześniej, więc wystarczyło tylko zabrać kasetkę z pieniędzmi, zamknąć drzwi

i zakończyć zmianę.

W podświetlanym basenie kolory zmieniały się leniwie, przechodząc w kolejne. Kiedyś Emil uznałby, że to szczyt tandety dotkliwie godzącej w jego wyrafinowany gust, ale ostatnie tygodnie dały mu sporą lekcję pokory. Ponownie potrafił widzieć świat oczami szukającego radości życia, zwyczajnego człowieka. Zblazowany krezus, choć ciągle siedział mu w głowie, usunął się na dalszy plan, a jego miejsce zajął barman z Paradiso. Tylko nowego imienia nie mógł ścierpieć. Bezwiednie wrócił wspomnieniami do chwili, gdy całe jego podniecenie natychmiast wyparowało, kiedy Marzena zaczęła miłośnie wykrzykiwać „Marian!”.

Uczucie palącego wstydu po nieudanej schadzce z Marzeną zaabsorbowało go tak bardzo, że zatrzymał się w ostatniej chwili. Jeszcze moment, a wpadłby z kasetką z pieniędzmi do basenu, chwilowo podświetlonego na czerwono. Potrząsnął głową, żeby odpędzić żenujące wspomnienia.

Za plecami usłyszał ciche parsknięcie. Odwrócił się i zobaczył przy stoliku ostatnią parę hotelowych gości. Obserwowali go i coś do siebie szeptali z dużym ożywieniem. Musieli w napięciu czekać, aż wpadnie do wody i dostarczy im tym darmowej rozrywki. Oczywiście o czymś tak prozaicznym jak ostrzeżenie go nawet nie pomyśleli. Przecież to takie zabawne, że barman wpada do wody razem z całodziennym utargiem.

Cóż za ironia losu, że mając własne kompleksy hotelowe, musiał podkulić ogon i usługiwać jakimś bałwanom. Wzruszył ramionami i poszedł do głównego budynku. Dziesięć minut później wędrował już do miasteczka. W głowie siedziała mu Danka. Nie przestawał bić się z myślami, czy poruszyć temat małżeństwa Yanniego, czy rozsądniej milczeć. W końcu to, z kim się spotykała, było wyłącznie jej sprawą. Z drugiej strony może nie miała o niczym pojęcia, a Yanni perfidnie ją oszukiwał? Głowiąc się nad tym przez całą drogę, Emil wreszcie dotarł do tawerny. Rzęsiście oświetlony ogródek restauracyjny był wypełniony do ostatniego miejsca. Emil już z daleka widział, że Danka z Jorgosem jak w ukropie uwijają się pomiędzy gośćmi. Niewiele myśląc, zakasał rękawy i wszedł do środka.

– Dajcie mi pięć minut na zmianę koszuli i zaraz wam pomogę! – zawołał do Jorgosa znikającego w kuchni z tacą pełną brudnych szklanek po piwie.

Chwilę później wspomagał już Dankę przy obsłudze licznej, wyraźnie podchmielonej grupy.

– Święto jakieś dzisiaj? Już zaraz północ, a oni, jak widzę, wcale nie zamierzają kończyć – zaczępił ją w przelocie.

– Pielgrzymka się bawi – parsknęła śmiechem.

– Danusiu, posłuchaj... – Emil pomyślał, że jeśli ma zapytać, to teraz albo nigdy. Danka na niego nie wrzaśnie ani nie zrobi mu awantury w tawernie pełnej klientów. – Chciałem z tobą porozmawiać o Yannim. Zastanawiam się, czy wiesz...

– Tak, już wiem. Biedna kobieta... Mam nadzieję, że wszystko się pomyślnie zrośnie. A teraz rusz tyłek. Para z ósmego stolika już z pół godziny czeka na krewetki! – ponagliła go i pierwsza pobiegła do kuchni.

Zdumiony Emil poszedł za nią. Jak żył, jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś użył sformułowania, że małżeństwo się zrośnie. Czy to oznaczało, że żona wiedziała o kochance i wybaczyła mężowi zdradę, a teraz odbudowywali związek? No i dlaczego Danka się nad nią litowała? Przecież raczej powinna rywalizować o względy kochanka? A może ich romans dobiegł końca?

Podobne dywagacje przyprawiały Emila o zawrót głowy, więc ostatecznie uznał swoją misję za zakończoną. Danka wiedziała, że facet jest żonaty, i tylko to się liczyło. Co nie zmieniało faktu, że na myśl o skończonym romansie Emilowi lekko drgnęło serce.

– No rusz się! – Danka wetknęła mu w dłońe półmisek z grillowanymi rybami. – Stolik dziesiąty! A tym z pielgrzymki trzeba nalać dwanaście piw – rzuciła i ponownie zniknęła w kuchni.

Emil westchnął zrezygnowany i poszedł w stronę gości. Zapowiadała się długa noc.

Zgodnie z przypuszczeniem Costas i Boris nie dawali jej spokoju przez długie godziny. Wściekła, że nie doceniła przeciwnika, a jednocześnie obolała i śmiertelnie wyczerpana, leżała naga na łóżku, nie mogąc się ruszyć. Po ostrożnych oględzinach stwierdziła, że nie ma większych obrażeń oprócz otarć na nadgarstkach i stopach, po tym jak ciasno je przywiązali do czterech rogów łóżka.

Czuła się upokorzona i chora, ale najgorsze w tym wszystkim było to, że wróciło tamto straszne wspomnienie sprzed lat. A wraz z nim zimna furia i palące pragnienie zemsty.

Jej myśli poleciały dla odmiany do Borisa, z którym przecież wcześniej uprawiała seks kilka razy i zachowywał się wówczas normalnie. W klubie zmienił się tak, jakby diabeł w niego wstąpił. Bił ją po twarzy. Nie mocno. Tak, by zabolalo, ale żeby nie uszkodzić skóry. Dawało się wyczuć, że czyni to z wieloletnią wprawą zimnego sadysty. Z trudem przełknęła ślinę przez opuchnięte od podduszania gardło. Usiadła powoli, starając się przenieść ciężar ciała na jeden z pośladków i dodatkowo nie urazić obolałego krocza.

Nawet nie potrafiła policzyć, ile razy te sukinsyny ją zgwałcili, zanim wreszcie dały jej spokój. Spróbowała się rozluźnić – wiedziała, że wtedy cierpiałaby mniej – lecz nie potrafiła. Jedynym, co pozwoliło jej przetrwać te tortury, była wizja, że skacze im do gardeł i rozszarpuje je zębami.

Wstała ostrożnie i przytrzymując się ściany, poszła do łazienki. Niczego nie pragnęła bardziej niż zmycia z siebie zapachu i dotyku gwałcicieli. Wiedziała, że niedługo wróci. Pytanie tylko, czy będą chcieli ją tu trzymać dla siebie, czy jednak zechcą na niej zarabiać, dopuszczając wybranych klientów. Osobiście miała nadzieję na drugie rozwiązanie, bo wtedy nie będą jej bić. Tylko głupi sprzedawca psuje własny towar.

Marzył się jej długi prysznic, ale otarcia piek-ły boleśnie, więc opłukała się tylko i ostrożnie osuszyła skórę ręcznikiem. Włożyła tę samą sukienkę, w której tu przyszła, i po raz pierwszy rozejrzała się po pokoju. Do drzwi wołała nie podchodzić. Może któryś z jej prześladowców nasłuchuje? Największą szansę na ucieczkę będzie miała wtedy, gdy będą myśleli, że udało im się ją złamać.

Ostrożnie uchyliła okno i pociągnęła za sznurek od metalowej rolety. Ta ani drgnęła. Także i tę drogę ucieczki miała odcięta. Zniechęcona usiadła na łóżku. Zajęła się lustrowaniem drzwi z daleka. Wydawało się, że nie mają specjalistycznych zamków antywłamaniowych, jedynie zwykły, pod klamką. Pamiętała, że gdy Boris wszedł, zamknął je od środka na klucz. Po wyjściu zrobił to zapewne z drugiej strony. A to dawało nadzieję.

Postanowiła bezszelestnie do nich podejść, lecz w tej samej chwili klucz zachrobetał w zamku, więc natychmiast usiadła z powrotem.

Do pokoju weszła jedna z trzech Greczynek, które widziała na dole w klubie. Niosła tacę. Ktoś zatrasnął za nią drzwi i ponownie przekręcił klucz.

– Jesteś tutaj z własnej woli? – zapytała Greczynkę szeptem po angielsku.

Nie odpowiedziała. Podeszła do niewielkiego stolika w kącie i postawiła tacę.

– Pomóż mi stąd uciec! Proszę!

Kobieta wciąż milczała, ale teraz spojrzała na nią spłoszona. Uwięzionej nie umknęło, że najpierw zerknęła nerwowo w róg pomieszczenia. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale tyle

wystarczyło.

Gdy ponownie została sama w pokoju, starała się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Podeszła do tacy. Stał na niej plastikowy kubek z zimną herbatą i papierowy talerzyk z kanapkami. Nic, czego można użyć jako broni. Postanowiła, że tym zajmie się później. Tymczasem zjadła i wypila wszystko, a potem podeszła do łóżka. Usiadła na nim i pochyliła głowę, by część włosów zasłoniła jej twarz. Zerknęła dyskretnie. Przeczucie jej nie myliło. Na ścianie zauważyła niewielki drewniany model statku. Poza nim w pomieszczeniu nie było żadnych innych ozdób, więc powieszono go tam wyłącznie w celu zamaskowania ukrytej kamery. To nieco komplikowało kwestię ucieczki.

Wyczerpawszy wszystkie możliwości skontaktowania się z Danką Popiołek, Krystyna Świdorska postanowiła przyjechać do Warszawy i odwiedzić ją. Ustalenie adresu zamieszkania nie było żadnym problemem. Aktorka przelewała pieniądze za zlecenie fotograficzne na dane firmy, a dob-rze pamiętała, że studio Danki znajdowało się w jej własnym mieszkaniu. Do końca nie miała świadomości, dlaczego tak bardzo jej zależy na ustaleniu, co stało się z dziewczyną, ale sprawa jej zniknięcia nie dawała jej spokoju. Danką jakby rozpułnęła się w powietrzu.

Postanowiła, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Zamiast udać się prosto na Bemowo, pojechała okrężną drogą i około południa dotarła do stojącej w sosnowym parku okazałej willi w Konstancinie.

Nie była tu nigdy wcześniej, więc z uznaniem rozglądała się po okolicy. Przedwojenny, starannie odremontowany dom w stylu świdermajer robił wrażenie, choć Krystyna Świdorska przywykła do miejsc luksusowych. Ten dom był jednak prawdziwą architektoniczną perełką.

Automatyczna brama otworzyła się przed nią, gdy tylko podjechała na wjazd. Igor Chełmicki stał już na ganku i uśmiechał się z daleka.

– Ładnie tu masz, Igorku! – pochwaliła, zaciągając się leśnym powietrzem.

– Dziękuję, Krystyno, muzu moja!

Roześmiała się. Nazywał ją w ten sposób, odkąd pamiętała, i trochę racji w tym było.

Prawie czterdziestoletniego obecnie wziętego aktora poznała na planie, gdy ten był świeżo upieczonym absolwentem łódzkiej filmówki. Ona miała już status gwiazdy, on grał ledwie epizod. Od razu wpadł jej w oko, więc choć była od niego sporo starsza, na krótko połączył ich płomienny romans, po którym Krystynie zostało kilka dobrych wspomnień, a akcje Igora dzięki protekcji kochanki poszybowały w górę. Miał głowę na karku, więc szybko wspiął się po szczeblach kariery, na stałe wchodząc do aktorskiej pierwszej ligi. Jedno było pewne: Igor miał u Świdorskiej dług, a ona przyjechała właśnie po to, by go spłacił.

– Wejdz, moja miła. Zapraszam. – Gospodarz puścił ją przodem.

– Piękne wnętrze – pochwaliła. – Twoja żona ma świetny gust.

– To zasługa projektanta i mojego uporu – roześmiał się. – Moja żona ma wiele zalet, na przykład parę cudownych cycków, ale akurat dobrym gustem nie grzeszy.

Krystyna dobrze o tym wiedziała, jej pochwała miała charakter wyłącznie kurtuazyjny. Świetnie zdawała sobie sprawę, kim jest żona Igora. Uściślając, jego trzecia żona. Kolejna aktoreczka jednej roli w serialu, mająca nadzieję na zrobienie kariery przy jego boku. Kariery nie zrobiła, za to on zrobił jej dwójkę uroczych maluchów. Dodane do nich dzieci z poprzednich związków podbiły wynik do siedmiu. Igor lubił dzieci i zdecydowanie było go na nie stać. Krystyna przypuszczała, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w temacie prokreacji. Jego aktualna małżonka właśnie dobiegała trzydziestki, więc przypuszczalnie wkrótce wymieni ją na młodszy model.

– A gdzie twoja rodzina? – zapytała.
– Wysłałem ją nad morze. Lubię spokój, gdy pracuję – powiedział tonem niewiniątka i zaprosił gościa do salonu.

Krystynie nie umknęło, że na stole stoją dwa kieliszki po winie. Jeden z wyraźnym odciskiem szminki.

Tyle w sprawie szukania spokoju do pracy, uśmiechnęła się w duchu.

– Napijesz się czegoś mocniejszego, Krysiu? – zapytał, stawiając karafkę z wodą i dwie szklanki.

– Woda wystarczy, dziękuję. Nie zabawię długo i przyjechałam przecież samochodem. Twoich zacnych trunków skosztuję innym razem. Czy przeczytałeś mój scenariusz? – przeszła do sedna.

– Przepraszam cię, kochana, ale miałem ostatnio tyle na głowie...

– Właśnie widzę – powiedziała i wymownie spojrzała na ubrudzony szminką kieliszek.

– Nie! To nie tak, jak myślisz... – zaczął się gorliwie tłumaczyć.

– Daruj sobie, proszę, tę wyświechtaną kwestię. – Krystyna roześmiała się głośno. – Mam w nosie, jaką panienkę tu sobie sprowadziłeś, ale nie tłumacz mi się głupio brakiem czasu. Nie tak się traktuje starą przyjaciółkę, która chce spróbować swoich sił jako producentka, nieprawdaż?

– Masz rację, wybacz. Zaraz się zabieram do czytania.

– Nie zapłacę ci fortuny ze względu na budżet, ostrzegam lojalnie. Twoje nazwisko jednak na pewno pomogłoby filmowi zdobyć rozgłos.

– Nie owijasz w bawełnę – odparł Igor.

– Jak wiesz, nigdy tego nie robiłam i zawsze dob-rze na tym wychodziłam.

Igor patrzył na nią, w zamyśleniu pocierając brodę. Krystyna, wiedząc, że aktor się waha, uśmiechnęła się promiennie.

– To jest ta chwila, w której spłacasz swój dług, Igorku – wyjaśniła. – Szkoda tylko, że muszę się uciekać do takich tekstów, żeby stary przyjaciel zechciał przeczytać mój scenariusz.

– Ja bardzo cię przepraszam – zapewnił gorliwie. – Wiesz, że nigdy bym cię nie zlekceważył. Jeśli chcesz mojej pomocy czy współpracy, to rzucę wszystko i jestem na każde twoje skinienie.

– Wiem i doceniam to.

– Twierdzisz, że masz dla mnie odpowiednią rolę, więc ja nie mam powodu ci nie wierzyć. Dlatego zgadzam się w ciemno. A scenariusz przeczytam niezwłocznie – oświadczył Igor, kładąc dłoń na sercu.

Pół godziny później Krystyna obrała kierunek na Warszawę.

Na Bemowie nie była jeszcze nigdy. Nie przepadała za blokowiskami, ale ku jej zdumieniu osiedle, na którym mieszkała Danką Popiołek, wyglądało miło i schludnie. Kilka razy zadzwoniła domofonem, lecz nie doczekała się reakcji. Na szczęście z klatki schodowej właśnie wyszedł jakiś młody człowiek z niedużym kundelkiem na smyczy, więc wykorzystała okazję i weszła do środka. Zapukała do drzwi mieszkania na parterze, bez efektu.

Czując, że właśnie straciła ostatni trop, odwróciła się na pięcie i podążyła do wyjścia. Po chwili namysłu cofnęła się jednak i zapukała do sąsiednich drzwi. Te otworzyły się natychmiast i stanęła w nich mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Wybałuszyła oczy.

– To pani! – powiedziała, gdy już odzyskała mowę. – Pani grała w tym filmie...

– Zapewne. – Krystyna weszła jej w słowo, przyzwyczajona do podobnych reakcji. – I w paru innych też – dodała z miłym uśmiechem. – Nie wie pani może, kiedy zastanę pani sąsiadkę, Danusię Popiołek?

– Nie wiem. Pewnie nieprędko. Wyjechała jakiś czas temu na dłużej. Zostawiła mi klucze i jak dotąd się nie pokazała.

– A wie pani może dokąd?

– Niestety, nic nie mówiła. A mogę dostać autograf? – ośmieliła się kobieta, której nie mieściło się w głowie, że oto stoi w jej progu sama Świderska i pyta o sąsiadkę.

Krystyna spełniła prośbę, podziękowała grzecznie i wyszła przed blok. W chwili, w której podeszła do samochodu, nareszcie zrozumiała, dlaczego szuka dziewczyny z takim uporem.

– Zagrasz główną rolę w moim filmie, droga panno Popiołek! Choćbym cię miała spod ziemi wydostać! – oznajmiła stanowczo pustemu chodnikowi.

Rozdział 15

Spocony jak mysz, dziko rzucał się po wąskim łóżku. Mimo że w nocy pielgrzymi dali ostro popalić i byli uprzejmi wynieść się z tawerny dopiero po drugiej w nocy, zmęczony Emil nie mógł usnąć. A gdy już odpłynął w objęcia Morfeusza, dopadły go senne koszmary. Snił, że Winkler zgodził się na ich powrót do Polski, ale za tę uprzejmość obciął mu genitalia.

– Nieeee! – wybełkotał i nieprzytomny zerwał się na równe nogi.

Zahaczył stopą o taboret. Mebel z hukiem runął na podłogę.

– Pogięło cię, tak się tłuc po nocy? Umarłego byś obudził – wymamrotała zaspana Danka.

– Jak ja wracam późno, jestem cicho jak trusia, a ty co?

– Nie, nic. Przepraszam. – Emil trochę oprzytomniał. – Miałem zły sen. Już będę cicho.

– Musiał być naprawdę zły.

– A żebyś wiedziała. Najgorszy – odparł.

Odetchnął z ulgą, że w kącie nie czai się Winkler z ostrym nożem, i na wszelki wypadek sprawdził zawartość spodenek. Na szczęście wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Wrócił do łóżka i w duchu wyrecytował parę niewybrednych słów pod adresem Marzeny. Odkąd nie popisał się w trakcie niefortunnego tête-à-tête, często targał nim niepokój. A co, jeśli takie sytuacje będą powtarzać się częściej? Gdyby znajdował się w jakimkolwiek cywilizowanym miejscu na świecie, zapewne już dawno odwiedziłby najlepszego specjalistę, tutaj jednak był zdany sam na siebie. Poranny namiot w slipach nie stanowił żadnego pocieszenia, bo wynikał wyłącznie z męskiej fizjologii. W tym wypadku chodziło o coś zupełnie innego.

Oddając się podobnym rozważaniom, usnął wreszcie.

Hotelowy bar otwierano dopiero o dziesiątej, więc nie musiał zrywać się skoro świt.

Ciężka noc sprawiła, że z większą niż zazwyczaj ochotą poszedł do pracy. Tam przynajmniej zawsze coś się działo. Nie było czasu na rozmyślanie, szczególnie że tego dnia kolega z niewiadomych przyczyn nie stawiał się w pracy.

– Poradzisz sobie sam? – zapytał kierownik.

– Do obiadu bez problemu. Później będzie gorzej.

– Serio nie dasz rady?

– Dam, ale zrobi się kolejka, stoliki będą nieumyte, a ludzie wkurzeni.

– Cholera! Nie mam nikogo, kto by się nadał do pomocy – jęknął kierownik.

– Masz. Marzenę. Mówiła mi, że przez kilka sezonów zdążyła obskoczyć większość stanowisk w hotelu. Także bar.

– Człowieku! Z nieba mi spadłeś! Już po nią idę.

Gdyby nie pilna potrzeba pomocy, Emil za nic nie zaproponowałby Marzeny. Nadal w jej obecności czuł się niezręcznie, ale teraz nie miał wyjścia. Nie było najmniejszych szans, żeby w porze popołudniowego szczytu w pojedynkę obsłużyć jednocześnie ekspres, nalewak, zmywak, wyciskarkę do soków, blender do smoothie i jeszcze w tym czasie sprzątać i przyrządzać drinki, o nakładaniu lodów nie wspominając.

– No cześć. – Marzena przybyła z odsieczą i zabrała się do pracy. – Dzięki, że wyciągnąłeś mnie z kuchni.

– Nie ma za co. To ja ci dziękuję za pomoc.

– Potraktuję to jako rekompensatę. Wiesz, za tamto. – Uśmiechnęła się i puściła oko. – Nie musisz przeproszać.

– Okej – bąknął Emil, bo tylko na tyle było go stać. Nie spodziewał się tak bezpośredniej

rozmowy.

– Spokojnie. To całkiem normalne, zdarza się.

– Nie mnie – odburknął, marząc, by wreszcie zmieniła temat. Chciał jak najszybciej wymazać tamtą porażkę z życiorysu, tymczasem dziewczynie zebrało się na amatorską psychoterapię.

– Och, przestań! Zawsze możemy spróbować ponownie. Co robisz dziś po pracy? – Marzena nie zamierzała odpuścić.

– W sumie... – Zaskoczony propozycją Emil zaczął się łamać. Może ona ma rację? Tylko co, jeśli znów wyskoczy z tym przeklętym Marianem? Mimo upływu tygodni imię działało na niego jak przysłowiowa płachta na byka. – Czemu nie, ale mam jedną prośbę.

– Jaką?

– Masz być wtedy cicho. – Nie mógł uwierzyć, że to powiedział.

– Nie ma sprawy. – Spojrzała uważnie.

– W sensie, że masz nie gadać. Nic.

– Załatwione – zapewniła z kamienną twarzą i aby się nie roześmiać, chwyciła ściereczkę i pobięła uprzątnąć stoliki.

Emil przełknął ślinę i właśnie miał nalać colę jakiejś kobiecie, gdy z hotelu wysypała się spora grupka maksymalnie skacowanych pątników, którzy w nocy balowali u Jorgosa. Zapowiadał się ciężki dzień, więc podziękował opatrności za wolny wieczór i zaczął współczuć kolegom z wieczornej zmiany. Gdy przyszła pora, z przyjemnością przekazał bar i jakby go ktoś gonił, pognął do szatni pod prysznic.

Marzena już czekała, naga i pachnąca. Wystarczyło odwinąć ręcznik i nasycić oczy widokiem młodego jędrnego ciała. Zadowolony Emil zerknął w dół i upewniwszy się, że wszystko działa jak trzeba, przygarnął dziewczynę.

Tak jak obiecała, nie odezwała się ani słowem. Na szczęście rozumieli się doskonale. Nawet gdy chcąc wynagrodzić poprzednią porażkę, rozsunął jej uda i wtargnął do wnętrza językiem, nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nigdy wcześniej nie przejmował się damskimi potrzebami, za to teraz z niemalą satysfakcją zauważył, że Marzena za jego sprawą wygina się w łuk, a jej ciałem targają nagle konwulsje.

Z cichym jękiem przyjęła go w siebie. Uważając, by jej nie przygnieść, zamknął jej usta pocałunkiem. Gdy skończył, tuż po niej, i gdy tylko odzyskał względną zdolność myślenia, roześmiał się w głos.

– Czy teraz mogę już gadać? – zawtórowała mu Marzena.

– Możesz.

– Byłeś po prostu niesamowity!

Skwapliwie przyjął pochwałę. Dotąd słyszał podobne słowa wyłącznie od prostytutek, które prawienie komplementów miały wliczone w usługę, a teraz zrobiło mu się naprawdę miło. Tak po ludzku.

Zachęcony i szczęśliwy, że wszystko jest w porządku, niebawem dał namówić się na powtórkę.

Teraz to Marzena przejęła stery i dosiadła go z wprawą. Z przyjemnością spoglądał na jej zmienioną ekstazą twarz, na piersi podrygujące rytmicznie przy każdym ruchu.

– Zostaniesz na noc? – zapytała go później.

Nie dał się prosić dwa razy, zwłaszcza że w swojej szafce w szatni miał wszystko, co potrzeba.

Marzena zakrzętnęła się za czymś do jedzenia. Po kolacji dla gości przyniosła z kuchni trochę pieczywa, miskę sosu tzatziki i kilka pieczonych faszerowanych papryk. Głodny Emil

chętnie zjadłby coś bardziej konkretnego, choćby gyros, ale papryka także była świetna. Personel Paradiso nie mógł narzekać na jedzenie, szefostwo wiedziało, jak dbać o pracowników. Zresztą Jorgos podobnie. Nie do pomyslenia było, by ktokolwiek wyszedł z tawerny głodny.

– Cześć, Danuśka! – Jorgos powitał ją wylewnie. – Patrz, co dostałem! Może ci się przyda na dojazd do hotelu?

– Hulajnoga?

– W dodatku elektryczna. Klient mi zostawił w zamian za niezapłacony rachunek. Zatem bierz, jeśli chcesz.

– Serio? A ty?

– Ja? Z tym moim brzuszyskiem? Jeszcze bym się, nie daj Bóg, zabił. Albo rozleciałaby się pod moim ciężarem.

Ochoczo skorzystała z propozycji. Wprawdzie ceniła sobie codzienny spacer w obie strony, ale marsz z nielekkim sprzętem fotograficznym przewieszonym przez ramię nie był już taki przyjemny, a nie chciała zostawiać sprzętu w pracy. Był zbyt drogocenny, a ona bardzo polubiła swoje nowe zajęcie. Fotografowanie gości hotelowych przyłapanych w różnych sytuacjach nieoczekiwanie przyniosło jej wiele radości. Na początku większość się krygowała, robiła głupie miny i zasłaniała twarze, ale gdy w witrynce pojawiły się gotowe wywołane zdjęcia, tendencja się zmieniła. Zwłaszcza że Danka dokładała wszelkich starań, by wybierać jak najlepsze. Nie chciała pokazywać gości z niekorzystnej strony, szczególnie panów usiłujących na potrzeby wakacyjnej pamiątki nieskutecznie wciągnąć brzuchy tudzież pań, które robiły wszystko, by zakryć nadprogramowe fałdki. Rozumiała je doskonale, więc co jej szkodziło poprawić to i owo w programie graficznym? Wyszczuplone w zaciszu drewnianej budki talie oraz ciut wydłużone nogi sprawdzały się w większości przypadków, niezły efekt dawało powiększanie oczu i wygładzanie linii szczęki. Nawet ujęcia wykonane w ciągu dnia, przy basenie lub na plaży, po sensownej obróbce cieszyły się wzięciem. A wieczorem, kiedy wyszykowani goście wybierali się na kolację lub drinka, Danka nie mogła opędzić się od roboty. Kobiety, odstawione w kiecki i w pełnych makijażach, same garnęły się pod obiektyw, by później, nieco rozochoczone wieczornym drinkiem, wykupić większość wyeksponowanych w witrynce fotek.

Wkrótce Danka zorientowała się, że wystawienie udanej pracy na widok publiczny działa jak swego rodzaju społeczna nobilitacja, więc wraz ze wzrostem zainteresowania przykładała się jeszcze bardziej. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Przez trzy dni zarobiła więcej niż przez dwa tygodnie w stołówce.

– Cześć – usłyszała. – Mogę?

Danka właśnie wyłączyła służbowy komputer i zbierała się do domu, gdy w drzwiach budki stanęła Marzena.

– Jasne, co tam?

– Cykniesz mi jakąś fajną fotkę?

– Pewnie. Kiedy chcesz?

– Możemy teraz? Godzinę robiłam przydymione oko, żeby dobrze wyszło – odparła z dumą Marzena i zamknęła powieki.

Danka jęknęła w duchu i z trudem powstrzymała się od komentarza. *Smokey eye* pozostawiało wiele do życzenia i w niczym nie przypominało tego, czego kiedyś nauczyła Dankę Pakpao. Marzena wyglądała, jakby ktoś symetrycznie podbił jej oczy, a Danka od razu zaczęła kombinować, jak później wykonać retusz. Właśnie miała zaproponować pomoc w temacie

poprawienia makijażu, gdy Marzena wyskoczyła z najnowsza rewelacją.

– Wiesz już, że Marian i ja jesteśmy parą?

Dankę zatkało. Choć właściwie nie powinno. Przecież całkiem niedawno Marzena zdradziła jej swoje zakusy wobec Emila. Bardziej zaskoczyło ją to, że Emil wszedł w taki układ. To było do niego zupełnie niepodobne.

Chęć pomocy przy makijażu przeszła jej natychmiast.

– Gratuluję. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Chodźmy pod palmę, o tej porze jest tam najlepsze oświetlenie i tło.

– Jasne! – Marzena w podskokach podążyła we wskazane miejsce. Ubrana w nieco krzykliwą sukienkę wyglądała zupełnie nieźle. Danka musiała porządnie się napracować, żeby koleżanka wyszła na zdjęciach na sporo grubsza. Także i nieszczęsny makijaż wyszedł, nie przymierzając, jak u zombi.

– Wiesz co? – zagaiła Marzena po kilku ujęciach. – Skoro już jesteśmy z Marianem parą, dob-rze by było, żebyś się od niego wyprowadziła.

– Co takiego?! – Danka z wrażenia o mało nie wypuściła aparatu.

– No sama przyznaj. Jak to wygląda, żeby facet był z jedną kobietą, a mieszkał z drugą. Nie mogę pozwolić, żeby mój mężczyzna spędzał noce w jednym pokoju z tobą. Dowiedziałam się o tym wczoraj. A jak to się w ogóle stało, że wy ze sobą nie sypiacie?

– Normalnie. Jesteśmy przyjaciółmi. Beczkę soli zjedliśmy razem.

– Super, ale tak czy siak, nie możecie dłużej razem mieszkać, bo ja chcę z nim zamieszkać! On marzy o tym samym.

– To niech się wyprowadzi. Przecież go nie trzymam. – Danka wzruszyła ramionami, prawie pewna, że to wyłączna inicjatywa koleżanki. Emil był ostatnim mężczyzną, który pozwoliłby się wziąć pod pantofel po zaledwie kilku numerkach. – Droga wolna.

– Popatrz sama. – Marzena nie miała zamiaru się poddać. – Ja tutaj mam służbówkę, jest za mała dla dwojga. Mogłabyś się do niej przenieść i mieć bliżej do pracy.

– To nie wchodzi w grę, ale zastanowię się, co z tym fantem zrobić – wycodziła słodziutko Danką, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy powie Emilowi, co o tym wszystkim myśli.

– Jesteśmy tacy zakochani – rozmarzyła się dziewczyna.

– Dobra, kończymy. – Danką schowała aparat, udając, że nie usłyszała ostatnich słów.

– To nie wydrukujesz ich dzisiaj? – Marzena była wyraźnie zawiedziona.

– Jestem już po pracy. Zjawiłaś się, gdy wychodziłam.

– Błagam, pokaż mi choć na szybko te foty. Jestem tak cholernie ciekawa.

– Musiałabym najpierw zgrać je do komputera, a zanim on od nowa zaskoczy, miną wieki.

– To chociaż pokaż mi w aparacie. Choćby jedną, bo strasznie się śpieszę – zniecierpliwiła się Marzena.

– Wybierasz się gdzieś? – zdziwiła się Danką.

– Owszem – dziewczyna roześmiała się perliście. – Wybieram, wprost do łóżka z moim mężczyzną. Dziś mam owulację i nie zamierzam zmarnować okazji.

Danką po raz kolejny tego wieczoru osłupiała.

– Jesteś pewna, że on da się na to złapać? – Obojętny wyraz twarzy wiele ją kosztował.

– Jasne, przecież faceci to idioci. Gdy ich mózgi zalewa chuć, przestają myśleć.

A przynajmniej głową.

– A jesteś pewna, że to ten jedyny? Dziecko to nie przelewki. Znaie się bardzo krótko...

– Wiem, ale przynajmniej po takim ojcu będzie mądre i śliczne. A jak Marian już rozkręci

tę swoją działalność gospodarczą... – Marzena pociągnęła wody z butelki. – No tę, wiesz, z pośrednictwem w handlu nieruchomościami, to zaczniesz nieźle zarabiać. Lepiej taką partię łapać zawczasu niż później, kiedy do bogatego przystojniaka ustawi się kolejka lasek. Ha! W życiu trzeba być przewidującym i uprzedzać fakty. Dziecko jest jak kotwica, tylko od ciebie zależy, w jakim porcie i pod jaką łódką ją zarzucisz. Jednym wystarczy dziurawy ponton, ja wybieram wypasioną sportową motorówkę.

– Co ty powiesz?

– Jestem pewna, że ktoś tak pracowity i inteligentny jak Marian prędzej czy później odniesie sukces.

– Jasne. Racja. Powodzenia – wykrztusiła Danką.

Podziękowała w duchu Jorgosowi za hulajnogę i jakby ktoś ją gonił, ruszyła spod hotelu.

Wracła pełna sprzecznych uczuć. Nie miała nic do Emila, ale gdy ostatnio nie wrócił na noc, była pewna, że w pracy zeszło mu dłużej i przenocował na plaży, co czasem mu się zdarzało. Nie sądziła, że mógłby związać się z Marzeną. A jednak... Ale cóż, to było jego życie. Ona miała swoje, on także. Ona miała Yannisa, on Marzenę. I wszystko grało.

Z wyjątkiem jednego. Danką nie miała zamiaru pozwolić jakiegś gówniarze, by rozstawiała ich oboje po kątach. Co to, to nie! Poza tym cholernie tęskniła za Yannim. Za jego uśmiechem, czułością, dotykiem. Gdy wyobraziła sobie Emila z Marzeną, zalała ją fala zwykłej ludzkiej zazdrości. Ona też tak chciała.

Wiele by dała, by znów zatonać w objęciach kochanka, tymczasem z jego matką wcale nie było lepiej i od kilku dni widywała go jedynie przelotnie. Wyglądał na potwornie zmęczonego i zajętego, zatem postanowiła nie zawracać mu głowy i tylko od czasu do czasu ukradkiem przesyłała mu dłonią całusa.

– Jorgos, sprawa jest! – Danką zaczęła od progu. – Potrzebuję twojej pomocy. I to natychmiast!

– Mojej?

– Właściwie nie ja, tylko Emil, choć jeszcze o tym nie wie. Zrób coś, zanim jedna cwana baba wrobi go w dzieciaka. – W krótkich słowach wyjaśniła, o co mniej więcej chodzi.

Była pewna, że człowiek ze służb specjalnych nie będzie zadawał zbędnych pytań, tylko bez gadania zrobi, co potrzeba. A ich rubaszny opiekun wyglądał na takiego, który jadł już chleb z nie-jednego pieca.

Jorgos zdążył już trochę poznać swoich podopiecznych z poddasza. Z jego perspektywy byli dla siebie stworzeni. Wiele w życiu widział, zatem darował sobie dopytywanie o szczegóły. Wyszedł na niewielkie podwórko za tawerną, chwycił za siekierę i zamachnął się z całej siły. Obuch z impetem wyrzucił w czubek hydrantu. Słup wody z głośnym sykiem trysnął na wysokość pierwszego piętra.

– No! Mówisz i masz! – powiedział.

Zadowolony z siebie zatarł ręce, po czym wybrał numer Emila.

Danką była pod wrażeniem. Rubaszny właściciel lokalu jednym pociągnięciem siekiery zafundował personelowi spektakularną akcję na małomiasteczkową skalę.

Emil chyba biegł z hotelu, bo przybył z odsieczą szybciej, niż się go spodziewali.

Woda, oczywiście, nie wyrządziła większych szkód, ale i tak robienie porządków trwało dobre dwie godziny.

– Rozumiem, że mam o nic więcej nie pytać? – Jorgos szturchnął Dankę w łokieć poufałym gestem. – Lecisz mi cztery wieczory na zmywaku – roześmiał się serdecznie.

– Tak jest! – Zadowolona dziewczyna z wdzięcznością cmoknęła go w zarośnięty pulchny policzek. – Dziękuję.

Po akcji ratunkowej Emil, podobnie jak pozostali pracownicy, nie miał siły ruszyć ręką ani nogą. Jorgos, w podzięcie za pomoc, zaprosił wszystkich na poczęstunek i hojnie polał ouzo. Danka, nie mogąc ścierpieć zawartego w lokalnym alkoholu anyżu, poprosiła o piwo i zajęła miejsce obok Emila. Był wykończony i wcale nie zanosilo się na to, żeby tego wieczoru miał wrócić do Marzeny.

Zadowolona z udanej intrygi, z przyjemnością popijała swój zimny trunek. Na szczęście tego wieczoru klienci przenieśli się do sąsiednich tawern, zatem kelnerzy i pracownicy kuchni po ciężkiej pracy otrzymali chwilę zasłużonego odpoczynku.

– Na którą masz jutro zmianę? – zagadnęła. O ile się orientowała, owulacja mogła trwać nieco dłużej niż jedną dobę, zatem postanowiła dyskretnie wysondować, czego można spodziewać się nazajutrz.

– Na rano. – Skonany Emil pociągnął solidny łyk anyżowej wódki.

– Na zdrowie, przyjacielu! – wzniosła toast Danką, posyłając Jorgosowi porozumiewawcze spojrzenie.

Poczciewicz załapał w lot i przez resztę wieczoru skwapliwie pilnował, by w szklance Emila, wypełnionej mętną anyżówką z odrobiną wody, przypadkiem nie pokazało się dno.

Nie było takiej opcji, by następnego dnia Emil nadawał się do czegokolwiek poza zalegiwaniem w łóżku z zimnym kompresem na czole oraz częstym obejmowaniem sedesu. Tudzież pomstowaniem na własną głupotę, zwieńczonym przysięgą absolutnej dożywotniej trzeźwości.

Rano Danką, pewna, że niczego mu nie zabraknie, z czystym sumieniem postanowiła zostawić go pod opieką starej Eleni i Jorgosa. Emil miał za sobą noc więcej niż sądną, więc zadzwoniła do kierownika i przekazała mu, że Marian złapał jakąś bakterię jelitową i do niczego się nie nadaje. I to najpewniej do jutra. Kierownik pokiwał głową ze zrozumieniem i zatroskany pochylił się nad grafikami. Aktualnie miał pewne braki w personelu, ale na jego szczęście była sobota i trwała wymiana turnusów.

– Jak mogłeś tak okropnie się schlać?! Nawet nie wiesz, jakie miałam wczoraj świetne plany, a ty gdzieś poleciałeś i przez cały wieczór nie odbierałeś telefonu! – tokowała wzburzona Marzena, przy okazji bacznie rozglądając się po poddaszu.

Spodziewała się czegoś większego i wygodniejszego, ale i tak pomieszczenie było lepsze niż jej ciasna hotelowa kanciapa. No i mieli tutaj osobną łazienkę. Na szczęście nic nie wskazywało na to, by lokatorzy ze sobą sypiali. Dwa pojedyncze łóżka ustawiono przy przeciwległych ścianach.

– Jezu! Kobieto, ciszej... Mieliliśmy tutaj awarię – jęknął Emil słabo. – I chyba dopadło mnie jakieś choróbsko. Głowa mi pęka.

– Akurat!

– Co się tu dzieje? – Danką wyszła z łazienki. – Marzena? Co ty tu robisz?

– Właśnie sprawdzam, co się dzieje. Proste! – syknęła z niezadowoleniem.

– Nie powinnaś przypadkiem być w pracy? – Danką z trudem zachowywała kamienną twarz.

– Nie, wzięłam wolne. Miałam plany, przecież wiesz... – mruknęła cicho zawiedziona dziewczyna.

– Chyba w planach zaszły zmiany. – Danką wzięła torbę ze sprzętem i zarzuciła ją sobie na ramię. Musiała już zbierać się do pracy. Teraz jedynym problemem było wyciągnięcie z poddasza niechcianego gościa. Zdeterminowana Marzena mogła posunąć się do wielu rzeczy,

z gwałtem na zdychającym Emilu włącznie.

– Dobra, zostawmy go lepiej, skoro taki chory. – Pociągnęła Marzenę za rękaw. – Idę do Paradiso. Wracasz ze mną?

– Wiesz, może ja...

– Daj spokój. Mam lepszy pomysł. Pokażę ci twoje zdjęcia, co ty na to? Pomożesz mi przy obróbce, w końcu najlepiej wiesz, jak chcesz wyglądać. Gdzie odchudzić, gdzie poszerzyć... Nie chciałabym czegoś sknocić.

Zgodnie z przewidywaniem Marzena połknęła haczyk. Odkąd Danka zajęła się fotografowaniem, zauważyła, że kobieca próżność to potężny oręż. I, jak widać, skuteczny.

– Dobra! – Dziewczyna zgodziła się z ochotą.

Zadbały o zapas wody mineralnej dla Emila i powędrowały do hotelu. Hulajnoga została pod tawerną, na wypadek gdyby po drodze Marzenie się odwiedziało i jednak postanowiła zawrócić. Lepiej było trzymać rękę na pulsie.

– No i dupa błada – westchnęła ciężko Marzena.

– W jakim sensie? – Danka udała, że nie rozumie.

– Moją owulację właśnie trafił szlag.

– No to co? Nie ma się czym martwić. Przecież będzie następna – pocieszyła ją Danka, prawie pewna, że do tego czasu Emil jednak przejrzy na oczy. A jeśli nie, to przecież coś się wymyśli... – To jak? Idziemy obrobić te zdjęcia? Później pokażesz Marianowi.

Turnus opuścił Paradiso wczesnym rankiem, a przybycia kolejnego należało się spodziewać o siedemnastej. W hotelu przebywało aktualnie jedynie kilkunastu Greków, którzy przyjechali na weekendowy wypoczynek i którym nie zależało na dodatkowych atrakcjach. Zatem gdy skończyła z Marzeną, Danka skupiła się na usuwaniu z dysku zdjęć ludzi, którzy już wyjechali, i zrobiła miejsce dla nowych.

Właśnie zaczął się lipiec. Od tego weekendu sezon wakacyjny miał wystartować pełną parą, więc wołała się przygotować. Starannie posegregowała pliki, które w przyszłości mogły się jej przydać, i skopiowała wszystkie na pendrive znalezionej w szufladce biurka. Miała czas, więc postanowiła zaktualizować oprogramowanie. Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w Grecji, uruchomiła internet, ale w niewielkiej budce zasięg pozostawiał wiele do życzenia. Po kwadransie udało jej się odpalić Newsy.

W rodzinnym kraju nie działo się nic nadzwyczajnego. Jak co roku sezon ogórkowy obfitował w kretyńskie i w dodatku najeżone błędami artykułiki dla ćwierćinteligentów. Zakopane tradycyjnie spodziewało się turystycznego szturmu, w Bieszczadach już od jakiegoś czasu lało jak z cebra, Mazury zdominowała plaga komarów, a niezawodne sinice czekały u brzegu Bałtyku, by popsuć urlop sporej części populacji Polaków.

Hotelowa sieć internetowa, zwykle obciążona maksymalnie, nie nadawała się do użytku. Jedynie w soboty można było liczyć na sensowne połączenie. Danka z niejaką obawą uruchomiła własną pocztę. Była ciekawa, czy w czasie jej nieobecności pojawiły się nowe zlecenia. Miała zakaz logowania się, ale ciekawość była silniejsza. W końcu co się takiego może stać? Intensywnie wpatrywała się w obracające się kółeczko i czekała, aż przedpotopowa sieć wczyta zawartość jej skrzynki. Po chwili pojawił się komunikat, że nie ma połączenia z internetem. Danka wzruszyła ramionami i dała sobie z tym spokój.

Może to znak? Może lepiej nie kusić losu? Co, jeśli jej program pocztowy był pod obserwacją? Zaloguje się, a ktoś będzie wiedział, z jakiego miejsca nastąpiło połączenie? Danka nie miała pewności, czy coś takiego w ogóle jest możliwe, właściwie przyszło jej to do głowy właśnie teraz, więc tknięta niepokojącą myślą, pośpiesznie wyłączyła komputer.

Rozdział 16

Leżała na łóżku z zamkniętymi oczami i nasłuchiwała uważnie. Jeśli nie straciła rachuby czasu, spędziła w niewoli już dwa tygodnie.

Na szczęście, zgodnie z przypuszczeniem, stanowiła zbyt cenny towar, żeby Boris i Costas ponownie się na niej wyżyli. Przez kilka dni nic się nie działo. Do pokoju zaglądała jedynie Greczynka przynosząca monotonne i niezbyt częste posiłki. Za każdym razem scenariusz był taki sam: stawiała tacę na stole i wychodziła, nie powiedziawszy nawet słowa.

Po kilku dniach straciła poczucie czasu. Przez niewielkie szpary solidnej rolety ledwie sączyło się światło, ale z grubsza można się było zorientować, kiedy kończy się dzień. Nie było to bez znaczenia, ponieważ wiedziała, że jedyną szansę na ucieczkę miała późno w nocy, gdy zmożeni alkoholem goście lokalu spali już w domach, we własnych łóżkach. Istniała szansa, że pracownicy też.

Najbardziej martwiła ją nieznajomość rozkładu pomieszczeń. Doskonale wiedziała, że nie ma sensu próbować ucieczki przez klub. Nad ranem będzie zamknięty na głucho, a drzwi zabezpieczone kratą. Podobnie wszystkie okna na parterze. Miała nadzieję, że pokoje na piętrze będą miały podniesione żaluzje, a drzwi do nich będą otwarte. Pamiętała, że gdy gruby klient wprowadzał ją do pomieszczenia będącego jej obecnym więzieniem, po prostu nacisnął klamkę. Na tym budowała swoją kruchą nadzieję na powodzenie ucieczki. Innych pomysłów nie miała.

Po kilku dniach samotności pojawił się pierwszy klient. Grek. Wszedł do pokoju i zatrzymał się tuż za progiem. Ktoś natychmiast zamknął za nim drzwi na klucz. Mężczyzna obserwował ją przez chwilę w milczeniu, by w końcu podejść do łóżka, na którym siedziała bez ruchu. Gestem wskazał na swój rozporek, nie pozostawiając wątpliwości co do intencji. Wstała bez słowa i uklękła, wiedząc, że opór jest bezsensowny. Nie prosiła go o pomoc; była na to zbyt mądra i doskonale wiedziała, że to podstawiony klient mający za zadanie sprawdzić, czy już skruszała. Gdyby choć pisnęła, jeszcze tego samego dnia wróciliby jej ciemężyciele i prawdopodobnie znów zaczęliby ją zmuszać do brutalnego seksu. Starając się traktować mężczyznę jak zwykłego klienta, zrobiła posłusznie wszystko, czego chciał.

Z nadzieją czekała na pierwszego zagranicznego turystę, którego odważyłaby się poprosić o pomoc. Oczywiście Costas też nie był głupi i wpuszczał wyłącznie zaufanych klientów, zapewne stałych bywalców. Ona mogła jedynie zacisnąć zęby i robić to, czego od niej oczekiwano. Z każdym dniem jej wściekłość rosła, a siły dodawała myśl, że pewnego dnia zabije Borisa, Costasa i Emila Kastnera. Wszyscy byli sobie warci, a ona coraz bardziej zdeterminowana, żeby się oswobodzić i zemścić. Dawno temu poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie da się zniewolić. A tu taka ironia losu.

Po kolejnym tygodniu zmuszania do darmowej prostytutki stwierdziła, że nie wytrzyma tego piekła ani dnia dłużej. Po wyjściu wyjątkowo wymagającego i hojnie obdarzonego przez naturę Greka wzięła prysznic i włożyła czystą bieliznę. Milcząca dziewczyna dostarczyła kilka kompletów na zmianę. I szlafrok. Żadnych innych ubrań. Widocznie Costas uznał, że tylko to jest potrzebne.

Włożyła pośpiesznie swoją czerwoną sukienkę, którą wcześniej ukryła w łazience, po czym szczelnie owinęła się szlafrokiem. Wypiła zimną już herbatę z papierowego kubka, ale kanapek nie ruszyła. Postanowiła, że zachowa je na czarną godzinę, zwłaszcza że nie miała pojęcia, jak potoczą się wydarzenia. Jeśli oprawcy ją złapią, być może będą próbować złamać głodem. Trzy kromki chleba tostowego z serem powinny, przy oszczędnym gospodarowaniu,

wystarczyć na kilka dni. Zgasiła światło w pokoju i stojąc tyłem do kamery, zawinęła kanapki w serwetki, po czym upchnęła je w staniku, licząc po cichu, że urządzenie nie rejestruje obrazu w podczerwieni.

Położyła się w jedynych posiadanych butach, czółenkach na szpilce, i nie ruszyła się przez kolejne kilka godzin, starając się nie usnąć. Nie było to łatwe, więc żeby się rozbudzić, układała sobie w głowie kolejne scenariusze morderstw swoich prześladowców.

Gdy dudniąca muzyka w klubie na dole w końcu ucichła, otworzyła oczy i starając się nie generować żadnych dźwięków, sięgnęła do stanika. Już wcześniej przegryzła szwy w lewej miseczce i teraz bez większego trudu wydobyła fiszbin i kilkakrotnie zaginając, złamała na pół. Odrzuciła kołdrę, ściągnęła szlafrok i bezszelestnie podkrađła się do drzwi. Odetchnęła głęboko i wsunęła drut w dziurkę.

To był najbardziej ryzykowny moment. Liczyła się z tym, że tkwiący z drugiej strony klucz mógł wypaść na podłogę i narobić hałasu, jednak zabierano go po zamknięciu drzwi.

Zanim zdecydowała się na jakikolwiek kolejny ruch, nasłuchiwała przez chwilę. Zdawało jej się, że wszędzie panuje już cisza, więc wymacała końcem prowizorycznego wytrycha zapadkę i otworzyła zamek z cichym trzaskiem.

Ostrożnie wyjrzała na korytarz. Wszędzie panowały ciemności, ale oczy już do nich przywyk-ły. Podeszła do schodów i upewniła się, że z dołu nie dobiegają żadne odgłosy. Przystanęła, bijąc się z myślami. Po namyśle postawiła na podeście trzymane w ręku buty. Na palcach zakradła się do baru, nad którym świecił przytłumionym czerwonym światłem neon z reklamą whisky. Bez zbędnych wyrzutów sumienia chwyciła za szufladę z pieniędzmi i niespecjalnie się zdziwiła, że była zamknięta. Widywała już wiele barów, знаła wielu barmanów, więc rozejrzała się z uwagą. Tuż za rzędem szklanek zauważyła wąską skrytkę. Z trudem powstrzymała triumfalny okrzyk. Znalazła plik banknotów, których wartości nie była w stanie w tej chwili oszacować. Domyślała się, że główny utarg Costas z pewnością zabiera do sejfów, ale drobne trzyma w barze z kilku powodów. Po pierwsze, nie chciało mu się ich księgować, po drugie, lubił mieć pod ręką gotówkę, a po trzecie, gdyby zostawił je w kasie, zapewne ktoś z personelu by się połasił. Stąd zapewne ta skrytka.

Wepchnęła plik pieniędzy do stanika i wróciła na piętro. Chwyciła buty, zapięła ich paseczki wokół nadgarstka i minąwszy swoje więzienie, udała się w głąb korytarza po miękkiej wykładzinie. Przy kolejnych drzwiach nasłuchiwała przez chwilę, czy ktoś za nimi jest, ale cisza dźwięczała jej w uszach. Na próbę nacisnęła delikatnie klamkę.

Były zamknięte.

Czując, że wpada w panikę, odeszła najszybciej, jak się dało, i przywarła do ściany. Czekala bez ruchu dobry kwadrans, zanim odważyła się podejść do innych. Tym razem szczęście jej dopisało. Weszła do środka i natychmiast podbiegła do okna. Żaluzje były podniesione, więc drżącymi dłońmi otworzyła okno i spojrzała w dół. Nie było wysoko, a do tego do ściany przymocowano kratę służącą za podparcie dla pnącej winorośli. Jak dotąd szczęście jej sprzyjało.

Błyskawicznie zeszła na dół. Wyczuła bosymi stopami ostre krawędzie kostki brukowej, więc pośpiesznie włożyła buty. Starając się poruszać jak najciszej, minęła samochód stojący na wewnętrznym podwórku. Podeszła do bramy. Była zamknięta od środka na haczyk, dała się otworzyć bez trudu.

Obejrzała się. Właśnie świtało, a brzask rozjaśniał nieco zaplecze klubu.

Zorientowała się, że patrzy na kuchnię. Natychmiast naszła ją myśl, że przy odrobinie szczęścia może uda jej się zemścić. Pomieszczenie nie było zamknięte; w jednym z jego rogów stało kilkanaście pustych wiklinowych koszy. Ustawiła je jeden na drugim na trzech kuchenkach, zapaliła gaz i nie czekając na efekt, uciekła.

Przemaszerowała energicznie przez mostek dla pieszych wiodący na drugą stronę zatoki. Tam przysiadła na murku i z satysfakcją zapatrzyła się na migotliwą łunę pożaru odbijającą się w spokojnej wodzie. Godzinę później zjadła jedną z kanapek i posiłkując się wiedzą z drogowej tablicy informacyjnej, ruszyła poboczem drogi w stronę Katelios. Najwyższy czas, by odpłacić Kastnerowi za zniszczone życie.

– Zaczynam mieć tego dosyć – wycodziła przez zęby Danką, patrząc złowrogo na Emila.
– Jeśli ta dumna gęś ma mi się tu płatać pod nogami, to może wyprowadź się w cholerę, zanim ją zamorduję?

– Ale mówiłem jej...

– Widać nie dość wyraźnie! – Ledwie powstrzymała się od tupnięcia nogą.

Miała Marzenki powyżej uszu, i w pracy, i w domu. Wydawało się, że wystarczy otworzyć lodówkę w tawernie, a wyskoczy z niej napalona na Emila studentka.

– Dobra, spoko. Dzisiaj jej powiem, żeby tu nie przychodziła – zgodził się potulnie i wstał z łóżka.

Danka nie umknęło, że zawartość jego bokserów wyraźnie napęczniała. Pomyślała ze złością, że nawet wzmianka o tej kretynce działa na niego stymulująco. Tymczasem Emil pośpiesznie okrył biodra ręcznikiem, żeby ukryć kłopotliwy stan wywołany widokiem współlokatorki w białej sukience. Starając się nie przyglądać jej pełnym piersiom, których sutki przebijały przez cienką tkaninę, niezgrabnie wsunął stopy w wysłużone plażowe klapki. Przemknął krakowiaczkiem między stolikiem a łóżkiem, po czym z ulgą zatrasnął za sobą drzwi łazienki.

– Obiecuję, że zrobię z nią porządek! – zawołał.

I schował twarz w dłoniach, nie bardzo wiedząc, co ma z tym wszystkim począć.

Danka wzruszyła ramionami i zeszła do tawerny. Przywitała się z Jorgosem, z trudem powstrzymując się od zabicia wzrokiem siedzącej przy barze Marzeny. Zaledwie pół godziny wcześniej wyprosiła ją obcesowo z pokoju, do którego ta wkroczyła bez zaproszenia i od wejścia niemal wpakowała się Emilowi do łóżka. Fakt, był równie zażenowany jak Danka, ale to właśnie ona musiała zrobić z dziewczyną porządek. Oczywiście natychmiast awansowała w oczach Marzeny na wroga numer jeden, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej, więc Emil natychmiast dostał opieprz, że nie potrafi utrzymać w ryzach kochanki.

Niestety, faktem było, że Marzenki nie dało się ot tak okiełznać, co Danka niechętnie sama przed sobą przyznała, gdy wreszcie opadły najgorsze emocje. Odetchnęła głęboko i podeszła do baru. Jorgos bez słowa postawił przed nią kawę, a sam z miną niewiniątka powrócił do serwowania Marzenie banałów o pogodzie.

– Idziesz ze mną do hotelu? – zagaiła spokojnie Danka. – Zdaje się, że niedługo obydwie zaczynamy zmianę.

– Skoro nic nie wyszło z miłego porannego powitania z moim facetem – ostatnie dwa słowa Marzena podkreśliła stanowczo – nie mam tu nic więcej do roboty. – Wyraźnie obrażona dziewczyna wyduła usta i wstała z barowego stołka.

Danka puściła oko do Jorgosa, który o mało nie zakrztusił się od powstrzymywanego śmiechu, i ruszyła za koleżanką. Marzena ostentacyjnie wyjęła telefon i umieściła w uszach słuchawki.

Przez całą drogę nie zamieniły słowa.

W hotelu zastały totalny chaos, choć była dopiero siódma. Właśnie z przytupem rozpoczął się nowy turnus; z kuchni wyjeżdżały do jadalni stosy jedzenia. Mogąc jedynie

pomarzyć o zaszyciu się w budce fotograficznej, Danka zakasała rękawy i zabrała się do pracy.

– I tak zabraknie wszystkiego tuż po ósmej – bąknęła Marzena, zapominając o urazie. – Czekaj nas istny sajgon, zobaczysz, więc lepiej się przygotuj psychicznie na ostry zapierdziel.

Zrezygnowany ton oraz to, że w jednej chwili z wroga przeistoczyła się w sojusznika, uzmysłowiły Dancę, że żarty się skończyły.

Marzena miała rację, a rzeczywistość przekroczyła najśmielsze wyobrażenia. Pięć minut przed wybiciem ósmej przed wejściem utworzyła się kolejka matek z dziećmi oraz brzuchatych ojców w klapkach i skarpetach. Szturmem sforsowali przeszkłone drzwi i gorączkowo usadzając dzieci przy stolikach, wysyłali współmałżonków do ład z jedzeniem. Ogon chętnych ciągnął się przez całą długość pomieszczenia, podgrzewane talerze znikwały w zastraszającym tempie. Ludzie nakładali w pośpiechu wszystko, co przed nimi stało. Kwadrans później tace i bemały zostały ogołocone, a dumni zdobywcy wracali do stolików, zonglując talerzami z piramidami jedzenia.

– Większość skończy na śmietniku – mruknęła Marzena, po czym podreptała do kuchni po kolejny kosz pieczywa.

– Po jasną cholerę im tyle chleba? – zdziwiła się Danka.

– Wakacje nad Bałtykiem im się przypominają.

– Co takiego?

– Zawijają w serwetki i wynoszą nad morze. Szukają łabędzi. – Marzena parsknęła śmiechem. – Jak na molo w Sopocie.

– Wkręcasz mnie. – Danka postawiła na podgrzewaczu ciężki pojemnik z parówkami.

– Serio, tak robią. Idź lepiej na owoce – poradziła jej koleżanka. – W sumie co z tego, że przez cały dzień są dostępne w każdym zakątku hotelu, i tak zaraz zabraknie.

Danka przestała się czemukolwiek dziwić, gdy zobaczyła, że nowa wczasowiczka pakuje do reklamówki tacę nektarynek. Nie mogła zrozumieć takiej pazerności, szczególnie że przecież w hotelu niczego nie brakowało. Wzruszyła ramionami i poszła zbierać talerze ze stolików.

Większość była napakowana jedzeniem porzuconym po uszczknięciu raptem odrobiny. Warzywom, ledwie ponadgryzanym parówkom i stosom zimnej jajecznicy towarzyszyło mrowie szklanek i kubków z niedopitymi napojami.

Dziewczyna westchnęła ciężko i wzięła się do sprzątania. Jej myśli pobiegły do Emila i prawie zrobiło się jej go żal, gdy wyobraziła sobie dzisiejsze obłężenie baru, ale po chwili skupiła się na Yannim. Nie widzieli się od ładnych paru dni, lecz dzisiaj wreszcie mieli się spotkać. Mignął jej w korytarzu tuż po śniadaniu, lecz nawet nie zdążyła się przywitać. Zresztą niespecjalnie zabiegała o spotkania w pracy. Wieczorem miał, jak zwykle, przyjechać po nią do tawerny.

Danka poczuła podniecenie, ale i ulgę. Rozłąka wywołała bowiem wątpliwości, czy Yanni przypadkiem nie chce z nią zerwać.

Zatopiła się we wspomnieniach upojnych chwil na motorówce w Asos, aż jej się zrobiło gorąco. Zamrugała, żeby wizja zniknęła, ale choć tak się stało, w jadalni nadal panował skwar.

– No to zarąbicie! – dobiegł z oddali głos Marzeny. – Właśnie zepsuła się klima. Teraz wszyscy będziemy już mieć całkiem przerąbane.

Pół godziny później, w trakcie sprzątania pokoi, Danka przekonała się o tym boleśnie. Przykryła pościelone łóżko złotą ciężką narzutą i otarła pot z czoła. Żałowała, że pozwoliła się zaprząć do tej roboty, ale Yanni poprosił ją o to osobiście w jednej z rzadkich ostatnio rozmów telefonicznych. Argumentował, że brakuje ludzi do pracy, a gdyby zajęła się pokojami po śniadaniu, bardzo pomogłaby personelowi sprząającemu. Zgodziła się bez wahania, zwłaszcza że dostała za to podwyżkę. Dzień był długi, więc fotki przy basenie mogła robić także po południu.

Dwie godziny później, kompletnie wykończona i zlana potem, opuściła główny budynek i skierowała się do baru nad basenem. Emil już uwijał się na stanowisku. Kontuar oblegał tłum gości.

– Masz co robić, jak widzę? – zagaiła. – Słuchaj, nie będę ci głowy zawracać. Chciałam cię tylko przeprosić. Twoja sprawa, kogo przyprowadzasz. Mieszkasz tam tak samo jak ja.

– Ale ja nie chcę, żeby ona mnie ciągle nachodziła – jęknął, nalewając piwo do szklanki.

– Osaczyła mnie, a ja tego nie lubię.

– To może jej to wyjaśnij?

– Próbowałem jakoś dyplomatycznie, ale się nie da.

Danka chciała powiedzieć, że w takim razie powinien ją mniej dyplomatycznie rzucić w diabły, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Zamiast tego uśmiechnęła się ciepło, pożegnała i ruszyła do Katelios. Marzyła wyłącznie o chłodnym prysznicu, drzemce i upojnej nocy w ramionach kochanka.

Yanni przyjechał przed dwudziestą. Miał wymizerowaną twarz i podkrążone oczy.

– Co się stało? – zapytała, gdy wsiadła do samochodu.

– Nic. Miałem ostatnio sporo bezsennych nocy. Martwiłem się o...

– O mamę? – weszła mu w słowo.

– Yyy... No tak, o mamę! – zapewnił gorliwie.

Danka pomyślała, że Yanni musi być wyjątkowo rodzinnym i troskliwym człowiekiem, skoro złamana noga matki nie pozwala mu spać nocami. Stwierdziła, że to trochę dziwne, ale na swój sposób urocze. W końcu dla południowców rodzina była czymś szczególnie ważnym.

– Dokąd jedziemy? – zagaiła, zmieniając temat.

– Niedaleko – mruknął.

Przyzwyczajona do romantycznych schadzek zdziwiła się, gdy rzeczywiście po dosłownie pięciu minutach zaparkował przed niezbyt zachęcająco wyglądającym motelem. Postanowiła tego nie komentować, w końcu mężczyzna miał zmartwienie, a ona nie była księżniczką, której należy nadszkalować. Miejsce nie miało znaczenia. Dance zależało na czułym i troskliwym dotyku, którego zwykle jej nie szczędził.

Przyciągnął ją, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi pokoju. Pocałował mocno i nie bawiąc się w podchody, wsunął dłoń w jej majtki.

– Ktoś tu chyba jest bardzo spragniony – wyszeptał i poprowadził Dankę do łóżka. – Pozwól, że zadbam o ciebie jak należy.

Wątpliwości wyparowały, gdy tylko zsunął z niej bieliznę i zaczął zwiedzać językiem zakamarki rozpalonego ciała.

Godzina spaceru w szpilkach poboczem drogi dała jej dobrze w kość. Poranne słońce paliło coraz mocniej, więc po namyśle skręciła w prawo, z powrotem do Argostoli, gdzie znalazła sklep odzieżowy. Nie wybrzydząc, zapłaciła trzydzieści osiem euro za parę szortów, T-shirt, krótkie skarpetki i białe trampki. Przebrała się w toalecie na stacji benzynowej, przeszczęśliwa, że pozbyła się charakterystycznej czerwonej sukienki. W pierwszym odruchu chciała ją wyrzucić, ale uznała, że jeszcze może się przydać. Poza tym w jej sytuacji, gdy została praktycznie bez ubrań, nie należało niczym pogardzać. Wcisnęła kieckę do reklamówki z logo sklepu i przeliczyła ukradzione Costasowi pieniądze. Miała czterysta dwadzieścia euro w banknotach i kilka drobnych monet.

Najbardziej wkurzała ją utrata telefonu, bo na kupno nowego w tej chwili nie mogła sobie pozwolić. Zanim poszła w stronę przystanku autobusowego, wstąpiła do niewielkiego sklepu,

w którym kupiła przybory toaletowe i mały dezodorant. Po namyśle podała kasjerce lnianą torbę na ramię z wypisaną po grecku nazwą wyspy. Wrzuciła do niej cały skromny dobytek. Odnalazła przystanek i wkrótce siedziała już w autobusie jadącym do Katelios. Zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać po tej miejscinie, ale podejrzewała, że jest niewielka.

Wróciła myślami do podpalonego klubu. Miała nadzieję, że Costas usmażył się w środku jak prosię. Jednak Boris z pewnością nie ucierpiał. Zaczęła się zastanawiać, jak się na nim zemścić bez ryzyka, że ponownie wpadnie w tarapaty, ale nie ułożyła żadnego sensownego planu. Dla odmiany postanowiła skupić się na Kastnerze. Nie miała pojęcia, gdzie zaszył się jej cel. W szczycie sezonu turystycznego raczej trudno go będzie wyśledzić, ale musiał odpowiedzieć za wszystko, co jej zrobił. Za największy koszmar jej życia.

Godzinę później wysiadła z klimatyzowanego autobusu wprost na rozpalony asfalt niewielkiego ronda i podążyła za kilkorgiem pasażerów z plecakami. Spodziewała się, że za chwilę zobaczy miasteczko, ale zamiast niego tuż przed jej oczami wyrósł spory hotel.

– Paradiso? – powiedziała do siebie na głos. – A może być i Paradiso! – Rażno wkroczyła do środka.

Rozdział 17

Najbardziej potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby zakotwiczyć. Gdziekolwiek, byleby wtopić się w tłum, zorientować się w sytuacji i rozejrzeć po okolicy. Do tego wypadało zarobić uczciwie nieco grosza, uznała bowiem, że okoliczności w ogóle nie sprzyjają uprawianiu jej wyuczonej, starej jak świat profesji. Okolica nie wyglądała na taką, gdzie można było przebierać w ofertach, a ona nie miała zamiaru rzucać się w oczy.

Pełen gości hotel wydał jej się niezłym miejscem jak na początek. Może później zorganizuje sobie coś w miasteczku. Płynnie porozumiewała się po rosyjsku, polsku i angielsku, więc uznała, że to powinno wystarczyć, i zapytała w recepcji o kierownika. Tak jak sądziła, w szczycie sezonu w takim miejscu jak Paradiso potrzebna była każda para rąk do pracy. Na szczęście w hotelu panował taki rozgardiasz, że nikomu nie przyszło do głowy podpisywać na tę okoliczność jakiegokolwiek dokumenty. Jej paszport przepadł przecież bez wieści. Najpewniej doszczętnie spłonął wraz z Costasem i całym jego przeklętym burdelem.

Niech Bóg pobłogosławi Greków i ich wrodzony luz, pomyślała, przebierając się w beżowy uniform sprzątaczk. Bardzo ucieszyło ją, że pracując w hotelu, może liczyć na wyżywienie. Gorzej było z noclegiem, ale i to na pewno da się rozwiązać; zdążyła już zauważyć rozstawione na plaży leżaki. Kwestia higieny nie stanowiła problemu, bo przy szatniach personel miał do dyspozycji obszerną łazienkę. Na tę jedną noc leżak musiał wystarczyć. Zawsze było to lepsze niż ciemna nora u Costasa. Resztą postanowiła zająć się później.

Z werwą zabrała się do pracy. Sprzątania było co niemiara. Nawet przy basenie. O ile jednak o sam zbiornik basenu dbał osobny personel, o tyle na brzegu, przy leżakach goście zostawiali po sobie taki brud, że nie wiadomo było, w co ręce włożyć. Walało się tutaj wszystko: od potłuczonych szklanek, rozlanych napojów w różnych kolorach, rozdeptanych resztek jedzenia, po rozpływające się lody i zużyte pampersy.

– Jesteś nowa? – zagadnęła ją dziewczyna, jako jedna z nielicznych wyglądająca na Greczynkę.

– Tak, przyjechałam dzisiaj. Pobłądziłam na trampingu, ukradziono mi dokumenty i bagaż, a autobus przywiózł mnie tutaj.

– To okropne!

– Wcale nie tak bardzo. Przecież mam pracę i wyżywienie. Mogło być gorzej.

– A gdzie będziesz mieszkać?

– Dobre pytanie. Potrzebuję przestrzeni i powietrza jak nigdy w życiu, więc dziś pewnie przenocuję na plaży, a dalej to się zobaczy. Kompletnie nie orientuję się w okolicy. Nie wiesz przypadkiem, gdzie znajduje się jakaś cywilizacja?

– Dziesięć minut stąd jest Katelios. Choć nie wiem, czy cywilizacja w takim wydaniu cię zadowoli. – Dziewczyna się roześmiała. – To mała osada, gdzie poza sezonem kompletnie nic się nie dzieje. Kilkanaście domów, parę sklepów, trochę tawern. Ale jeśli chcesz, to mogę zapytać wujka, czy nie wynająłby ci pokoju. Od śmierci ciotki i wyjazdu kuzynki na studia biedak mieszka całkiem sam.

– Naprawdę? Mogłabyś zapytać? Jak masz na imię?

Dziewczyny dokonały prezentacji i natychmiast nawiązały koleżeńską komitywę.

Pogrążona w mroku plaża w porównaniu z zaciemnionym i dusznym pokojem była niczym raj, a leniwy spacer wśród obmywających stopy słabych fal stopniowo koił nadszarpnięte ostatnimi czasy nerwy. Co prawda na tym etapie ciężko było planować kolejne kroki, ale i tak

mogła pogratulować sobie determinacji i sprytu.

Jeśli to całe Katelios, które od początku wyprawy stanowiło jej cel, istotnie jest tak małe, zapewne wszyscy się tutaj świetnie znają i wiedzą na swój temat wszystko. W takich okolicznościach ustalenie miejsca pobytu przyjezdnego bogacza nie powinno nastręczyć większych problemów.

Noc na brzegu morza, choć daleka od komfortu, niespodziewanie sprawiła jej przyjemność. Znow mogła odetchnąć pełną piersią i z nadzieją, że jakoś to będzie, usnęła na leżaku.

Nazajutrz wypoczęta i rześka stawiała się w pracy. Tuż po śniadaniu ruszyła do sprzątania. Z ulgą zauważyła, że w pokojach nie jest tak źle jak nad basenem. Przynajmniej goście w nich nie jedli, co najwyżej pili, zatem wystarczyło pozbierać brudne szklanki i odnieść je na zmywak. Na niektórych łóżkach znajdowała drobne napiwki, które skrzętnie schowała do kieszeni fartuszka. Zdażyła już zamienić kilka słów z nową koleżanką, a tamta podtrzymała swoją wcześniejszą propozycję i po pracy zaproponowała spacer do mieszkającego w Katelios wujka.

– Daleko jeszcze? – zapytała zasapana, gdy wybrały się piechotą po zmianie.

– Jeszcze chwila – odparła Greczynka. – Zwyk-le jeźdź rowerem, wtedy jest szybciej. O! Patrz! – Wskazała palcem. – Oto i nasze Katelios.

– O rany, ale grajdoł.

– Przecież ci mówiłam, że nic tutaj tyłka nie urywa. No, może poza widokami, ale jak kwitniesz tu od urodzenia, to nie zwracasz uwagi nawet na nie.

Nigdzie jak okiem sięgnąć nie widać było niczego poza niewielkimi domkami. Próżno było szukać w okolicy okazałych rezydencji godnych rozpieszczonego bogacza.

– Serio? Nie ma tu nic lepszego? – zapytała.

– A co masz na myśli? – odpowiedziała pytaniem Greczynka.

– Zapytam inaczej. Gdybyś była bardzo bogata, to gdzie byś zamieszkała?

– Jakbym była bogata, to zamieszkałabym w Nowym Jorku albo w Cannes! – Dziewczyna się zaśmiała. – A dlaczego pytasz?

– Pomyślałam sobie, że bogaczom może być potrzebna służba. Skoro w hotelu jest taka nędza z personelem, to u nich też mogą być braki.

– Tutaj są tylko trzy takie miejsca. O tam, popatrz, na lewo. Widzisz te różowawe mury i niebieskie okiennice? To pensjonat Santos. I tam, bardziej po prawej, na wzgórzu. Widzisz?

– Widzę. Czyja to chata?

– To letniskowy dom Marcusa Papadopoulosa. To znany reżyser.

– I to wszystko?

– Jest jeszcze jedno takie wypasione miejsce... – Greczynka w zamyśleniu ściągnęła brwi i zmarszczyła czoło. – Wielka rezydencja na wynajem. Wiesz, taka w sam raz dla bogatych dupków, co to szaleją na wodnych skuterach i mają własne helikoptery.

Dziewczyna drgnęła. To by pasowało. Uważnie wysłuchała instrukcji, jak tam dotrzeć. Ktoś taki jak Kastner nie mieszka przecież w byle jakiej greckiej chatynce i nie wcina znalezionych na plaży glonów.

– No, jesteśmy na miejscu! Tu właśnie mieszka mój wujek.

Wzniesiony z kamienia, tonący w opuncjach i bugenwilli całkiem spory dom był kwintesencją lokalnej architektury.

– Cudowny! Ach, jak tu pięknie! A jaki jest ten twój wujek?

– Fajny. Hoduje kury, maluje obrazki dla turystów i pisze wiersze. Zresztą sama zobaczysz.

Kosma był sympatycznym mężczyzną około sześćdziesiątki i jak większość jego rodaków

w podobnym wieku z wdziękiem nosił przed sobą pokaźne brzuszysko. Błyskawicznie dobili targu, choć jej uwadze nie uszło spojrzenie, jakim otaksował ją od stóp do głów. Sposób, w jaki to uczynił, nie pozostawiał wątpliwości, że miałby ochotę nie tylko na wynajem pokoju.

Dobra nasza! Urobię kolesia w pięć minut, pomyślała zadowolona i prawie pewna, że docelowo nie będzie mowy o żadnym czynszu, pozwoliła się zaprowadzić do pokoju.

Przytulny i ładny, był urządzony we wszystko, co potrzeba, a po jej niedawnych przygodach jawił się niczym raj na ziemi. Ucieszyło ją, że gospodarz oddał do jej wyłącznej dyspozycji osobną łazienkę przylegającą do pokoju.

Kosma nieźle mówił po angielsku, więc cały wieczór spędzili na tarasie, sącząc miejscowe wino. Mężczyzna lubił rozmawiać i znał w okolicy każdy kamień, zatem gdy kładła się spać, wiedziała już wszystko, co wiedzieć chciała. Faktycznie, w Katelios i najbliższej okolicy znajdowały się jedynie trzy miejsca, gdzie mógłby przebywać Kastner. Pewna sukcesu, postanowiła codziennie po pracy, niby przypadkiem, obejrzeć jedno z nich, zwłaszcza że gospodarz miał na stanie kilka rowerów i pozwolił jej z nich korzystać.

Przemierzana jednoślądem trasa do hotelu mocno skurczyła się w czasie.

Tego dnia przydzielono ją do uprzątnięcia jadalni, gdzie pracownice uwijały się jak mrówki, by sprawnie wynieść do kuchni resztki jedzenia. Pozdejmowała poplamione obrusy ze szwedzkiego stołu i zabrała się do mycia niezliczonych stolików. Gdy wreszcie skończyła, poszła do kuchni, gdzie pracownikom wydawano posiłki. Z talerzem pełnym jedzenia i butelką wody mineralnej pod pachą wyszła na zewnątrz i aby nie przeszkadzać nikomu, przycupnęła na schodkach wiodących z zaplecza.

– Cześć! Mogę się przysiąść? – usłyszała za plecami łamaną angielszczyznę. – Jesteś z Rosji?

– Nie, z Ukrainy. Ale mówię też po polsku. Siadaj! – odparła, nie odwracając się, i przesunęła, aby zrobić miejsce.

Nawiązywanie nowych znajomości było jej nie w smak, ale przecież nie mogła zachowywać się jak dzikuska i unikać ludzi. Zwłaszcza że mogli się przydać.

– Super! – Dziewczyna umościła się obok, z talerzem na kolanach, i przeszła na polski. – Niezła dziś ta pita ze szpinakiem i fetą, co? Jak ci na imię?

– Wiera – skłamała na poczekaniu. – A tobie?

– Danka.

Na dźwięk imienia Ukrainka drgnęła, jakby dźgnięta czymś ostrym, i z uśmiechem odwróciła się do sąsiadki. Wiele trudu kosztowało ją, by z wrażenia nie wytrzeszczyć oczu. Tuż obok niej siedział nie kto inny niż Danuta Popiołek we własnej osobie i jak gdyby nigdy nic wcinała piętę!

O w mordę jeża!, pomyślała. Okoliczności nie mogły spleść się korzystniej. Skoro Popiołek wyleciała z Modlina wraz z Kastnerem, także i on musiał znajdować się w pobliżu. Jedno tylko nie pasowało: jakim cudem Emil pozwolił Dance sprzątać w hotelu?, pomyślała z niepokojem. Wyjechał z Grecji czy co? A może się rozstali? I właśnie dlatego ta laska wylądowała w Paradiso w charakterze sprzątaczk?

– Chcesz kawę? Bo idę przynieść dla siebie? – Gorączkowe rozważania przerwał głos Danki.

– Pewnie, dzięki. Weź mi białą – odparła.

Nie pijała kawy, ale musiała zyskać na czasie. Do głowy by jej nie przyszło, że sprawy przybiorą taki obrót. Musiała błyskawicznie zweryfikować plan. Najsensowniej będzie wziąć tę Popiołek na spytki i spróbować ustalić, gdzie jest Emil Kastner. Bo jeśli aktualnie nie przebywa w pobliżu, trafiła w ślepy zaułek. W końcu to nie ta dziewczyna jest celem, lecz on.

Po krótkiej rozmowie początkowy entuzjazm wyparował bezpowrotnie. Nowa znajoma, sprytnie wypytana na okoliczność męskiego towarzystwa, wspomniała wprawdzie o przyjacielu, z którym pomieszkuje na poddaszu tawerny w Katelios, niestety facet miał na imię Marian i był barmanem w hotelowym barze.

Wiele była w stanie sobie wyobrazić, ale nie Kastnera w takiej roli. Za nic! To kompletnie nie trzymało się kupy. Cofnęła się pamięcią do poprzedniego dnia, kiedy sprzątała przy basenie. Z jej dotychczasowej profesji wynikały pewne przyzwyczajenia, zatem automatycznie sprawdziła, co się dzieje przy barze. Gdyby pracował tam Kastner, rozpoznałaby go natychmiast, nawet gdyby przefarbował się na rudo, tymczasem gości obsługiwało dwóch tęgawych blondynów, zapewne gejów, ponieważ adorowali się otwarcie. To by tłumaczyło fakt, że Popiołek mieszka z facetem, który nie będąc jej kochankiem, dzieli z nią pokój.

Tak, to miało sens.

– Dobra, dzięki za towarzystwo – powiedziała. – Wracam do pracy.

– Ja też. Fajnie było cię poznać, Wiera.

– A może byś chciała zmienić to swoje wspólne lokum na jakieś lepsze?

– Niby na jakie? – zdziwiła się Danka.

– Mieszkam niedaleko. Jedna z naszych dziewczyn z porannej zmiany załatwiła mi niedrogi pokój u swojego wujka. Gość jest sympatyczny, to wdowiec. Chyba niebiedny, bo chałupa całkiem spora. Jakbyś miała ochotę, to mogę go zapytać, czy nie zechciałby wynająć jeszcze jednego pokoju.

Musiała improwizować, a na razie jedyną opcją była przyjaźń. Popiołek wyglądała na szczerą dziewczynę, zatem można się było spodziewać, że jeśli nabierze zaufania, zapewne coś powie. Cokolwiek, byle konkretnego. Coś, co pomogłoby nareszcie osiągnąć upragniony cel.

– Pewnie. Będę wdzięczna – odparła zdawkowo Danka.

Nie chciała wyjść na nieuprzejmą i choć mieszkanie z Emilem, odkąd związał się z tą idiotką Marzeną, stało się mocno uciążliwe, wołała pozostawać w centrum wydarzeń i trzymać rękę na pulsie. To jedno. Do tego dochodziła wieczorna pomoc w tawernie. Nieraz bywała tak wymęczona, że dziękowała Bogu za to, że mieszka na miejscu. Natomiast trzecim powodem, dla którego nie planowała przeprowadzki, była tłąca się w sercu nadzieja, że w końcu Yannis zaproponuje jej wspólne zamieszkanie. Odkąd jego matka wyzdrowiała, ich relacje ponownie się zacieśniły. Było nawet lepiej niż wcześniej. Dłuższa rozłąka wyszła im na dobre. I choć Danka nie miała nic przeciwko romantycznym randkom w plenerze, wypadom do moteli oraz szybkim numerkom w hotelu, skrycie liczyła, że związek przerodzi się jednak w coś poważniejszego.

Czarny mercedes właśnie wjechał na podjazd. Na widok Yanniego Danka ożywiła się od razu.

– Kto to jest? – usłyszała pytanie.

– Szef Paradiso – odparła. – Yannis Stempa... Stamepe... Eee, cholera, oni mają niemożliwe te nazwiska!

– Nieźle ciacho – przyznała Wiera z uznaniem.

– Co nie? – przytaknęła ochotczo Danka.

– Wcale bym się nie pogniewała, gdyby zaprosił mnie na dywanik, na ostrą reprimendę...

Te słowa sprawiły, że spojrzenie Danki zlodowaciało natychmiast. A zacięta mina zdradziła, że między tą dwójką zapewne jest coś na rzeczy.

Bingo! To nie z Kastnerem się bzykasz!, pomyślała Ukrainka. Kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce. Tylko co dalej?

Jakby na potwierdzenie jej wniosków Danka pożegnała się pośpiesznie i podążyła za

szefem.

Tym razem spotkali się w apartamencie na poddaszu. Od lat stał nieużywany, zbyt duży, by ktokolwiek chciał bezsensownie płacić za zbędny nadmetraż, a przy tym tak niefortunnie zaprojektowany, że nie dawało się go podzielić na mniejsze pomieszczenia.

Wystarczyło, że zamknęły się za nimi drzwi, a padli sobie w objęcia. I znów wszystko odbyło się szybko i gwałtownie. Yanni, widząc, jak bardzo Danką jest podniecona, darował sobie grę wstępną i od razu przystąpił do rzeczy. Zsunął spodnie, usiadł na krześle, posadził sobie dziewczynę na kolanach. Dosiadła go z jękiem i wpijając się ustami w jego usta, wymownie poruszyła biodrami. Zadarł jej koszulkę aż pod szyję i rozpiął stanik. Teraz ssał na przemian oba sterczące sutki. Danką zatraciła się całkowicie. A przy potężnym orgazmie krzyknęła głośno, lecz, o dziwo, kochanek nie doszedł wraz z nią. Nie przestawał pieścić jej piersi, więc wzięła dwa głębokie oddechy i wyrównała wspólny rytm. Teraz ważny był Yanni.

Po dłuższej chwili poczuła, że znów nadchodzi spełnienie, i to potężniejsze niż wszystkie dotychczasowe. Mimo że miała wrażenie kontroli nad sytuacją, spazm nagle szarpnął jej ciałem. Na chwilę niemal straciła świadomość, świat przestał istnieć.

Tym razem wspólnie sięgnęli szczytów rozkoszy.

– Matko! – wysapała zdyszana Danką i odgarnęła z czoła Yanniego mokre od potu czarne kosmyki. – Matko jedyna! Co to było?

– Niespodzianka. – Maksymalnie zaspokojony mężczyzna uśmiechnął się leniwie i pocałował ją mocno.

– Zjadłeś trzy kilo ostryg? – zapytała, gdy chwilę później stanęli pod prysznicem.

– Nie, nie, to nie ostrygi – zaprzeczył. – To johimbina. Tak działa. Spójrz, znów mi stoi.

– Niebawem... – Gdyby nie doświadczyła tego na własnej skórze, w życiu nie uwierzyłaby w podobną historię.

– Chodź do mnie, bo to jeszcze nie koniec. – Yanni pocałował ją w usta i obróciwszy przodem do ściany, pewnie wtargnął od tyłu w miękkie wnętrze.

Po wszystkim, mimo że sam ledwie trzymał się na nogach, musiał ją wesprzeć. Inaczej upadłaby na podłogę.

– I co teraz? – zapytała z uśmiechem. – Chciałabym tylko przypomnieć, że jestem w pracy, a przez te twoje eksperymenty aktualnie nie nadaję się do niczego.

– No nie mów, że żałujesz. To było bzykanko życia! Nic się nie stanie, jeśli zdrzemniemy się z godzinkę, zanim oboje wrócimy do roboty.

Nagła nieobecność tych dwojga dała jej do myślenia. A w chwili gdy nie zdając sobie sprawy, że są obserwowani, zniknęli za drzwiami apartamentu na ostatnim piętrze, nabrała całkowitej pewności, że Danką Popiołek nie ma aktualnie nic wspólnego z Emilem. Stojąc za rogiem hotelowego korytarza, zastanawiała się, co dla niej oznacza wiedza, że dziewczyna gzi się po kątach z właścicielem hotelu. Sam fakt niespecjalnie ją obszedł, ale mocno obniżał prawdopodobieństwo, że Kastner znajduje się w pobliżu.

Poczuła wściekłość, jak zawsze gdy jej myśli koncentrowały się na tym wstrętnym sukinsynu.

Przeczuwając, że zamknięta w apartamencie para nieprędko go opuści, zeszła na parter budynku i wróciła do pracy.

– Kochanie, to było niesamowite! – Danką nie przestawała się ekscytować.

– Prawda?
– Teraz najchętniej zaległabym w pościeli i...
– ...i pozwoliła uraczyć się szampanem, truskawkami i półmiskiem ostryg – dokończył Yanni.

– Nie! Tylko nie ostryg! – roześmiała się i naga, bez skrępowania, poszła do łazienki.
Yanni na wszelki wypadek wolał pozostać na miejscu. Afrodyzjak wciąż działał, a on miał tego dnia sporo pracy. Przez rodzinne problemy narobił sobie ostatnio mnóstwo zawodowych zaległości.

– To ja już polecę – oznajmiła radośnie Danka. – Budka fotograficzna czeka.
– Lubisz tę robotę, prawda? – Yanni czule pogłaskał ją po włosach.
– Uwielbiam! – odparła z właściwym sobie entuzjazmem. – A odkąd chłopaki z technicznego założyły mi wentylator, mogłabym wcale stamtąd nie wychodzić. To robota marzenie. A przynajmniej tu i teraz.

– Ech, przez ciebie i to twoje cudne ciało zapomniałbym zupełnie o niespodziance. – Yanni starannie upchnął koszulę w spodniach i kilkoma ruchami zawiązał krawat.

Danka spojrzała uważnie. Zdołała go już trochę poznać, by wiedzieć, że słowo „niespodzianka” w jego ustach może oznaczać dokładnie wszystko. Dlatego od niedawna nie rozstawała się z podręczną torbą, w której nosiła najpotrzebniejsze rzeczy, z pastą do zębów, grzebieniem i bielizną na zmianę włącznie. Yanni był mocno nieprzewidywalny. Bywało, że omijał ją przez kilka dni, by następnie, tak jak stała, porwać na romantyczną wycieczkę na drugi koniec wyspy.

– Co znowu wymyśliłeś, kochanie? – zapytała. – Powinnam się pakować?
– Nie, nie! Tym razem to sprawy hotelu.
– Jakie sprawy hotelu?
– No więc mój plan polega na tym, że zamierzam zrobić folder reklamowy Paradiso i pomyślałem, że może ty byś chciała się tym zająć?

W pierwszej chwili poczuła rozczarowanie, ale ciekawość pasjonatki fotografii jednak wzięła górę.

– No dobrze, masz jakiś pomysł? – zapytała ostrożnie.
– Właściwie to mam – odparł ochotczo, wyraźnie ucieszony zainteresowaniem. – Otóż wymyśliłem, żeby zrobić zdjęcia pracowników naszego hotelu w najbardziej atrakcyjnych miejscach wyspy. No wiesz, jaskinia Melissani, Asos, które tak bardzo ci się podobało, oczywiście czerwona plaża Xi. Dostaniesz do dyspozycji terenówkę i, rzecz jasna, odpowiednie wynagrodzenie. No i chyba znacznie fajniej będzie pozwiedzać trochę, zamiast tkwić w drewnianej budce i fotografować wylegujących się turystów, prawda?

W pierwszej chwili chciała zaprotestować. Powiedzieć, że przecież jest pełnia sezonu i nie ma czasu na inne rzeczy niż praca na miejscu. Ale ugryzła się w język i w ostatniej chwili powstrzymała od puknięcia się w czoło. W końcu trzeba być niespełna rozumu, żeby odrzucić ofertę płatnego zwiedzania atrakcji turystycznych, i to fajnym, terenowym samochodem.

– Zgadzam się – powiedziała. – Muszę tylko znaleźć kandydatów na modeli.
– Już się tym zająłem – stwierdził Yanni pogodnie. – Nie ma chyba większego przystojniaka w naszej drużynie niż Marian z baru?

– No tak, Marian. Dobry wybór – pochwaliła, ledwie powstrzymując chichot. – A dziewczyna?

– Marzena jest niczego sobie. Wolałbym ciebie, ale ktoś musi robić zdjęcia – roześmiał się.

– Może być – odparła zrezygnowana Danka.

– Nie pasuje ci? Nie lubisz jej? – Yanni zareagował z czujnością sejsmografu.

– Nie, wszystko w porządku. Marzenka doskonale się sprawdzi – zapewniła gorliwie.

Może i doprowadzała ją do szału, ale była świetną pracownicą. Danka uznała, że obowiązuje elementarna solidarność zawodowa.

– No to fantastycznie! – ucieszył się Yanni. – Przydałaby się jeszcze jedna dziewczyna. No wiesz, taka podwójna oprawa dla przystojniaka.

Danka z trudem stłumiła westchnienie. Miała nadzieję na ambitną sesję, a tutaj szykował się tandetny prospekt z facetem macho i wijącymi się wokół niego seksownymi kociakami. Może właśnie takie zdjęcia przemawiały ludziom do wyobraźni? Danka nie zamierzała dyskutować. Potrafiła czytać między wierszami i może właśnie dlatego w większości przypadków udawało jej się zadowalać zleceniodawców.

– Kim będzie druga modelka? – zapytała.

– Właśnie nie wiem. Jakoś nie cierpimy ostatnio na nadmiar efektownych pracownic.

– Może Wiera? – zaproponowała spontanicznie.

– Wiera? Nie kojarzę. Ale jeśli jest fotogeniczna, to nie ma przeciwwskazań – powiedział beztrosko Yanni. Pocałował Dankę w usta. – Idę, bo jeszcze chwila, a ponownie zedrę z ciebie uniform.

Rozdział 18

Nie wierzę, że jedziemy na wycieczkę i szef jeszcze nam za to płaci – roześmiała się Marzena i rozparła wygodnie na tylnej kanapie dżipa.

Obok niej siedział z założonymi rękami nabzdyczony Emil. Wpatrywał się w krajobraz za oknem.

Danka zerknęła na niego w lusterku. Przypomniała się jej ich poranna wymiana zdań w pokoju nad tawerną. Nie mogła odmówić racji jego argumentom. Ukrywają się. Barman i pokojówka to doskonałe przykrywkę. A świecenie twarzą w folderze reklamowym zdecydowanie wykracza poza zlecone im przez Winklera zadanie nierzucania się w oczy. Chociaż ona uspokajała, że wymyśli ujęcia, na których Emila nikt nie rozpozna, wcale nie była pewna, czy jej się to uda.

Na domiar złego Marzenie zaczynała się kolejna owulacja, o czym nie omieszkła poprzedniego dnia wspomnieć Dance. Dziewczyna nie odpuszczała żadnej okazji, żeby dotknąć Emila albo wyeksponować w jego kierunku roznegliżowane ciało. Na wycieczkę w góry włożyła kusą koronkową sukienkę na ramiączkach. Dobrze, że miała choć tyle rozumu, żeby włożyć sportowe obuwie. Przysunęła się do Emila, a jej dłoń niby przypadkiem spoczęła na górnej części jego uda.

Zdegustowana Danka oderwała wzrok od lusterka i spojrzała z ukosa na Wierę. Ukrainka siedziała w czapce z daszkiem nasuniętej na czoło i w okularach przeciwsłonecznych. Jej zachowanie diametralnie się zmieniło od chwili, gdy przedstawiła ją Marzenie i Emilowi na parkingu hotelowym. Wcześniej otwarta i uśmiechnięta, teraz siedziała bez słowa skulona na fotelu i chyba drzemała.

– Hej, wszystko w porządku? – zapytała cicho Danka.

– Tak, w jak najlepszym – mruknęła Wiera w odpowiedzi. – Po prostu cierpię na chorobę lokomocyjną. A do tego wczoraj wypiliśmy z moim gospodarzem o kilka drinków za dużo. Wkrótce mi przejdzie.

– To może się prześpij? – podsunęła Danka, nieco zmartwiona, że jej modelka jest tak osowiała. – Obudzę cię, gdy dojedziemy na miejsce.

Z trudem powściągnęła emocje. Nie potrafiła się nadziwić własnemu szczęściu. Sądziła, że miną tygodnie, zanim uda się jej wytropić Kastnera, a tymczasem sam wpadł jej w ręce. Danka Popiołek nazywała go Marianem, więc ewidentnie ukrywał się przed kimś.

Siedziała na przednim siedzeniu dżipa z zamkniętymi oczami i zachodziła w głowę, jak to się stało, że Kastner jej nie poznał. Owszem, miała sporo szczęścia. Przyszła na parking przed nim, słońce odbijało się od szyb samochodu, rażąc ludzi wychodzących z hotelu, miała na oczach lustrzane okulary ukradzione jakiemuś frajerowi w miasteczku, a do tego na ramieniu Kastnera wisiała jakaś ćwierkająca kretynka, skutecznie zaprzatając jego uwagę.

Jednak największą jej przewagę stanowił fakt, że Emil nigdy w życiu nie pomyślałby, że spotka ją właśnie tutaj. Jego mózg nie potrafił dopasować jej osłoniętej okularami twarzy do scenerii greckiej wyspy. Mógł ją kojarzyć z zupełnie innym miejscem. Miejscem, które ona niedługo nazywała domem, a on domem uciech.

Udawała, że śpi, i jednocześnie odganiała natrętne wspomnienia. Pierwsze dni po wyjeździe z Ukrainy i porwanie przez handlarzy ludźmi. Swój strach i luźne, niepowiązane

ze sobą, surrealistyczne majaki, świadczące o tym, że szprycowali ją narkotykami. Tyle zapamiętała.

Sześć lat temu jechała do Polski z nadzieją na lepsze życie. Opłacony pośrednik obiecywał jej godziwe zarobki przy sprzątaniu i opiece nad staruszkami. Miała nadzieję, że stanie na nogi i jeszcze będzie przysyłać nieco gotówki rodzicom. Plany legły w gruzach już po przekroczeniu granicy. Bus, którym podróżowała wraz z pięcioma innymi dziewczynami, zjechał z nienacką w leśną drogę i zatrzymał się na osłoniętej drzewami polanie. Otoczyło go kilku potężnie zbudowanych i uzbrojonych mężczyzn.

W pierwszej chwili pomyślała, że może, wbrew zapewnieniom pośrednika, przekroczyły granicę nielegalnie i właśnie interweniuje policja, ale błyskawiczny rozwój zdarzeń skutecznie tę nadzieję rozwił. Kierowca wyskoczył z samochodu i pośpiesznie się oddalił, a jeden z napastników z impetem odsunął drzwi i bez słowa wyciągnął siedzącą najbliżej nich dziewczynę. Zaczęła krzyczeć i się wyrwać, ale nie miała najmniejszych szans. Zatkął jej usta dłonią i ścisnął mocniej. Pozostałe dziewczyny też krzyczały. Ona także, choć zdała sobie z tego sprawę dopiero po chwili.

Gdy nadeszła jej kolej, nie wierzyła i nie broniła się. Miała nadzieję, że napastnik straci przez to czujność, a ona spróbuje w odpowiednim momencie uciec do lasu. Nadzieja okazała się płonna – za busem stały jeszcze trzy inne samochody z przyciemnianymi tylnymi szybami. Jedną z dziewczyn właśnie wpychano do środka. Wydawało się, że jest nieprzytomna.

Nie zdążyła zorientować się, co się dzieje, gdy poczuła nagłe ukłucie w ramię. W ciągu kilku sekund spłynęło na nią całkowite zobejtnienie, a chwilę później pograżyła się w ciemnościach. Ocknęła się w jakimś pokoju, rozebrana do naga i kompletnie sama. Rozejrzała się w panice, próbując znaleźć cokolwiek, czym mogłaby się osłonić. Niestety niczego takiego nie znalazła. Na umeblowanie małego pomieszczenia składało się łóżko z gołym materacem i turystyczna toaleta stojąca w kącie. Niewielkie okno było zakratowane. Próbuąc osłaniać intymne miejsca własnymi dłońmi, podeszła do niego i w coraz słabszym świetle zmierzchu zobaczyła jedynie ciemną ścianę lasu.

Mogła krzyczeć do woli. I tak nikt by jej nie usłyszał.

Z kolejnych tygodni zapamiętała jedynie gwałty, zastrzyki i senne majaki.

– Co właściwie jest takiego ciekawego w tej górze, że musimy się na nią tłuc? – marudziła Marzena, znudzona kolejną serpentyną.

Humor straciła kilka minut wcześniej, gdy Emil poprosił Dankę, żeby się zmienili za kierownicą. Bardziej niż na prowadzeniu samochodu w górskich warunkach zależało mu na tym, żeby choć na chwilę odkleić od siebie Marzenkę. Obok niego drzemała z głową opartą o szybę ta cała Wiera, która jego zdaniem zachowywała się nieco dziwnie, aczkolwiek argument o kacu stulecia brzmiał wiarygodnie. Z tyłu siedziały nadąsana Marzenka i Danką, próbująca powstrzymać się od parsknięcia śmiechem za każdym razem, gdy sąsiadka zaczynała narzekać.

– Przede wszystkim są tam piękne plenery, więc pewnie uda się zrobić fajne zdjęcia – wyjaśniła Danką.

– Oczywiście jeśli nie ma chmur i mgły, a podobno są przez większość czasu – dodał Emil, z wprawą pokonując bardzo ostry zakręt.

– Jezu, jak tu stromo! – zrzędziła Marzena. – Pozabijasz nas!

Po pierwszym, dość łatwym odcinku droga się zwężiła, a barierki zniknęły. Kiedy przez dłuższą chwilę nie minęli żadnej wioski, a jedynie porastające zbocza gaje oliwne i coraz wyższe urwiska, Danką chrząknęła znacząco.

– Marian, chyba zabłądziliśmy – powiedziała w końcu.
– Nie ma takiej możliwości – odparł z godnością Emil. – Ja się nigdy nie gubię! Zawsze wiem, gdzie jestem. To taki wrodzony talent – dodał niezbyt skromnie.

Danka przemilczała jego zapewnienie. Obserwowała drogę z rosnącą obawą. Po kolejnym kilometrze asfalt się skończył, a żwirowa droga, choć nie przypuszczała, że to możliwe, zwężyła się jeszcze bardziej. Strome, niezabezpieczone urwiska towarzyszyły im teraz już przez cały czas. Gdzieś na trasie zaczęły się pojawiać spore kamienie.

– Niemożliwe, żeby to była trasa dla turystów – nie wytrzymała Danka. – Musieliśmy pojechać złą drogą. Trzeba zawrócić – dodała, zerknąwszy na pobladłą ze strachu Marzenę.

Wiera spała jak gdyby nigdy nic.

– Myślę, że faktycznie powinniśmy zawrócić – mruknął Emil.

– Zdecydowanie! – pisnęła Marzena i przycisnęła dłoń do brzucha.

Danka prawie parsknęła śmiechem. Gest był tak wymowny, że przejrzała dziewczynę na wylot. Nawet w takiej chwili myślała przede wszystkim o swojej nieszczęsnej owulacji. I o tym, że jeśli dżip stoczy się w przepaść, z zapłodnienia nici.

– Obawiam się, że chwilowo nie ma jak, jest za wąsko. Możemy jedynie jechać dalej – odparł ponuro Emil. Z obawą pomyślał, że musiałby cofać przez taki kawał. Zrobiło się naprawdę nie-bezpiecznie.

W samochodzie zapadła cisza. Siedząca z prawej strony Danka raz za razem zerknęła w przepaść zaczynającą się dosłownie metr za kołem samochodu. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy natknęli się na przewrócone drzewo.

Emil wysiadł, podszedł do pnia i podrapał się po głowie. Spróbował przesunąć zawalidrogę, ale jego wysiłki spełzyły na niczym. Danka uchyliła drzwi i ostrożnie wyszła na zewnątrz. Z ulgą zauważyła, że może swobodnie przejść pomiędzy samochodem a krawędzią urwiska, ale na wszelki wypadek sunęła bokiem, cały czas przywierając plecami do boku pojazdu.

– Nie ma szans, żebyśmy przesunęli ten pień. Waży chyba z tonę – oceniła, przystając tuż obok Emila.

Szarpnęli oboje, ale przeszkoda nawet nie drgnęła. Po chwili dołączyła do nich Wiera. Musiała się obudzić, gdy poczuła, że dżip nagle stanął. Emil przyjrzał się sceptycznie jej wychudzonym ramionom. Z pewnością nie pomoże. A na Marzenę też nie ma co liczyć.

Trącił Dankę w ramię i brodą wskazał na mas-kę. Pojęła w lot i z przekrzywioną głową próbowała oszacować szerokość pojazdu.

– Tu nie ma co oceniać na oko – szepnął Emil i odmierzył stopami szerokość samochodu, a potem przesmyku pomiędzy zwalonym ukośnie pniem i krawędzią przepaści. – Zmieścimy się z kilkunastocentymetrowym zapasem – oświadczył w końcu.

– Może lepiej wezwijmy pomoc? – zaproponowała Danka.

– Damy radę – odparł i pokrzepiającym gestem pogłaskał ją po ramieniu. – A poza tym kto tu niby po nas przyjedzie?

Przeszedł ją dziwny dreszcz, ale nie dała nic po sobie poznać. Po chwili uznała, że nie reaguje na dotyk Emila, tylko na trudną sytuację.

– Jeśli skraj urwiska się osunie... – zawahała się.

– Nie osunie się – wszedł jej w słowo. – Wiele razy jeździłem po znacznie wyższych górach niż ta.

– Mimo wszystko uważam, że wezwanie pomocy to żaden wstyd – zaproponowała.

Emil bez słowa wyjął z kieszeni telefon.

– A nie mówiłem? Nie mam zasięgu – odparł po chwili. – Jesteśmy na kompletnym

odludziu i pewnie gubię sieć.

Danka sprawdziła własny aparat. Też był głuchy.

– Podejdźmy za zakręt – zaproponowała. – Jeś-li mamy się przedzierać dalej, dobrze wiedzieć, co tam jest.

– Niezły plan – pochwalił Emil.

– Co wy tam kombinujecie? – Po górskim zboczu poniósł się pełen pretensji głos Marzeny.

Danka westchnęła, ale nie powiedziała słowa. Emil po prostu ruszył pod górę, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Kuźwa, mam jej dość – pożałił się tuż za zakrętem.

– Zobacz, tutaj jest już zupełnie płasko! – ucieszyła się Danka, puszczając skargę mimo uszu. – Super! Tylko jakoś pokonamy to zwężenie i już.

Przed nimi rozpościerała się rozległa kolorowa łąka. Pobocza żwirowej drogi porastały sędziwe drzewa oliwne. Spomiędzy nich, pobrzękując dzwonkami, wyszło stado kóz.

– Czyli za tym felernym zakrętem kryje się ostatnia prosta. Warto się przedrzeć – oświadczył Emil. – Zatrzymamy się tutaj na odpoczynek, co ty na to?

– Lepsze to niż wielogodzinne oczekiwanie na pomoc, która nie nadejdzie, skoro nie mamy zasięgu – parsknęła cicho. – Nikt nie wie, gdzie nas szukać.

Gdy zawrócili do dżipa, Emil, dla pewności, raz jeszcze zmierzył szerokość przesmyku i zapędził Marzenę do samochodu. Wiera już siedziała na przednim siedzeniu i wydawała się zupełnie nie-zainteresowana tym, co się dzieje wokół niej.

– Niech żadna z was nawet nie piśnie – ostrzegł Emil i przystąpił do manewru. – Ani słowa!

Marzenka oczywiście otworzyła usta, żeby powiedzieć coś w założeniu pokrzepiającego, a w praktyce dekoncentrującego, ale Danka w porę spiorunowała ją wzrokiem. Samochód potoczył się wolno skrajem urwiska. W pewnej chwili tylne koło zahaczyło o krawędź, w dół potoczyła się lawina żwiru.

– Jezus Maria! – wrzasnęła Marzenka.

– Zamknij się! – nakazały jej jednocześnie Danka i Wiera.

Emil, który w swoim życiu niejednokrotnie doświadczał offroadowych szaleństw i znał możliwości pojazdów z napędem na cztery koła, wiedział, co robić. Zaciśnął zęby, mocno chwycił kierownicę i pewnie nadepnął na gaz. Opona zabuksowała lekko, osypując z krawędzi kolejną porcję żwiru, i wskoczyła na drogę. Mijając pień dosłownie o centymetry, cudem pokonał niewralgiczne miejsce. Po kilku sekundach wyjechali na łąkę.

Danka odetchnęła. Po raz pierwszy od przeszło dwóch godzin ujrzała za szybą coś innego niż mrozącą krew w żyłach przepaść. Z radości omal nie uściskała kozy, która ufnie podeszła do dżipa.

– Jesteśmy już na szczycie? – zapytała Marzenka, siadając na przydrożnym kamieniu.

– Nie. Góra Ainos ma ponad tysiąc sześćset metrów, więc myślę, że jeszcze sporo nam brakuje – odparła Danka.

– O Boże! Koza! Nie! Zabierzcie ją, ona śmierdzi! – Marzena z odrazą odsunęła się od cuchnącego capa, któremu spodobała się jej koronkowa sukienka.

Reszta towarzystwa poweselała. Także trzymająca się na uboczu Wiera.

– Wiecie, że gdzieś tu ponoć mieszkają dzikie konie? – powiedział Emil.

– Nie słyszałam o tym – powiedziała Danka i natychmiast zawróciła do samochodu po aparat.

– Podobno są potomkami zwierząt, które wypuszczano tutaj jeszcze w czasach antycznej

Grecji. Zostawiono je samym sobie i obecnie są prawdopodobnie rasą najbliższą właśnie koniom ze starożytnych czasów. – Emil zabłysnął wiedzą.

– Pewnie legenda dla turystów – zbagatelizowała Marzena, wzruszając ramionami. – Jestem tu już trzeci sezon, a jeszcze nie słyszałam, by ktoś je widział.

Jak na zamówienie na żwirowej, pełnej kamieni drodze rozległ się tętent kopyt i na łące pojawiły się cztery konie, każdy innej maści. Danka pstrykała gorączkowo, ale udało się jej uchwycić zaledwie zady uciekających za drzewa oliwne zwierząt.

– A jednak istnieją... – zauważyła z zadumą. – No dobra, jeśli mamy dotrzeć o rozsądnej godzinie na szczyt, musimy jechać dalej. Zmienić cię za kierownicą? – zwróciła się do Emila.

– Wiesz, lepiej nie. Sorry, że to mówię, ale jesteś dość świeżym kierowcą – powiedział przepraszająco.

– Masz rację – przyznała poważnie. – I w życiu nie prowadziłam w takim terenie.

Jazdę na krawędzi przepaści przypłaciła stresem, ale nie dała nic po sobie poznać. Żeby zrealizować swój plan, musiała zachować zimną krew. Nie po to poświęciła tak wiele, żeby polec na ostatniej prostej. Aby podsycić w sobie determinację, z rozmysłem zanurzyła się we wspomnieniach z niewoli w Polsce. Z powodu koszmaru przeżytego u Borisa wydarzenia sprzed lat wracały do niej coraz częściej.

Gdy gnębiciele przestali podawać jej narkotyki, powoli odzyskiwała świadomość. Zorientowała się, że za każdym razem jedzenie przynosi jej inny mężczyzna. Wiele tygodni później zdała sobie sprawę, że szef gangu porwaczy kobiet działał z rozmysłem. W ten sposób nie ryzykował, że któryś z jego ludzi przywiąże się do jednej z dziewczyn i pomoże jej w ucieczce. W jej opinii było to dmuchanie na zimne, ponieważ wyswobodzić się z niewoli byłoby bardzo ciężko. Zakratowane okno, masywne drzwi, a za nimi wąski korytarz. Zawsze gdy któryś z mięśniaków prowadził ją pod prysznic, kręciło się tam kilku uzbrojonych ludzi. Zresztą gdyby nawet udało się ich minąć, dokąd miałyby uciekać? Nago i boso po lesie?

W dniu, gdy wyjątkowo nikt jej nie zgwałcił ani nie odurzył, poczuła się dziwnie. Zanim jednak zrozumiała, że oto doświadcza syndromu odstawienia, minęły godziny. Rozum podpowiadał jej, by przeczekać za wszelką cenę, lecz narkotyczny głód okazał się tak silny, że zaczęła walić pięścią w drzwi.

Otworzyły się od razu. Staął w nich rosły, umięśniony bandzior.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Potrzebuję...

– Prochów pewnie? – roześmiał się. – Skończyły się darmowe. Chcesz więcej, musisz zarobić.

Pomyślała, że zrobi to tylko raz. Że weźmie, odzyska jasność myślenia i ucieknie. Niestety dwa miesiące później wciąż tkwiła przy leśnej szosie, czekając na klientów. Z dnia na dzień coraz mocniej wciągała się w ćpanie i pewnie to byłby koniec jej życia, gdyby pomocnej dłoni nie wyciągnęła do niej właśnie jej kochana Matuszka.

– Jeszcze tego nie było... – Danka struchlała, widząc spływającą z czubka góry chmurę. – Przecież za chwilę niczego nie będziemy widzieli na długość ręki. Marian, trzeba się zatrzymać.

Choć wydawało się, że to już naprawdę nie jest możliwe, przed samym wierzchołkiem żwirowa droga stała się jeszcze węższa.

– Nie możemy przecież zostać tu na nie wiadomo jak długo – zirytował się Emil. – Masz

pewność, że później będzie lepsza widoczność? Niewiele nam brakuje do szczytu, a z drugiej strony z pewnością będzie ta właściwa droga, którą mieliśmy jechać. Chyba że chcemy wracać tą samą trasą? I najlepiej w nocy?

– Nie chcemy – burknęła obrażona na cały świat Marzena.

Danka nie komentowała. Wiedziała, że Emil ma rację. W milczeniu patrzyła, jak włącza światła i rusza ostrożnie.

Dosłownie pięć minut później samochód wytoczył się na płaską powierzchnię. Ku jej radości zza skał wyłonił się upragniony cel.

– O matko, nareszcie – powiedziała z ulgą na widok tabliczki z napisem „Punkt widokowy”. Otworzyła drzwiczki, gdy tylko dżip się zatrzymał. – Idę zobaczyć, jak dostać się stąd na parking. O ile w ogóle jakiś tu jest – oświadczyła.

Jak się okazało, był całkiem niedaleko. A tuż za nim zaczynała się normalna asfaltowa droga, najwyraźniej wiodąca od podnóża góry aż na sam jej szczyt. Co więcej, na parkingu nie było jakichkolwiek pojazdów, więc w Dance odżyła nadzieja na dobre zdjęcia. Przypomniawszy sobie, w jakim celu tutaj przybyła, zawróciła na pięcie do swoich modeli.

Zastała ich stojących na najwyższym gładzie. Poniżej ustawiono dwie ławki, a nieco dalej, pod okazałymi jodłami kefalońskimi, duży stół piknikowy. Siedział przy nim samotny turysta.

Danka wdrapała się na gład i spojrzała w dół.

– Ciekawych zdjęć to my tu chyba nie zrobimy – skomentowała zawiedziona.

Jak okiem sięgnąć wszystko spowijały gęste chmury. Do tego panował przenikliwy ziąb, nie więcej niż piętnaście stopni.

– Tyle się tłukliśmy i wszystko na nic! – wkurzyła się Marzena. Z całej grupki wyłącznie ją ekscytowała rola modelki.

– A może jednak coś z tego będzie – powiedziała z nadzieją Danka i wskazała na horyzont.

Chmury rozstępowały się powoli. Najpierw zobaczyli przebłęski granatu, a po chwili wyłoniły się kolejne fragmenty bezchmurnej przestrzeni.

– Myślałam, że to niebo. – Zdumiona Danka wpatrywała się w niebieskie połacie. – Ale teraz nie mam pojęcia, gdzie ono się kończy i gdzie zaczyna się woda.

Widok zachwycał. Z miejsca, gdzie stali, wyspa w dole przypominała zieloną makietę obramowaną lazurową wodą. Dalej jej odcień przechodził w błękit i łączył się z niebem w sposób niezauważalny dla oka.

– Ale czad! – szepnął Emil i po raz kolejny pomyślał z zadumą, że najwięcej radości czerpie z życia jako barman Marian.

Patrzyła w przepaść i analizowała sytuację. Gdyby teraz popchnęła Kastnera, stoczyłby się co najwyżej dziesięć metrów niżej i zatrzymał pod ławką przy krawędzi przepaści. Musiała go jakoś zwabić w bardziej dogodne miejsce. Nie mogła zmarnować tak sprzyjającej okazji, by pomóc Matuszkę.

Twarz kochanej kobiety stanęła jej przed oczami i musiała zamrugać kilka razy, żeby powstrzymać zdradzieckie łzy. Przypomniwała sobie tamten zimny listopadowy dzień, gdy stała w mżawce na poboczu drogi, pobita przez klienta, który nawet jej nie zapłacił. Drżała na całym ciele, ale bała się ruszyć choćby na krok z miejsca, gdzie alfons kazał jej sterczeć przez cały dzień.

Gdy samochód zatrzymał się obok niej z piskiem opon, w pierwszej chwili pomyślała, że to właśnie on. Nienawidziła go, ale w tej chwili stanowiłby wybawienie. Jednak to nie był on.

Z samochodu wysiadła elegancko ubrana czarnowłosa kobieta. Przyglądała się jej z uwagą.

– Kto ci to zrobił, dziewczyno? – zapytała w końcu.

– Nie pani sprawa – odparła i pociągnęła nosem.

– Niby z własnej woli tu stoisz? To pewne, że nie. Widzę, jak zerkasz w stronę szosy. To nią nadjeżdża ten dupek, który cię przetrzymuje wbrew woli? Tak?

Spojrzała na kobietę zdumiona. Skąd wiedziała, co jej się przytrafiło? Powinna zaprzeczyć, przecież to mogła być jakaś próba, na jaką wystawiał ją alfons. Odezwie się choćby słowem i potem dostanie lanie życia.

– Ja kiedyś uciekłam. Udało mi się – szepnęła brunetka. – Więc jeśli chcesz, teraz pomogę tobie.

Milczała z uporem, ale w jej głowie galopowały gorączkowe myśli.

– Nikt nie widzi. Wystarczy, że ruszysz się z miejsca, i nigdy więcej tu nie wrócisz – namawiała kobieta.

– Nie mam pieniędzy i nie mam dokąd pójść.

– Pomogę ci. Możesz mi zaufać.

Nie miała żadnych powodów, żeby uwierzyć. Ale już coś w niej pękło, więc pozwoliła zaprowadzić się do samochodu. Pomyślała, że może ma szansę. A jeśli to podstęp, to niech pobiją ją tak mocno, że skończą się jej cierpienia na ludzkim padole.

Kobieta uruchomiła silnik i energicznie ruszyła z miejsca.

Milczały obydwie, aż do jakiegoś miasteczka, gdzie wybawicielka wyraźnie się rozluźniła.

– Tutaj już nas nie znajdą – przerwała ciszę. – To już pewnie nie ich rewir. Jedziemy do Warszawy. Tam mogą cię szukać do usranej śmierci – roześmiała się. – Jestem Ewa. Dla przyjaciół Czarna Ewa. A ty jak masz, dziecko, na imię?

– Może zacznijmy już te zdjęcia? – ponagliła Marzena. – Nie zamierzam w nieskończoność siedzieć w tej lodówce. Nie czujecie, jak tu jest zimno?

– Masz rację. Trzeba się pośpieszyć. – Danką się ocknęła.

Z żalem oderwała oczy od horyzontu i ruszyła do dżipa po sprzęt.

Emil poszedł za nią pod pretekstem pomocy, Marzena zrobiła kwaśną minę. Wiera trzymała się z boku. Nadal nie zdjęła nawet na chwilę okularów przeciwsłonecznych. Musiała koniecznie pić tyle wczoraj? Wyjdzie na zdjęciach jak zombi!, zirytowała się myślach Danką.

– Lepsze fotki wyjdą niżej. Tuż koło tej ławki – zdecydowała po powrocie. – Wykadruję je tak, jakbyście stali na krawędzi przepaści. Będzie świetnie wyglądało.

Wiera wyraźnie się ożywiła i zwinnie zeskoczyła ze skałki na płaski występ. Emil po rycersku podał dłoń Marzenie, a ta natychmiast kurczowo uwiesiła się jego ramienia.

– Ja dam sobie radę – zapewniła go Danką, widząc, co się święci. – Marian, ty pierwszy – zakomenderowała. – Stań tyłem do urwiska i włoż ręce do kieszeni. Wiera, zdejmij te okulary. Możesz związać włosy w kok? Masz piękny kształt twarzy, szkoda to ukrywać.

– A co ze mną? – upomniała się Marzenka.

– Za chwilę – zbyła ją Danką. – Jeszcze będziesz mieć dość pozowania, zobaczysz.

Wiera zdjęła z głowy czapeczkę i związała włosy, tak jak prosiła Danką. Powolnym ruchem zdjęła okulary i spojrzała wyzywająco w twarz Emilowi, gdy stanęła tuż przed nim.

– Poznajesz mnie?

– Nie bardzo. – Spojrzał zdezorientowany i pokręcił przecząco głową.

– Co tam się dzieje?! Przecież mieliście stanąć obok siebie! – krzyknęła Danką, ale żadne

z nich nie zwróciło na nią uwagi.

– Nie, nie poznaję – powiedział zdumiony Emil. – Chociaż...

– Pomogę ci. Natasza. Z klubu Czarnej Ewy.

– Natasza? – Emilowi zaczęło coś świtać. – A co ty tutaj robisz?

– Mam dla ciebie ważną wiadomość od niej.

– Jaką? – zdziwił się jeszcze bardziej.

– Krótką. Zdychaj, skurwielu! – wrzasnęła i z całej siły pchnęła zaskoczonego mężczyznę.

Emil nie zdążył zareagować. Spadł z urwiska, znikając Dance z oczu. Choć ze zgrozy krew w niej zastygła, zareagowała natychmiast. Dосkoczyła do stojącej tyłem Wiery i z całej siły wyrzuciła ją w potylicę ciężkim aparatem. Nie doceniła siły uderzenia. Dziewczyna poleciała do przodu i także wypadła poza nawis.

– Jezus Maria, Emil! – wrzasnęła Danka, niepomna faktu, że powinna go nazywać Marianem.

Przypadła do krawędzi i spojrzała w dół.

Wisiał na dwóch dłoniach zaciśniętych kurczowo na gałęzi. Wydawało się, że chwilowo nic mu nie zagraża, więc Danka rozejrzała się za Wierą. Koszmarne wyrzuty sumienia, że zrobiła jej krzywdę, pozbawiły ją tchu. Wyrzucała sobie w spanikowanej głowie, że przecież mogła ją popchnąć w bok albo inaczej obezwładnić. Ale nie zrzucić do przepaści, i to bijąc boleśnie po głowie. Niezależnie od tego, co tu się właściwie wydarzyło i dlaczego dziewczyna pchnęła Emila na pewną śmierć.

– Wiera! – wrzasnęła i natychmiast umilkła.

Na niewielkim występie skalnym zauważyła przewieszoną przez korzeń jodły nieprzytomną postać.

– Trzeba jej pomóc! – zawołała histerycznie do Emila.

– Postaram się do niej dostać! – odkrzyknął, próbując się podciągnąć. – W bagażniku powinna być lina...

– Już lecę! A ty wytrzymaj!

Pognała, jakby ją szatan gonił, i w ciągu kilku sekund była z powrotem.

– Emil, łap, kochany! – krzyknęła, spuszczając linę.

– Jak to kochany? Jak to Emil? – W głosie stojącej dotąd jak słup Marzeny zabrzmiała pretensja.

– Och, zamknij się wreszcie, kretynko! – nie wytrzymała Danka. – Emil, przywiązałam drugi koniec do ławki! Obwiąż się w pasie! Spróbuj dotrzeć do Wiery!

Z niepokojem obserwowała ruchy mężczyzny, który pełzł ostrożnie po wystających korzeniach do nieprzytomnej dziewczyny. Odetchnęła z ulgą, gdy w końcu mu się udało.

– Żyje! – zawołał po zbadaniu pulsu.

Nie mieściło mu się w głowie, że gnana przymusem zemsty jedna z podopiecznych Czarnej Ewy przemierzyła dystans z Warszawy do Grecji. Najgorsze było jednak to, że właściwie nie wiedział, skąd w tej dziewczynie aż takie pragnienie odwetu. Być może jego zeznania przyczyniły się do zamknięcia burdelmamy w areszcie, ale przecież niczego nie przekłamał i nikomu nie dorobił nieistniejącej historii. Tak czy inaczej, teraz priorytetem było przetransportowanie Nataszy w bezpieczne miejsce.

Trącił ją delikatnie w ramię. Ocknęła się, odwróciła głowę i spojrzała nienawistnie.

– Leż spokojnie, bo obydwójce zginiemy! – powiedział ostro.

– Trudno – wyszczała.

Usiłował się uchylić, ale rzuciła mu się z pazurami do oczu. Instynktownie zacisnął

powieki, jednocześnie próbując się bronić, ale tak, by mimo wszystko nie stracić dziewczyny w przepaść. Zadanie nie należało do łatwych.

- Uspokój się, idiotko! – wrzasnął wreszcie. – Niczego ci nie zrobiłem!
- Zabiłeś Czarną Ewę! – wysapała ciężko, nie przestając szamotać się wściekle.
- Nikogo, kurwa, nie zabiłem! Uspokój się, bo na serio zaraz zlecimy!

Rozjuszona dziewczyna napałała mocniej, a Emil podziękował sobie w duchu za przezorność. W pierwszym odruchu chciał opasać dziewczynę liną, gdy tylko do niej dotrze. Gdyby to zrobił, teraz miałby dużo poważniejszy problem.

- Zabiłeś! – wysyczała ponownie, głucha na wszelkie argumenty.
- Nawet nie wiedziałem, że nie żyje! – zawołał i wreszcie zdołał ją od siebie odepchnąć.

Nieszczęśliwie Natasza w tej samej chwili zastygła w zdumieniu, więc impet uderzenia odrzucił ją aż na giętki wierzchołek drzewa. Zaczęła się po nim zsuwać, a gdy do niej dotarło, że koniec naprawdę jest bliski, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Zaciśnęła kurczowo dłonie, ale wiedziała, że długo się nie utrzyma. Zwłaszcza że gałąź zatrzeszczała złowrogo.

- Wytrzymaj! Idę po ciebie! – krzyknął Emil i ostrożnie ruszył w jej stronę.
- Nie dam rady – szepnęła przerażona.
- Dasz!

Złapał ją za szczupłe nadgarstki i zaczął ciągnąć z wysiłkiem.

- Mam nadzieję, że już nie będziesz robić niczego głupiego! Serio, nie radzę! – ostrzegł.
- Złap się i pełnij po mnie w stronę skały.

Usłuchała. Na szczęście nie ważyła zbyt wiele, więc drzewo wytrzymało niebezpieczny manewr. Emil zaczął powoli wycofywać się rakiem. Bał się ryzykować osunięciem. Co prawda usłyszał, że lina jest przywiązana do ławki, ale nie miał zielonego pojęcia, czy ta jest stabilna i ma wmurowane w podłoże nogi.

Dotarł w końcu na wąską półkę skalną, przywarł do niej plecami i zaparł się nogami o pień jodły. Oddychał ciężko, nie mogąc wykrztusić słowa. Obok, również w milczeniu, siedziała skulona Natasza. Szlochała spazmatycznie.

- Tylko bez paniki – powiedział wreszcie. – Nie możemy tracić teraz zimnej krwi, więc się uspokój. Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Wydawało się, że go nie słyszy. Drżała na całym ciele i z pewnością była w szoku.

- Emil! Emil!

Dopiero po chwili usłyszał, że nawołuje go Danka. W jej głosie słychać było strach i rozdzierający żal. To uzmysłowiło mu, że z wysuniętego nawisu nie można ich widzieć i Danka pewnie myśli, że spadli w przepaść.

- Żyjemy! Nie martw się, Danusiu! – zawołał. – Posłuchaj, musisz najpierw wciągnąć Nataszę. Dacie radę we dwie?!

- Jesteś cały? Dlaczego Nataszę? – zapytała. – A jeśli znów będzie chciała kogoś zepchnąć?

Spojrzał z ukosa. Dziewczyna zasłoniła oczy dłońmi i załkała żałośnie.

- Nie robi już nic głupiego! – odkrzyknął. – A teraz do roboty!

Rozdział 19

W żyłach Danki szalała adrenalina.

– Co się tak gapisz, do cholery?! Pomóż mi! – ponagliła Marzenę.

– Ale ja nie umiem! – pisnęła zszokowana dziewczyna.

– Kurwa, Marzena, co za debilka z ciebie! Rusz dupę! Musimy im pomóc, przecież w każdej chwili skała może się urwać! Sama nie dam rady!

Obsztorcowana Marzena wreszcie zebrała się w sobie i pośpieszyła z pomocą. Danka czuła, jak mdleją jej ramiona, a cienka linka boleśnie kaleczy dłonie. Przez chwilę pomyślała, że zaraz z zimną krwią zamorduje koleżankę, która zamiast wykrzesać z siebie maksimum sił, zaczęła utyskiwać na połamane paznokcie.

– Trzymam linę! – rozległ się po angielsku męski głos z tyłu. – Wezwałem też pomoc.

– Dziękuję! – powiedziała z wdzięcznością Danka, dopiero teraz przypominając sobie o samotnym turyście siedzącym wcześniej przy stole piknikowym.

Po kwadransie udało się nareszcie wyciągnąć Nataszę. Nie mogła ustać na nogach. Drżała jej broda i była blada jak ściana. Cała podrapana i z rozciętą głową wyglądała okropnie.

– Pilnuj jej! – warknęła Danka do Marzeny. – A jeśli spróbuje odejść choćby na krok, strzel ją w łeb!

Jednak Natasza nigdzie się nie wybierała. Leżała na skale w pozycji embrionalnej i nie ruszała się. Danka zrzuciła linę Emilowi, a ten wreszcie obwiązał się nią w pasie.

– Ja bym poczekał na pomoc – powiedział przytomnie turysta. – Dziewczyna jest drobna, a ledwie daliśmy radę. Nie wiadomo też, ile ta lina jest w stanie utrzymać. Potraktujmy ją jako asekurację i poczekajmy na służby. Jeśli rzeczywiście półka skalna może się zarwać, wówczas nie będzie wyjścia i będziemy ciągnąć, ale może skoro teraz ciężar jest mniejszy, to skała wytrzyma?

Pomysł wydał się racjonalny. Poinformowany o nim Emil pozostał w bezruchu, na szczęście tylko przez dziesięć minut. Po upływie tego czasu pojawili się ratownicy górscy i sprawnie ewakuowali go na górę. A następnie zajęli się Nataszą.

Gdy Emil dotknął stopami stałego gruntu, Danka zaniósła się płaczem. Nie pomogło nawet to, że wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Szlochała jak najęta.

– Ćśśś... – Kołysał ją jak dziecko. – Już dobrze. Tylko trzeba to opatrzyć. – Wskazał na krwawiące dłonie dziewczyny.

– O Boże! O Boże! Marian! – Marzena próbowała rzucić się Emilowi na szyję. – Tak się bałam, że zginiesz! Jak mogłeś aż tak się narażać?! Jak mogłeś?!

– A co? Miałem beczynn timer, jak ona spada w dół? Przecież w życiu bym już spokojnie nie usnął – tłumaczył cierpliwie.

– Ty nic nie rozumiesz! – wrzasnęła histerycznie. – A jakbym tak na przykład była w ciąży, a ty byś się zabił, to...

– Zaraz, zaraz! – przerwał. – W jakiej ciąży? Mówiłaś, że bierzesz tabletki.

– Odstawiłam je miesiąc temu!

– Co takiego? – Wzrok Emila zlodowaciał.

– Chciałam mieć z tobą dziecko. Co w tym złego? – broniła się poniewczasie Marzena.

– A nie uważasz, że ja też powinienem mieć w tym temacie coś do powiedzenia?

– Myślałam, że też chcesz – chlipnęła.

– Bo może i chcę! Ale na pewno nie z tobą. A teraz najbardziej chcę, żebyś zeszła mi

z oczu. Natychmiast!

Wkrótce pojawiła się policja, jak się okazało, również wezwana przez Anglika. Zeznał na miejscu, że Natasza z premedytacją popchnęła Emila i że jego zdaniem była to ewidentna próba zabójstwa. Funkcjonariusz spisał zeznania, ale nie zapakował dziewczyny do radiowozu. Jej stan był na tyle poważny, że wezwana karetka zabrała ją do szpitala w Argostoli.

– Co z nią będzie? – zapytał Emil.

– Z pewnością areszt. Ale na początek szpital. Zobaczymy, jak później sprawa się potoczy. Będziecie państwo informowani. Na pewno nie chce pan także pojechać do szpitala? – zapytał policjant, oddając Emilowi dokumenty na nazwisko Mariana Motyki. – Mamy dane wszystkich państwa. Będziemy się kontaktować. Z pewnością będzie trzeba złożyć pełniejsze zeznania u nas w komisariacie.

Drogę powrotną do Paradiso przejechali w zupełnym milczeniu, każde pograżone we własnych myślach. Marzena, zawiedziona, że jej misterny plan nie wypalił, siedziała naburmuszona, z ostentacyjnie założonymi rękoma. Za to Emil dziękował losowi, że jest cały i zdrowy, i nieco zdeorientowany gorączkowo analizował wszystko, co usłyszał od Nataszy. Danka natomiast patrzyła przez okno. Droga, którą powinni byli tu przyjechać, wiała się łagodnie między kwiecistymi łąkami, lecz w tej chwili, wymęczona, nie umiała docenić ich uroku. Wciąż od nowa przeżywała paniczny strach o Emila. Wcześniej nie miała pojęcia, że aż tak bardzo jej na nim zależy. Trzeba było dopiero takiego nieszczęścia, żeby zrozumiała, jak ważną postacią w jej życiu się stał. Gdyby zginął tam, na szczycie góry, nigdy nie odżałowałaby tej straty.

Wysadzili Marzenę przed hotelem i pojechali do tawerny. Jorgos na ich widok zaniemówił. Oboje wyglądali koszmarnie. Brudni, obdarci i pokrwawieni.

– Rany boskie, co wam się stało?! – Jorgos nareszcie odzyskał głos i wyszedł zza baru. – Mieliście wypadek? Wyglądacie, jakbyście przeżyli oblężenie Stalingradu!

– Nawet nie pytaj – odparła Danka głosem wypranym z emocji.

Marzyła o prysznicu i porządnym opatrunku. Reszta stała się całkowicie obojętna. Tak objawiało się wyczerpanie po spadku bardzo wysokiego w trakcie akcji ratowniczej poziomu adrenaliny.

Zdeorientowany gospodarz spojrzał pytająco na Emila, a ten wskazał głową zaplecze. Musieli mu przecież wyznać, co się stało. Winkler powinien dowiedzieć się o wszystkim jak najszybciej.

– Niezłe kwiatki. – Jorgos pokiwał głową w zamyśleniu. – Dziwna sprawa. Naprawdę nie wiesz, o co mogło jej chodzić?

– Nie mam pojęcia. Kompletnie. No, może poza tym, że nigdy nie korzystałem z jej usług, ale to raczej na pewno nie to. – Emil popisał się wisielczym poczuciem humoru. – Laski w ekskluzywnych klubach raczej nie zakochują się w klientach i nie robią im scen. A już tym bardziej nie przemierzają za nimi połowy Europy, żeby spuścić ich ze skały. Nic z tego nie rozumiem. Zupełnie nic.

– Ja też nie. – Dance nie mieściło się w głowie, że tak atrakcyjny facet jak Emil regularnie odwiedzał szemrany przybytek, ale uznała, że to nie jest pora na podobne przemyślenia. – A czy ta laska nie była przypadkiem jakąś koleżanką Pakpao? – przyszło jej na myśl. – W końcu prostytutka to prostytutka, mogły się znać.

– Och, oczywiście, że się znały. Pracowały w tym samym klubie. I... – Emil zamilkł, zły, że niechcący powiedział zbyt wiele. Zapomniał, że rozmawia z Danką. Nie wypadało przytaczać historyjek z burdelu.

– Dobra, chodźcie coś zjeść i wypić. – Poruszony i skołowany Jorgos zaproponował zmianę miejsca. – Zimnego piwka nie odmówicie. Na sucho źle się myśli, ale najpierw idźcie doprowadzić się do ładu, byście znów wyglądali jak ludzie. Jak widać, nawet i tutaj lepiej nie rzucać się w oczy. No i żebyście mi klientów nie przepłoszyli.

Godzinę później usiedli we trójkę przy ustawionym nieco z boku stoliku przeznaczonym dla pracowników tawerny. Tego wieczoru było w niej pus-tawo, więc mogli spokojnie porozmawiać.

– I jak? Udało ci się dodzwonić do Winklera? – zapytał Emil.

– Nie. Ma wyłączony telefon – odparł Jorgos i postawił na blacie trunki. Chętnie przyjęli zimne piwo. – Ale zadzwonię jutro. Do tego czasu nic się raczej nie zmieni?

– Okropnie dziwne to wszystko. – Danka bez apetytu skubnęła kawałek pity.

– A może to jedynie jakiś straszny zbieg okoliczności? – zapytał Emil znad kufla i spojrzał na Jorgosa.

– No chyba że narozrabiałeś, chłopie, poważniej, niż myślisz. Ta cała Natasza musi wiedzieć o tej Czarnej Ewie dużo więcej niż ty. Co by nie gadać, zadała sobie cholernie dużo trudu. Sama ci powiedziała, że przyjechała cię zabić za to, co uczyniłeś jej ukochanej burdelmamie.

– Tyle że ja jej nic nie zrobiłem. A przynajmniej nie w takim zakresie jak Wątorski czy Orzechowski.

– No dobra, ale skoro ona chciała sprzątnąć Emila, to czego w takim razie chciała ode mnie? – Danka pomału układała w głowie możliwy scenariusz. – Przecież ja zupełnie nie znałam tej Czarnej Ewy.

– Dobre pytanie – przytaknął Jorgos.

– Od ciebie, personalnie, pewnie nic. Najwyraźniej Natasza posłużyła się tobą, żeby namierzyć mnie – powiedział Emil. – Tylko skąd ona wiedziała o łączącej nas relacji?

– Jak to skąd? – Dla Danki to było oczywiste. – Po pierwsze, pojawiły się na nasz temat doniesienia prasowe. A co więcej, Pakpao mieszkała z nami pod jednym dachem przez kilka miesięcy, zapomniałeś? Wystarczyło, że powiedziała Nataszy to i owo o naszym pobycie w Sarnowie, i tyle.

– Cholera... Nie pomyślałem! Przecież to koleżanki i pewnie nieraz obgadują klientów – westchnął. – Ale i tak cała ta sprawa śmierdzi.

– No właśnie – wtrącił Jorgos.

– Dlatego uważam, że Udo Winkler musi nam chyba sporo wyjaśnić. W dodatku jak najszybciej! W końcu z jakiegoś powodu tkwimy tutaj od maja. I to z jego wyłącznej inicjatywy.

– Dobra, jestem pewny, że jutro coś się wyjaśni – odparł gospodarz. – A wy, zamiast zamartwiać się po nocy, powinniście trochę wypocząć.

Skonani wrócili na poddasze.

Danka jak nieżywa padła na łóżko. Już zasypiała, gdy poczuła, że Emil przysiadł obok niej na materacu. Z trudem uchyliła ciężkie powieki.

– Co tam? – mruknęła zaspana.

– Uratowałam ci życie. I to dwa razy – powiedział uroczyście i ujął jej zabandażowaną rękę, po czym pocałował ją nieco powyżej opatrunku.

– Ach... No tak... Eee. Wiesz, w sumie drobiazg – wymamrotała speszona.

– Nie taki znów drobiazg. A przynajmniej nie dla mnie – odparł z uśmiechem. – Dziękuję ci. Jestem twoim dłużnikiem – dodał poważnie. – I zawsze nim będę. Chcę, żebyś wiedziała, że niezależnie od tego, co się stanie, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Właściwie to uratowałam ci życie trzy razy.

– Jak to?

– Nie męcz mnie już, kiedyś ci powiem. – Danka odwróciła się plecami i w sekundę usnęła jak kamień.

Taki dzień wykończyłby każdego.

Jeśli liczyli na to, że nazajutrz pójdą do pracy jak zwykle, po telefonie z komisariatu musieli błyskawicznie zmienić plany. Danka zadzwoniła do menedżera i poprosiła o wolny dzień. Emil pracował na popołudniowej zmianie, więc miał nadzieję, że wyrobi się przed rozpoczęciem pracy.

Ubrali się pośpiesznie i zjedli w przelocie po kanapce. Jorgos ponownie załamał nad nimi ręce. Zmęczeni wrażeniami poprzedniego dnia mieli cienie pod oczami. Ich twarze wyglądały mizernie. Czoło Emila dodatkowo szpecił spory plaster, a zabandażowane dłonie Danki też nie sprawiały najlepszego wrażenia.

– Nie powinien ich obejrzyć lekarz? – zapytał Emil, gdy wyszli przed tawernę.

– Nie, już się zaczęło goić – zbagatelizowała. – Ale prowadzić będzie mi ciężko, więc jeśli ty czujesz się na siłach...

– Jasne. Na szczęście to niedaleko.

– Wiem – powiedziała w zamyśleniu.

– Wiesz? – zdziwił się. – Nie sądziłem, że zapuszczałaś się w tamte rejony wyspy. Znaczący dalej niż na lotnisko, a ono przecież jest spory kawałek od stolicy.

– Przejeżdżałam koło Argostoli, gdy jechałam do Asos z... – umilkła w pół słowa, zła na własne gadulstwo.

Od jakiegoś czasu niepisaną zasadą było, że nie rozmawiają o Yannis.

– Rozumiem – odparł ugodowo, ale w środku aż go trzęsło ze złości. Nie mógł zrozumieć, co Danka widzi w tym żonatym facecie. Znał ją dobrze, miała serce po właściwej stronie i niezależnie od sytuacji zachowywała się honorowo. A z tym greckim dupkiem chyba wpadła w jakiś amok. Zaciśnął zęby, żeby nie powiedzieć czegoś, czego później mógłby żałować. W końcu nie miał prawa wtrącać się w jej sprawy. A już z pewnością nie musiała się przed nim z niczego tłumaczyć.

Do Argostoli wjechali niespełna godzinę później. Senne miasteczko nie wyglądało na stolicę, co Danka natychmiast skomentowała, nieświadoma, że podobne odczucia miała Natasza, widząc je po raz pierwszy.

Komisariat sprawiał dziwne wrażenie. Dwupiętrowy budynek z kilkoma miejscami parkingowymi przed wejściem dysponował dającą cień galerią otaczającą wszystkie okna pierwszego i drugiego piętra.

– To chyba po to, żeby przesłuchiwać mieli jak uciec? – zachichotała nerwowo Danką.

– Myślę, że raczej po to, żeby policjanci mogli wyjść na fajkę – odparł rozbawiony Emil.

– Grecy, podobnie jak Włosi, wyjątkowo źle znoszą zakaz palenia w miejscach publicznych. Zwróć uwagę, że część okien ma kraty, a część nie. Myślę, że bez pudła można założyć, że te zakratowane to pokoje przesłuchań, a reszta to biura.

Jakby na potwierdzenie teorii na wąskim balkonie na pierwszym piętrze pojawił się policjant i zapalił papierosa. Dance wydało się, że to ten sam, który ich wczoraj legitymował na górze Ainos.

Emil starannie zaparkował i wyłączył silnik.

– Gotowa?

– Tak – odparła i otworzyła drzwiczki.

Miała rację. Policjant ich rozpoznał i pomachał do nich.

– Zapraszam do środka. Zaraz po was zejść – powiedział, po czym łapczywie zaciągnął

się dymem.

– Trochę się to różni od traktowania petenta w warszawskim komisariacie – parsknął śmiechem Emil.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Mnie tam potraktowali bardzo miło.

– A mi założyli kajdanki i prawie rzucili na glebę – odparł, szczerząc zęby.

– Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

– Powiedz sama, jest się czym chwalić? A w ogóle to my mamy jakieś wyjątkowe szczęście do tych komisariatów. Ciągłe na jakimś lądujemy. – Emil kurtuazyjnie puścił Dankę przodem.

– Na Kefalonii dopiero w pierwszym.

– No jak w pierwszym? A ten na lotnisku?

– Ach! Prawda. Utracona walizka z pieniędzmi!

Wnętrze było całkiem schludne i przede wszystkim klimatyzowane. Zgodnie z zapowiedzią policjant zjawił się po kilku minutach i poprowadził ich do pokoju na górę. Danka od wejścia zlustrowała okno. Nie było zakratowane. Emilowi nie umknęła ta dyskretna obserwacja i z trudem powstrzymał śmiech. Parę chwil później już mu nie było tak wesoło. Siedział przed sympatycznym policjantem i mrugał z niedowierzaniem.

– Czy może pan powtórzyć? – poprosił funkcjonariusza, pewien, że źle zrozumiał jego angielszczyznę.

– Zaczniemy od tego, że aby nie komplikować spraw, które i tak są poza moją jurysdykcją, nie zapytam, jakie powody każą panu ukrywać tożsamość, panie Kastner. Zwłaszcza że dokumenty na nazwisko Marian Motyka są zupełnie w porządku, a pan nie jest o nic podejrzany i występuje w charakterze poszkodowanego.

Po tym wstępie Emil jakby skulił się w sobie, a Danka tylko przygryzła wargę z zakłopotaniem.

– Natasza Dogajewa zeznała, że kilka miesięcy temu w Warszawie odwiedził ją pewien człowiek – mówił dalej policjant. – Nie przedstawił się, nie chciał także skorzystać z jej usług. Zamiast tego powiedział jej, że zlecił pan zabójstwo i upozorowanie samobójstwa w więzieniu niejakiej Ewy Mazurek. Dogajewa przyznała, że była z ową kobietą bardzo zżyta, co daje nam motyw napaści na pana. Rozpoznała też tego mężczyznę. Według naszych ustaleń nazywa się Maksymilian Nowotarski.

Emilowi krew odpłynęła z twarzy. Bezwiednie chwycił Dankę za rękę. Ucisnęła ją pociesniająco, ale nie powiedziała ani słowa.

– Niemożliwe – szepnął Emil. – Przecież Maks nigdy by...

– Zeznanie Dogajewej wydaje się wiarygodne. Gorzko żałuje wszystkiego, co wam zrobiła.

– Nam? – zdziwiła się Danką.

– Przyznała się także, że staranowała pani samochód, bezpośrednio przyczyniając się do wypadku pod miejscowością... – policjant zerknął w papiery, ale w żaden sposób nie był w stanie wymówić nazwy.

– ...Brańszczyk – powiedziała machinalnie Danką. – Co będzie z Nataszą? – zapytała.

– Czas pokaże. Obecnie jest w szpitalu, ale na szczęście z niezbyt poważnymi obrażeniami. Nie jestem w stanie powiedzieć wam nic więcej. Ze swojej strony mogę obiecać, że sprawę Dogajewej będziemy prowadzić z należytą starannością. Oczywiście, jeśli sytuacja tego będzie wymagała, skontaktujemy się z polską policją. A jeśli mógłbym coś sugerować, to wróćcie do Polski. Czuję przez skórę, że ta sprawa ma drugie dno. Ja nie mam kompetencji, żeby się w nią zagłębiać, ale mój policyjny nos podpowiada, że czekają was jeszcze spore kłopoty.

Piętnaście minut później wsiedli do dżipa. Emil odjechał bez zwłoki.

- Wydaje mi się, że ten facet wie znacznie więcej, niż powiedział – skomentował.
- Jestem o tym przekonana.
- Nie mogę sobie darować, że przez własną głupotę tak cię naraziłem. – Emil zdenerwował się nagle. – Gdybyś zginęła w tamtym wypadku, nie wybaczyłbym sobie nigdy!
- W pewnym sensie to ja cię w to wciągnęłam – odparła. – Przecież zaczęło się od Elwiry, znaczy Honoraty Orzechowskiej.
- Ta cała historia jest tak pogmatwana, że zaczynam się w tym wszystkim gubić. – Emil stanął na czerwonym świetle i zatopił twarz w dłoniach. Ze znużeniem potarł skronie.
- Ten Maks Nowotarski to twój zastępca, prawda? – zapytała Danka. – Sporo zyskał na twoim wyjeździe...
- Praktycznie nieograniczoną władzę nad moimi finansami. Oczywiście do chwili, w której rada nadzorcza mu tej władzy nie wytrąci z rąk i ponownie nie przyzna jej mnie – potwierdził.
- To jakieś porąbane – skwitowała. – Jesteś właścicielem, a paru dupków może ci wszystko zabrać.
- Tak to właśnie mniej więcej wygląda.

Danka wylądowała jednak w Paradiso, głównie po to, żeby nie dostać szału od bezczynnego siedzenia w tawernie. Emil poszedł do baru, a ona zaszyła się w budce fotograficznej i zaczęła przeglądać zdjęcia. Niespecjalnie miała ochotę robić kolejne, zwłaszcza że jej najbardziej ulubiony aparat zakończył żywot po tym, jak rąbnęła nim Nataszę. Do tego zabandażowane dłonie z pewnością nie sprzyjały pstrykaniu. Ale w opracowaniu materiału już nie przeszkadzały.

Chwilę później przyszedł esemes od Yanniego z prośbą o natychmiastowe spotkanie. Chciał, żeby do niego przyszła. Pomyślała, że widok ukochanego ukoi jej skołatane nerwy.

– Straszna sprawa. – Yanni przytulił Dankę od progu. – Może gdzieś wyjedziemy? – zaproponował.

– Dzięki, skarbie, ale muszę ochłonać. Mogę być też potrzebna tu na miejscu. Wiesz, jak działa policja. Może zaczekajmy na rozwój sytuacji i dopiero wtedy gdzieś się wypuścimy? Może tym razem na kilka dni?

– Na tak długo? – odparł Yanni, wyraźnie daleki od zachwyty.

– A czemu nie? Chciałabym wreszcie z tobą trochę pobyć. Tak naprawdę, a nie tylko na chybicka, na łapu-capu. Wiesz, tak zwyczajnie. Jak dwoje ludzi, którzy się po prostu kochają i myślą poważnie o wspólnej przyszłości.

– Dobrze wiem, o czym mówisz – westchnął. – Też o tym myślałem, tylko obawiam się, że w sezonie to niewykonalne, ale pomyślę, obiecuję. Może uda mi się zorganizować coś z końcem września? Co byś powiedziała na Santorini?

Danka знаła tę wyjątkową wyspę ze zdjęć. Szczególnie urzekły ją błękitne kopulaste dachy, wszechobecne niebieskie okiennice i bramy, przepięknie odcinające się od ścian śnieżnobiałych, kaskadowo posadowionych budowli. Propozycja bardzo przypadła jej do gustu.

– No, stary! Nareszcie! – Jorgos entuzjastycznie przywitał się z Winklerem.

– Nie wiem, z czego się tak cieszysz – padła kąś-liwa odpowiedź. – Ale skoro dzwoniłeś, to pewnie z jakąś sprawą.

– Zgadza się, ale konkretnie nie ja, tylko twój podopieczny, Marian Motyka. Wczoraj prawie zakończył żywot na górze Ainos.

– Jak to? – zdenerwował się Winkler. – Miał wypadek?

– Nie. Namierzyła go tutaj jakaś Natasza z burdelu Czarnej Ewy. I chciała zepchnąć go w przepaść. – Jorgos postarał się streścić wydarzenia jak najsensowniej. – To miała być zemsta. Dzisiaj twój chłopak był na komisariacie w Argostoli i dowiedział się, że do przestępstwa podzegał jakiś Maks Nowotarski. Marian twierdzi, że to ważne, więc przekazuję.

– Zdecydowanie – potwierdził Winkler. – To zmienia wszystko. Nasz podopieczny ma przerąbane.

– O cholera! – Jorgosowi z wrażenia zaschło w ustach. Bez ceregieli siorbnął wina prosto z butelki.

– A co z tą sympatyczną Danuską? Jej też coś grozi?

– Jej właściwie już nie. Skoro za wypadkiem stała ta Natasza, spokojnie można założyć, że już nikt obecnie nie dybie na jej życie.

– To dobrze – westchnął z ulgą Jorgos. – Polubiłem dziewczuszkę.

– Słuchaj, potrzebuję kilku dni, żeby dopiąć wszystko i pewne sprawy przemyśleć – powiedział Winkler. – Odezwę się wkrótce. A ty miej tych dwoje na oku. Jeśli będą próbowali się ze mną skontaktować, wybij im to z głowy ciężkim młotkiem.

Udo Winkler zakończył połączenie. Dopił bez entuzjazmu lurowatą zimną kawę i wstał z biurka. Był na siebie zły. Dlaczego mu to umknęło? Maksymilian Nowotarski. Gładki do przesady, grzeczny do zrzygania. Czyżby tracił instynkt? Tak łatwo dał się podejść? Choć wydało mu się to niemożliwe, jego udział w sprawie jeszcze bardziej wszystko komplikował i zataczał kręgi, jakich nigdy by się nie spodziewał. Założył, że cała afera pedofiliska ma na celu zdyskredytowanie paru polityków i być może wpłynięcie na wynik kolejnych wyborów parlamentarnych, a tu nagle pojawia się wątek próby przejęcia imperium finansowego Kastnera.

Inspektor westchnął ciężko i zrobił jedyną rzecz, jaka mu w tej chwili przyszła na myśl. Wystawił głowę z gabinetu i spojrzał na swoją sekretarkę.

– Mariola, zabukuj dwa bilety czarterowe z Kefalonii. Dla Danuty Popiołek i Mariana Motyki – powiedział. – A potem znajdź mi wszystko, co mamy na Maksymiliana Nowotarskiego z E-Invest Gold.

– No, wstawaj, śpiąca królowo! Karoca czeka!

– Co ty pierniczysz? Jaka karoca? – zaspana Danka przewróciła się na drugi bok. Nieprzychylna do drzemek w ciągu dnia była kompletnie nieprzytomna.

Wydarzenia na Ainos nie pozostały bez echa. Z boku wydawać się mogło, że wypadki spłynęły po niej jak woda po kaczce, ale bardzo to wszystko przeżyła i z nieco opóźnionym zapłonem zaczęła odreagowywać stres.

Wsparcie z zewnątrz okazało się niewystarczające, ale na szczęście zadziałał mechanizm obronny. Jej organizm postanowił po prostu przespać traumę, więc przez całe dni snuła się jak własny cień i myślała tylko o tym, żeby przyłożyć głowę do poduszki. W pracy wzięła kilka dni wolnego. W tym czasie jej dłonie już prawie się zagoiły.

– Wypucowałem dżipa i kupiłem sobie wystrzałowe bermudy. – Emil z niewiadomej przyczyny tryskał humorem.

– Dobrze się czujesz? – Usiadła na łóżku i przetarła oczy.

– Jak najbardziej. Zbierzesz się w godzinę?

– Ale po co?

– Matko, aleś oporna. Chcę uczcić pewną okoliczność i w związku z tym zabieram cię w uroczne miejsce. Proponuję wziąć jakiś aparat, może akurat upolujesz tam tę swoją złotą godzinę. A poza tym wisimy naszemu szefuniowi zdjęcia do folderu. – Emil wiedział, jak ją podejść. Jedyne, czego nigdy dotąd nie odmówiła, to robienie zdjęć. Teraz przemilczał jednak, że tym razem to on zamierza fotografować ją.

– No dobra... – odparła niemrawo i wstała.

– Tylko włóż jakąś ładną kieckę, bo wybrałem eleganckie miejsce.

– A tutaj jest jakieś eleganckie miejsce? – zapytała zdziwiona.

– Masz pół godziny – rzucił z uśmiechem Emil i zszedł na dół.

Droga do malowniczego Fiskardo wiodła wzdłuż wschodniego wybrzeża. Nigdy nie zapuszczali się w tym kierunku, więc Danką co chwila chwytano za aparat.

– Słuchaj, a kiedy to uratowałaś mi życie po raz trzeci? – zagadnął Emil.

– Może nie samo życie, ale twoje życiodajne plemniki na pewno. Pamiętasz awarię wody u Jorgosa?

– No jasne, ale co to ma do moich plemników? – zdumiał się.

– Nasz gospodarz osobiście rozwalił hydrant, żeby upoźorować grubą awarię i natychmiast ściągnąć cię na miejsce. Niby do pomocy.

– Ale po co? Przecież nic wielkiego się nie stało.

– By stworzyć wiarygodny pretekst, żebyś nie zapylił Marzeny, która bez skrępowania powiewała w tym dniu sztandarem z napisem „Dni płodne” i postanowiła cię złapać na dziecko.

– O jasna cholera. Nie miałem pojęcia! – Emil roześmiał się głośno. – Niezły z was tandem.

– A od czego ma się przyjaciół?

Choć jechali już prawie półtorej godziny, Dance wydawało się, że dopiero niedawno ruszyli. Czas spędzony z Emilem upływał błyskawicznie. Świetnie się czuli we własnym towarzystwie.

– Jak to dobrze, że nie ma tu tej wiecznie jęczącej Marzenki – skomentowała Danką.

– Matko, jak ja już miałem jej dość – odparł szczerze Emil. Chciał wspomnieć o Yannim, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Na nabrzeżu w Fiskardo usta Danki rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Szeroka i spokojna w tym miejscu zatoczka mieściła port pełen wartych fortunę jachtów. Przepiękne domy w pastelowych kolorach kaskadami wznosiły się na zboczu. Powyżej nich rozciągał się las.

– O kurczę, mega!

– A nie mówiłem? Wiesz, że to ulubione miejsce celebrytów? Były tu Madonna i Demi Moore. Połowa tych willi należy do znanych w świecie bogaczy.

– Też masz tu jakąś? – zapytała przekornie.

– Nie. Kompletnie nie wiem dlaczego, ale nigdy dotąd nie słyszałem o tej niesamowitej wyspie. Ale nie po to tu jesteśmy, żeby rozważać inwestycje znanych i bogatych. – Emil się roześmiał. – Słyszałem, że niedaleko stąd są ruiny cmentarza z czasów imperium rzymskiego. Zobaczymy?

– No jasne! – odparła ochoczo i uzbroiła aparat.

Nadal nie zdradził jej powodu, dla którego się tu znaleźli. Odczekał, aż Danką pstryknie tysiąc zdjęć zatoki, domów i romańskich ruin, a potem zaprowadził ją do położonej tuż przy plaży restauracji. Wytworne wnętrza w niczym nie przypominały swojskich lokalnych tawern.

– Emil? – Chciała od niego wyciągnąć, co jest grane, ale bez słowa chwycił ją za rękę i pociągnął na rozległy, graniczący z plażą taras.

Zeszli na piasek. Tuż za kępą kwitnących opuncji ustawiono niewielką altanę. Białe

muś-linowe zasłony delikatnie powiewały na wietrze, odsłaniając przepięknie udekorowany stolik dla dwojga. Płonący na nim lampion rozściślał złotawy blask. Romantyczny widok oszałamiał. Takie rzeczy Danka widywała dotąd wyłącznie w kolorowych gazetach, na sesjach zdjęciowych celebrytów.

– O matko, Emil! – zawołała. – Aparat, szybko! Ja muszę to mieć!

– Spokojnie – odparł i bez pośpiechu skierował ją ku altanie. – Nic nie musisz.

Przez chwilę straciła orientację, o co mu chodzi. Zwłaszcza że, zamiast podać jej sprzęt, sam zaczął przy nim majstrować. A później ustawił ją jak na planie.

– Chcesz mnie fotografować? – zdumiała się. – A umiesz?

– Tyle razy patrzyłem, jak to robisz, więc może dam radę. Moim zdaniem ty lepiej pasujesz do reklamowania atrakcji niż ja – zażartował.

Stojąc po drugiej stronie obiektywu, Danka poczuła się dziwnie skrępowana. Dotąd jedyne zdjęcia, jakie robił jej Emil, miały na celu dokumentowanie utraty wagi i centymetrów. Chwilę potrwało, zanim jako tako odnalazła się w roli modelki.

– Całkiem dobre – pochwaliła. – Wystarczy obrobić je odrobinę.

– To taki fart nowicjusza.

Materiałowi do perfekcji było daleko, ale przecież nikt nie zamierzał niczego wysyłać na międzynarodowy konkurs. A do hotelowego folderu nadawał się idealnie.

Po skończonej sesji Danka spakowała sprzęt, pewna, że to koniec atrakcji.

– Wracamy?

– A skąd! Dopiero przyjechaliśmy. Siadaj.

Zrobiła wielkie oczy, gdy Emil szarmancko dosunął jej krzesło i dyskretnie dał znak kelnerom. Jak za dotknięciem magicznej różdżki obok stolika pojawił się stojak ze schłodzonym szampanem, a na talerzach elegancko zaserwowane przystawki. Między innymi znane jej wcześniej zawijane w liściach winogron dolmady czy pierożki z ciasta filo.

– A to co? – zapytała kelnera

– Kolokithokeftedes – odparł usłużnie i zgiął się w ukłonie.

– O matko... – Nawet nie próbowała wymówić.

Pod skomplikowaną nazwą kryły się przepyszne placuszki z cukinii. Z dodatkiem słynnej horty, przyrządzonej z gotowanego mniszka, i fety smakowały niebiańsko.

– Ale dobre! – jęknęła, rozkoszując się smakiem. – Yanni przydzielił chyba spory budżet na tę sesję.

– Niczego nie przydzielił. – Emil spojrzał z błyskiem w oku i zaśmiał się głośno. – Wyplątę mi dał!

Obok zaskoczonej Danki wyrósł jak spod ziemi posłaniec z gigantycznym bukietem bajecznie kolorowych alstromerii.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! – Emil wstał, przejął bukiet i wręczył go osłupiałej dziewczynie. – Ha! Zapomniałaś!

– Faktycznie, zapomniałam – przyznała szczerze. – Ale skąd wiedziałeś, kiedy ja mam urodziny?

– To proste. Z naszej umowy. – Wzruszył ramionami, nieudolnie udając obojętność, i podał Dance kieliszek z szampanem. – Twoje zdrowie!

Na widok gigantycznego homara Danka z wrażenia prawie padła trupem. Zdążyła się już zorientować, że taki przysmak kosztuje na wyspie majątek.

– Rozumiem, że ogłaszasz dziś bankructwo? – Uśmiechnęła się ciepło i podeszła, by uściskać Emila.

Przytrzymał ją w ramionach. Przez chwilę patrzył Dance głęboko w oczy, a ona poczuła,

że robi się jej gorąco. Wydawało jej się, że Emil patrzy na jej usta. Nawet przez chwilę zastanawiała się nad tym, co by zrobiła, gdyby postanowił ją pocałować. Jednakże uznała myśl za niedorzeczną i wyswobodziła się z jego objęć. Szalone i nieodpowiedzialne pomysły nie powinny kłaść się cieniem na jej szczerym i udanym związku z Yanim.

– Jeszcze nie, choć jestem tego bliski – odparł i sięgnął do kieszeni.

Z namaszczeniem wyciągnął z niej kopertę.

– Co to jest? – zapytała Danką.

– Nasze bilety powrotne. Dziś rozmawiałem z Winklerem. Możemy wracać! Rozumiesz?

– Ale jak to? Już? Naprawdę znów jest tam bezpiecznie?

– Dla ciebie tak. Dla mnie niekoniecznie, ale muszę wracać, bo inaczej stracę wszystko.

– Przecież tam może ci się coś stać!

– Winkler do tego nie dopuści.

– Winkler nie jest wszechmocny – zaproponowała.

– Czyżbyś się o mnie martwiła? Dam ci wiele okazji do troski, gdy w końcu wrócimy do domu – odparł, starając się nadać swojemu głosowi uwodzicielski ton.

– Ale ja nigdzie nie wracam – wypaliła. – Zostaję tutaj.

Rozdział 20

Nie była to decyzja z gatunku tych łatwych. Pomysł powrotu do Polski bardzo kusił, ale był przecież Yanni. Nie miała najmniejszego zamiaru kłaść na szali mężczyzny swojego życia. Przez ostatnie miesiące całkiem dobrze odnajdywała się na greckim gruncie – łącznie z coraz lepszym rozumieniem języka, miłością do lokalnej kuchni, klimatu, atmosfery i widoków. A perspektywa korzystania od nowa z odłożonych pieniędzy mogła tę miejscową rzeczywistość znacznie poprawić. Lubiła Jorgosa, ale nie zamierzała wiecznie siedzieć mu na głowie. Oczywiście mogła mu pomagać, ale lokum wypadłoby zmienić na jakieś lepsze i bardziej przestronne. Do tego z końcem sezonu Yanni powinien mieć dla niej więcej czasu. Czekala ich obiecana tygodniowa wycieczka na Santorini. Jakże w takiej sytuacji miałyby opuścić wyspę?

Emil, choć z oporami, pogodził się z decyzją Danki. Jego zdaniem nie powinna zostawać, ale przecież była dorosła i to było jej życie.

Mimo wszystko udana kolacja wprowadziła ich w doskonały humor. Tego wieczoru powrócił dawny Emil, z gestem godnym milionera. Przepuścił w restauracji prawie całą wypłatę. Dosłownie w kilka godzin, odkąd tylko otrzymał zielone światło na powrót, zmienił się nie do poznania. Z Mariana, rozwadniającego alkohole w basenowym barze, w jednej chwili przeistoczył się w Emila Kastnera, rekina biznesu, którego nikt nie miał prawa ograbić bezkarnie. Natychmiast odezwał się instynkt drapieżnika i łowcy. Kto jak kto, ale Emil Kastner ani myślał dać się okraść. I to tuż pod samym nosem. Długo rozmawiał z Winklerem, rozważając wszystkie za i przeciw. Brali pod uwagę ryzyko, jednak przeważał element zaskoczenia przeciwnika.

Koniec końców Emil postanowił wracać i choć początkowo decyzja Danki nie spotkała się z jego entuzjazmem, po namyśle uznał, że może to i lepiej, że zostanie w Katelios. Pod opieką Jorgosa i Yanniego jest bezpieczna. Tylko czy będzie tutaj szczęśliwa?

Danka obudziła się wcześniej rano. W ostatnich dniach najwyraźniej wyspała się na zapas, bo teraz czuła się rześka jak skowronek. Nie chcąc budzić Emila, po cichutku przyszykowała się do wyjścia. Tego dnia miała jeszcze wolne, ale była tak ciekawa efektu ich wieczornej sesji zdjęciowej na plaży, że postanowiła nie zwlekać, tylko od razu wskoczyła na hulajnogę i pojechała do Paradiso, by przerzucić materiał z aparatu do komputera. W przelocie wzięła z jadalni drożdżówkę i kawę, po czym zaszła się w swojej ulubionej kanciapie.

Ku jej zdziwieniu efekt był naprawdę zadowalający, choć obróbka materiału zajęła jej więcej czasu, niż sądziła. Danka skończyła z wybiciem południa. Zadowolona, postanowiła jak najszybciej pokazać zdjęcia Yanniemu, ale nie zastała go w biurze. Sekretarka poradziła jej, by poszukać go nad basenem.

To, co ujrzała tam Danka, wprowadziło ją w osłupienie. Yanni w najlepsze pluskał się w wodzie, podrzucając do góry raz jedno kilkuletnie dziecko, raz drugie. W pierwszej chwili pomyślała, że ma przywidzenia, dotąd nigdy bowiem nie widziała go, by bawił się w basenie. Myśląc, że to jakieś znajome dzieciaki, krzyknęła w jego stronę i pomachała energicznie. Szeroki uśmiech spełził mu z twarzy, ale mężczyzna szybko odzyskał równowagę i kilkoma silnymi machnięciami ramion podpłynął w stronę Danki.

– Cześć. Dobrze cię widzieć. Wróciłaś wcześniej? – zapytał miękko.

– Czyżby zbyt wcześnie? – wymknęło się Dance. W tej samej chwili podchwyciła złe spojrzenie smukłej szatynki. Kobieta obciąła ją z góry na dół, po czym z kwaśną miną dołączyła do dzieci.

– Ktoś z rodziny? – Dziewczyna wskazała ręką.

– Owszem – odparł Yanni. – Czy możemy pogadać u mnie? – zaproponował. – Tylko się wytrę.

Danka poczuła, że uchodzi z niej powietrze. Szła do biura ze słabą nadzieją, że być może to jakaś kuzynka przyjechała z dziećmi, ewentualnie siostra.

– Rozumiem, że tak wygląda twoja ciężko chora matka, tak? – zapytała z ironią.

– Nie będę kłamał. To moja rodzina.

– Wcale nie wyglądacie na takich w separacji... – Danka zapuściła ostrożnie sondę, czując, że grunt usuwa się jej spod nóg.

– Bo nie jesteśmy. Ale...

– Ale co? – czuła, jak z sekundy na sekundę podnosi jej się ciśnienie.

– Nasz związek nie jest typowy. Kasia rozumie...

– Kasia?

– Tak, Kasia. Moja żona też jest Polką. Przyjechała tu kiedyś do pracy i ze mną została. Zaszła w ciążę, wzięliśmy ślub. Wiesz, w końcu Grecja to katolicki kraj.

– Właśnie widzę! – syknęła. – Jak po katolicku przyprawiasz żonie rogi. To, że okłamujesz mnie, też się chyba pod to łapie, prawda?

– Kasia też nie jest święta! – Yanni chwycił Dankę za ramiona. – Możesz z nią o tym otwarcie porozmawiać.

– Jasne! Widziałam, jak na nas patrzyła. Gdyby mogła, utopiłaby mnie w basenie na oczach reszty gości.

– Zrozum mnie, kochanie! Ona jest ze mną wyłącznie dla dobra dzieci. Ma u mnie dobre życie, bogaty, zasobny dom. Prywatne przedszkole, najlepsze w Argostoli. Ptasiego mleka jej nie brakuje.

– Jasne, poza mężem. Takim nie tylko z nazwy. – Danka poczuła, że nie wygra z jego pokrętną argumentacją.

– Jeszcze raz mnie posłuchaj! – Yanni nie dawał za wygraną. – Ona naprawdę na wszystko się zgadza. Rozumie moje potrzeby i akceptuje miłości.

Głośne plaśnięcie odbiło się echem po całym biurze. Nie bacząc na ból jeszcze nie do końca wygojonych dłoni, Danka poprawiła z drugiej strony.

– Aaa! – Kompletnie zaskoczony Yanni oburącz chwycił się za twarz. – Danusia...

Nawet na niego nie spojrzała. Odwinęła się na pięcie.

– Nareszcie jakaś mądra... – padło od wejścia. W drzwiach stała zdradzana żona we własnej osobie. Na szczęście nigdzie nie było widać dzieci. Danka, w obawie, że dojdzie do dalszych rękoczynów, cofnęła się o krok. Ale całkiem niepotrzebnie, Kasia bowiem doskoczyła do Yanniego i kolanem wymierzyła mu celny cios w genitalia.

Mężczyzna, kwiknąwszy niczym prosię, padł na podłogę i zwinął się w embrion.

– Od dawna chciałam to zrobić. Jutro występuję o rozwód. – Kasia nie zasypiała gruszek w popiele, tylko zwróciła się do Danki z propozycją: – Zostaniesz moim świadkiem? – zapytała.

– Razem go oskubiemy. Podzielę się.

– Nie, nie zostanę.

– Dlaczego?

– Bo stąd wyjeżdżam i nie zamierzam wracać. Przykro mi, naprawdę.

– Rozumiem – westchnęła Kasia. – I mimo wszystko dziękuję. Że dziś tutaj przyszedłaś. I że dałaś mu w głowę.

Danka działała jak w transie, wróciła do budki i metodycznie skopiowała wszystkie swoje materiały i zdjęcia. Po mniej więcej dwudziestu minutach była gotowa. Podeszła do baru, pożegnała się z dwoma sympatycznymi barmanami, a potem jak gdyby nigdy nic skierowała się

do bufetu i nałożyła sobie na talerz musakę. Zjadła i dopiero wtedy wyszła z hotelu.

Odszukała hulajnogę i po raz ostatni ruszyła spod Paradiso. Dopiero w drodze ogarnął ją gniew. Na Yanniego, że ją okłamał, i na siebie, że dała się okłamać.

Pogrążona w ponurych myślach nie zauważyła, kiedy stanęła pod tawerną.

Dyszząc z wściekłości, porzuciła na podwórku hulajnogę i jak burza wparowała na poddasze. Wewnątrz panowała potworna duchota.

– Cholera, Emil! Korona by ci z głowy spadła, jakbyś wywietrzył?! – rzuciła z pretensją w głosie.

Była tak wkurzona, że chciało jej się płakać. Po raz drugi w jednym półroczu mężczyzna, o którym myślała poważnie, potraktował ją jak zabawkę. Najpierw Marek, który nie miał cywilnej odwagi, by przyznać, że wrócił do żony, a teraz Yanni. Co z tego, że jego związek niby funkcjonował jako otwarty, skoro tkwiły w tym także dzieci oraz nieszczęśliwa kobieta? Poza tym Danka nigdy nie widziała siebie w charakterze tej trzeciej.

Czy to, że pragnęła mężczyzny na wyłączność, było jakimś rzadko spotykanym dziwactwem? No i czym sobie zasłużyła na te wszystkie kłamstwa, którymi karmili ją obaj?

Popchnęła liche okienne skrzydło tak energicznie, że aż zaskrzypiały zawiasy.

– Czy ja jestem jakaś nienormalna? – rzuciła w stronę siedzącej nieopodal mowy. – No, popatrz na mnie, jak do ciebie mówię! – Danka wycelowała w stronę ptaka wskazujący palec. – Czy ja jestem jakaś pokręcona, kulawa i garbata, że nikt mnie nie chce? No? Może ty mi powiesz, dlaczego każdy facet, na którym mi zależy, musi być kłamliwym chujem?

Ptaszysko chyba niewiele zrozumiało, bo machnęło skrzydłami i ze skrzekiem odleciało w stronę morza.

– Nawet powierników mam do dupy. Ech! – Zrezygnowana usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Spomiędzy palców popłynęły łzy. Szlochała dobrą chwilę, zanim zauważyła, że coś tu nie gra. Zdezorientowana powiodła wzrokiem po pokoju.

Po Emilu nie było śladu. Nie licząc stojących pod łóżkiem znienawidzonych plażowych kłapek, zniknęły wszystkie jego rzeczy.

– O Boże... – Właśnie z całą mocą dotarło do niej, co się stało.

Otarła dłonią łzy i zbiegła do tawerny.

– Gdzie on jest?! – wrzasnęła do Jorgosa.

– Pytasz o Emila? – zdziwił się.

– Nie, cholera, o twój pradziadka pytam!

– Przecież wyjechał. Pół godziny temu, taksówką na lotnisko do Argostoli.

– O Boże. Nie! To nie tak!

– Uspokój się. Co jest nie tak? Powiedział mi, że zostajesz. Nic z tego nie rozumiem.

– Nie zostaję – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło i ponownie zalała się łzami. – Matko, jaka ja byłam głupia!

– Nic z tego nie rozumiem – podjął pocziwiec, nie bardzo wiedząc, jak ma poradzić sobie z łkającą dziewczyną – ale może ci jakoś pomóc? Ja normalnie za wami nie nadążam – poskarżył się niespodziewanie.

– Tak! – wychlipała. – Zadzwoń do niego i powiedz, żeby na mnie zaczekał.

– Ale ja nie mogę. Przed wyjazdem zostawił mi swój telefon. – Zdezorientowany mężczyzna wskazał leżącą na stoliku nokię Emila.

Na widok telefonu Danka rozsłochała się jeszcze bardziej.

– Ale zostawił mi także to – dodał i sięgnął do szuflady po zadrukowaną kartkę.

Zapłakanej Dance umknął jego dobrotliwy uśmiech.

– Co to jest? – Chlipnęła. Przez łzy nie mogła niczego odczytać.

– A nie wiem dokładnie. – Jorgos wzruszył ramionami. – Ale wydaje mi się, że to twój bilet na dzisiejszy samolot.

– Co takiego?! – Płacz ustał momentalnie.

– Twój bilet. Jeśli się spakujesz w ciągu kwadransa, bez problemu zdążymy na czas.

– Jorgos! – Danka zerwała się na równe nogi i rzuciła mu się na szyję. – Jak na agenta służb specjalnych, jesteś prawdziwym aniołem!

– Jakiego znowu agenta? – Jorgos zrobił oczy jak spodki.

– A nie? A Winkler to dla ciebie kto?

– Udo? To mój kuzyn! – Właściciel tawerny zarechotał na myśl o swojej potencjalnej działalności w specśłużbach. – Powiedział, że musi was gdzieś ukryć na jakiś czas. A że, jak sam twierdzi, większego zadupia niż Katelios nie widział w życiu, więc przysłał was do mnie.

Danka przeżyła kolejne déjà vu. Widać spokojne pakowanie nie było jej pisane. Wrzucała rzeczy do walizki jak leci. Na szczęście sprzęt zawsze trzymała w futerałach, więc teraz wystarczyło go owinać czymś miękkim, by przetrwał bezpiecznie. Raz jeszcze pośpiesznie sprawdziła całe lokum i w progu pozwoliła sobie na króciutką chwilę refleksji. Jorgos już zapakował jej rzeczy do samochodu i teraz ponaglał klaksonem. Zamknęła za sobą drzwi, ale po sekundzie wparowała z powrotem. Złapała stojące pod łóżkiem klapki i wybiegła na zewnątrz.

– Na litość boską! Pośpiesz się dziewczyno!

Jazda na lotnisko przypominała rajd szaleńców. Przepisy o ruchu drogowym funkcjonowały tu jedynie z nazwy, a karkołomne poczynania Jorgosa za kierownicą zdawały się to tylko potwierdzać.

Danka, mimo zdenerwowania, kurczowo uchwyciła się oburącz umieszczonej nad boczną szybą rączki.

– Dwadzieścia osiem minut – mruknął Jorgos, pełen uznania dla samego siebie. Zatrzymał właśnie swojego gruchota przed terminalem. – To mój życiowy rekord – wyjaśnił. – Ale zdążyliśmy. Masz jeszcze zapas.

– Jorgos, nie wiem, jak ci dziękować. – Dance ze wzruszenia załamał się głos. – Za dzisiaj. I za wszystko...

– Dobra, dobra, leć już! – ponaglił, głównie dlatego, by nie dostrzegła jego zaszklonych oczu. – I pozdrów Emila! Wpadnijcie do mnie jeszcze kiedyś!

Na lotnisku kłębiło się wrzeszczące i spocone ludzkie mrowie.

– Matko jedyna – szepnęła do siebie Danką, ogłuszona wszechobecnym wrzaskiem szalejącej dzieciarni. Nawet w Paradiso w najgorsze dni było o niebo spokojniej niż tutaj.

Oddała bagaż i skierowała się do odprawy, by chwilę później ujrzeć Emila smętnie zagapionego na gotującą się w upale płytę lotniska. Jakby ściągnięty spojrzeniem odwrócił się w jej stronę.

Pomachała mu energicznie.

– To ja!

Zaskoczony zerwał się na równe nogi. Jak wystrzelony z procy pocisk podbiegł do Danki i chwycił ją w ramiona.

– Danką! – wykrztusił, nie kryjąc radości. – Co się stało?

– Ech, nawet nie pytaj – sapnęła. – Wracam z tobą!

– Cóż za nagła zmiana decyzji. Czyżby twój grec-ki bóg wszelkich uciech nawalił?

– Owszem. Właśnie dostał dziś ode mnie po gębę, a jego osobista małżonka kopnęła go w jaja. Pojechałam dziś do hotelu, żeby obrobić wczorajsze zdjęcia, i wlałam wprost na rodzinną sielankę na basenie. Wyobrażasz to sobie? Emil, przecież ja chciałam z nim zostać! – Danką aż zatrzęsło z oburzenia. – No powiedz coś!

Emil spojrzał na swoją towarzyszkę. Minę miał nieco zakłopotaną.

– No i co się tak, kurczę, na mnie gapisz? Rogów nie widziałeś? – warknęła niemiło.

– Patrzę, bo nie wiem, skąd to święte oburzenie – odparł. – Przecież wszyscy wiedzieli, że on jest żonaty.

– Co? I ty Brutusie? – W oczach Danki znów zalśniły łzy. – To taki z ciebie przyjaciel?

– Ale ja byłem pewien, że o tym wiesz. Nawet kiedyś próbowałem ci powiedzieć, ale ucięłaś mnie w pół słowa... Danka... No nie rycz, proszę cię!

Do boardingu mieli jeszcze pół godziny. Dość, by cofnąć się w czasie i do końca wyjaśnić nieporozumienie. Faktycznie, Emil mówił prawdę. Próbował, a ona nie pozwoliła mu dokończyć. Tyle że błędnie odczytała przekaz.

– Napijesz się czegoś? – Emil zaproponował rozejm.

– Czegokolwiek chłodnego. Może być woda albo piwo, byle z lodówki.

Danka ułożyła na kolanach podręczną walizkę i wydobyła laptopa.

– Przecież miał zostać w Warszawie – zdziwił się Emil. – Winkler kazał.

– Ale nie został. Pomyślałam, że przyda mi się do pracy. Bez podłączenia do internetu nie było ryzyka, lecz i tak go nie używałam. Teraz to się zmieni, zatem podłącz mi z łaski swojej ten kabel do prądu i przestań głądzić jak stara baba.

System oczywiście zapamiętał dane logowania do poczty. Skrzynka pękała w szwach, więc oddzielenie wartościowych wiadomości od spamu zajęło Dance nieco czasu. Zaaferowana, machinalnie przejęła przyniesioną przez Emila butelkę.

Najbardziej ciekawiło ją ewentualne zainteresowanie sesją zdjęciową. Właśnie pojawiła się idealna okazja, by sprawdzić, jakie efekty w ciągu tych kilku miesięcy przyniosła internetowa reklama. Jak się okazało, niezbyt duże. W czasie pobytu na wyspie Danka otrzymała jedynie trzy zapytania o sesje ślubne, niestety, wszystkie już nieaktualne.

Z westchnieniem przewinęła listę wiadomości.

– Coś ciekawego? – zagadnął Emil.

– Niespecjalnie – mruknęła. – Po powrocie muszę pomyśleć nad lepszą reklamą mojego studia i... O Jezu! – Danka aż podskoczyła.

– Czyli jednak coś... – mruknął do siebie Emil i poszedł kupić piwo.

Pochłonięta treścią wiadomości Danka nawet tego nie zarejestrowała.

Po powrocie zastał ją z rozdziawionymi ustami. Na jej twarzy pojawiły się wypieki.

– Danko! Co jest? Coś się stało? – zaniepokoił się.

– Owszem. Właśnie zbieram szczękę z podłogi. Kojarzysz Krystynę Świderską? Tę aktorkę?

– Chyba każdy ją kojarzy? Jest starsza od węgla i gra w filmach, odkąd pamiętam.

– Jakbyś zobaczył ją nagą, zmieniłbyś zdanie.

Emil aż się zakrztusił.

– Co takiego?

– To nie tak, jak myślisz! – roześmiała się Danko. – Robiłam jej zdjęcia – wyjaśniła. – W jej posiadłości pod Wyszkowem. Sporo rozmawialiśmy. To miało być zlecenie życia, za grubą kasę, tyle że wpadłam jej w oko. Zaproponowała mi romans.

– Brzmi całkiem nieźle. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Za pieniądze. Odmówiłam, spakowałam aparaty i tyle mnie widziała. Potem jednak zmieniłam zdanie i postanowiłam dokończyć zlecenie. Tylko zlecenie – dodała Danko z naciskiem na widok głupiej miny Emila. – To właśnie do niej jechałam, gdy Natasza zepchnęła mnie z drogi. Resztę historii znasz. A teraz okazało się, że Krystyna mnie szukała. Píše, że poruszyła niebo i ziemię. Była nawet u mnie w mieszkaniu.

– Widać konkretnie babę wzięło.
– A skąd! Nie o to chodzi. Ona chce wydać autobiografię z moimi zdjęciami. I jeszcze zekranizować naszą historię! Proponuje mi rolę, uwierzysz?

– Naszą historię? – wykrztusił Emil.

– Rozumiesz? Píše, że to taki *Kopciuszek* dla dorosłych. O Boże! Możliwe, że zagram w filmie! Uszczypnij mnie natychmiast!

Rozpromieniona uniosła głowę i spojrzała Emilowi w oczy. Chwyciła go za rękaw i pociągnęła ku sobie. Sądził, że chce mu pokazać wiadomość od Świderskiej, więc nachylił się nisko.

Pocałunek zaskoczył go kompletnie. Emil zastygł w dziwnej pozycji, myśląc, że coś mu się przyśniło, ale nie. Danka pocałowała go po raz drugi.

– Przepraszam pana, czy mogę przejść?

Romantyczną scenę przerwał obojgu nieprzyjemny głos sapiącego grubasa, pchającego z wysiłkiem ogromną walizę.

Emil oprzytomniał, przepuścił mężczyznę, po czym usiadł obok Danki, wciąż nie dowierzając temu, co się stało. Podróżnych właśnie proszono na pokład.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał, gdy już siedzieli w samolocie. Z trwogą oczekiwał odpowiedzi.

– Wiesz... – Danka ważyła słowa. – Właśnie do mnie dotarło, że jesteś jedynym facetem w moim życiu, który nigdy mnie nie oszukał.

Emil zaniemówił z wrażenia w obawie, że jeśli się odezwie, to cały czar pryśnie. Tymczasem Danka umościła się w fotelu i po chwili spała już snem sprawiedliwego. Jej głowa przez moment kiwała się zabawnie, by wreszcie spocząć na ramieniu Emila. Nawet nie drgnął, tylko delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy, po czym na migi przywołał stewardesę.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

– Macie tu szampana? – wyszeptał. – Bo jeśli tak, to poproszę. Najlepiej całą butelkę.

c.d.n.

Spis treści

Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8
Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział
16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20

